

ANDRZEJ JANICKI

PORWANY
W PRZESTRZEŃ

Powieść fantastyczna

LONDYN — PARYŻ — 1959

DODATEK DO „GAZETY NIEDZIELNEJ”

Ilustrowała: Janina Chrzanowska

Wydawnictwo VERITAS
Fraed Mews, London, W. 2.
Printed by: Veritas Foundation Press,

CZEŚĆ I

N A R A

ROZDZIAŁ I

JAK SIĘ TO WSZYSTKO ZACZEŁO?

Po żmudnej, całorocznej pracy na uniwersytecie zbliżał się wreszcie upragniony czas moich wakacji. W związku z tym najprzyjemniejszym okresem roku oczekiwałem niecierpliwie listu od mego wuja Józia z Florydy. Marzył mi się wypoczynek wśród palm, na złocistym piasku i w rozkosznych falach morskich w Miami, gdzie mój wuj stale przebywał. Od lat zamieszkały w Ameryce, dorobił się pokaźnego majątku i w luksusowej willi odpoczywał po trudach pracowitego żywota. Odkryłem jego obecność na Ziemi Kolumba

niedawno. Wymieniliśmy kilka coraz to serdeczniejszych listów i teraz oczekiwałem tego najmilszego — zapraszającego mnie na wakacje.

Wreszcie nadszedł. Otwierałem go z drżeniem rąk. Bardzo dyplomatycznie i delikatnie sugerowałem mój przyjazd i teraz bałem się czy kochany wujaszek okaże się dość domyślnym, a domyśliwszy się, czy się zdobędzie na zaproszenie...

— Hurrraaa! — Jest zaproszenie, ale co to? Jakieś warunki? O, jeśli o to chodzi, zgadzam się z pocałowaniem rączek. Wuj czeka na mój przyjazd, żeby wraz ze mną i kilkoma innymi osobami odbyć wycieczkę jachtem po Zatoce Meksykańskiej. Ale dodaje, żeby o tej wyprawie absolutnie nikomu nie wspominać. Dlaczego? Wyjaśnić ma na miejscu. Do listu dołączony był czek na koszty podróży samolotem z Waszyngtonu, gdzie studiowałem do Miami.

-- Niech żyje wuj Józio! A o wyprawie milczę jak grób. Pewnie jakieś dziwactwo starszego pana... A może wuj trudni się przemytem? Nie, to chyba niemożliwe. Zresztą, po co łamać sobie głowę, gdy za tydzień i tak dowiem się wszystkiego.

Nie opisuję swej podróży samolotem, ani też samego Miami, gdyż wszystkie szczegóły wraz z barwnymi fotografiami można znaleźć w pierwszym lepszym prospekcie biura podróży. Przechodzę natomiast do spraw bezpośrednio, związanych z wydarzeniami, które miały mnie doprowadzić do największej przygody mego życia (przynajmniej jak dotąd największej — cóż,

bowiem za niespodzianki może jeszcze kryć w sobie przyszłość?).

Wuj czekał na mnie na lotnisku. Starszy, szpakowaty pan o ciemnym wejrzeniu szarych oczu i nienagannie skrojonym sportowym garniturze zrobił na mnie od razu dodatnie wrażenie. Powitał mnie szeroko rozłożonymi rękoma.

— Common, Baby-Face! — Zawołał — Wellcome, Andrew! Jakże się cieszę, że wreszcie mogę uściskać krewniaka ze Starego Kraju.

Znalazłem się w jego mocnych, serdecznych objęciach. Darowałem mu owo „Baby-Face“, przezwisko, którym potem stale mnie obdarzał. Mimo dwudziestego piątego roku życia miałem twarz może rzeczywiście nieco dziecinną, która nieraz wprowadzała ludzi w błąd, co do mego wieku. W czasie okupacji niemieckiej w Polsce tego rodzaju „niewinne“ oblicze przydawało mi się bardzo. Nigdy żaden patrol niemiecki nie zatrzymał mnie na ulicy, a w szkole nawet wielu bliższych kolegów nie podejrzewało mnie o należenie do konspiracji. Teraz jednak w warunkach pokojowych wołałbym mieć twarz bardziej dorosłą. Zapuściłem nawet na pewien czas wąsy, ale okazało się, że wyglądam z nimi nie poważniej, ale śmieszniej. Zgoliłem je więc czym prędzej.

Usiadłem obok wuja w jego eleganckim "Buicku". Sam chód ruszył. Obserwowałem mego starszego krewnego spod oka. Mimo sześćdziesiątki za pasem zachował w sobie nie uszczknięty niemal zasób mę-

skiej energii, pogody i entuzjazmu dla życia. Już w czasie jazdy wtajemniczył mnie w swoje nowe przedsięwzięcie, które pasjonowało go w tej chwili bez reszty.

Zapoznał się niedawno z pewnym awanturnicznym typem o banalnym nazwisku John Smith, ów Smith wałęsał się wiele w swym życiu po morzach i obcych krajach, z niejednego pieca, chleb jadł, w niejednej też prawdopodobnie ciemnej sprawie maczał palce. Ten włóczęga morski znał jakoby miejsce: gdzie na dnie morza spoczywała zatopiona przez „bukanieców z transportem meksykańskiego złota wielka galera hiszpańska. Smith posiadał tajemnicę położenia skarbu, wuj miał środki na jego wydobycie. Weszli więc w spółkę, a zdobytym złotem mieli się podzielić po połowie.

Ze Smithem poznałem się tego samego wieczoru. Niski, barczysty, utykający na lewą nogę, o twarzy kwadratowej, pofałdowanej jak zeszcłe jabłko, wyrudziałych włosach i ponurym spojrzeniu głęboko osadzonych piwnych oczu, nie wzbudził we mnie zaufania. Nie wiem dlaczego, ale od razu zrobił na mnie wrażenie człowieka bez skrupułów. Mimo tego, że wobec wuja i mnie starał się okazać uprzejmość i składność, widać było, z jakim trudem mu to przychodzi. Zdawał się być człowiekiem przyzwyczajonym do narzucania swej woli innym i to w sposób bezwzględny.

Zaraz po jego wyjściu przedstawiłem wujowi swoje zastrzeżenia. Niepokoiło ranie też to, że nie chciał

ujawnić, skąd się dowiedział o galerze, ani nie przedstawił żadnego dowodu prawdziwości swoich słów. Wuj zupełnie nie podzielał mojej nieufności. Widział w Smicie twardego wilka morskiego, o szorstkiej może nieco powierzchowności, ale prawej duszy ludzi morza.

— A zresztą, — dodał — cóż ryzykujemy? Mamy przynajmniej fascynujący cel podróży jachtem, którą i tak zamierzałem odbyć latem. Don't worry. Everything wili be O. K. Chodźmy teraz na kolację!

Wuj, stary kawaler, zajmował ładną, elegancko urządzonej wilię, której mieszkańcami poza nim byli: podeszła w latach poczciwa gospodyni Anna — od czterdziestu lat przebywająca w Stanach, a pochodząca gdzieś spod Rzeszowa — oraz murzyn Jonatan — wspaniały typ wiernego sługi, oddanego całą duszą panu — jakże świetnie pasowałby do domostwa południowego plantatora sprzed Wojny Cywilnej.

U tych dwojga zyskałem sobie od razu sympatię. Szczególnie Anna rozplýwała się nade mną w zachwytach: a że to taki młody, że tak dużo przeszedł, że tak świetnie mówi po polsku. Do tych zachwytów dodała jeszcze tak wspaniałą kolację, że potem z przejedzenia długo nie mogłem zasnąć. Rozmyślałem więc o czekającej mnie podróży. Mimo niechęci do Smitha i moja wyobraźnię podbiła zamierzona wyprawa w te strony, które dotąd znałem jedynie z książek i filmów korsarskich.

* \$ *

Już w dwa dni po moim przyjeździe znaleźliśmy się wczesnym rankiem na morzu. Kapitanem naszego luksusowego, motorowego jachtu, który nosił nazwę „Baltic”, był młody marynarz Stanley Mis, czyli po prostu Staś Miś, Amerykanin polskiego pochodzenia, mieszkający na Florydzie od dzieciństwa. W czasie ostatniej wojny dosłużył się w marynarce wojennej stopnia porucznika, po wojnie wspólnie z bratem prowadził stację benzynową w pobliżu Miami. Ilekroć wuj ruszał na wyprawę morską, zabierał ze sobą Stanisława w charakterze kapitana i sternika w jednej osobie. Obowiązki majtka pełnił siostrzeniec Jonatana, młody murzyn o niemniej od swego wuja biblijnym imieniu Jeremiasza. Berło kuchenne na statku dzierżył sam Jonatan. Gospościa Anna bowiem nigdy nie dawała się namówić na postawienie stopy na pokładzie jachtu. Ciężka choroba morska w podróży do Stanów Zjednoczonych czterdzieści lat temu pozostawiła u niej na resztę życia głęboki uraz do morza i wszelkich podróży. W wyprawie brał oczywiście udział także Smith oraz jego bliski kuzyn — zawodowy nurek, a więc w naszym przedsięwzięciu niezwykle ważna osobistość. Przedstawił się jako Bili Thompson i to było wszystko, czego o nim mogłem się dowiedzieć. Był bowiem mrukliwy, ponury, unikał ludzi. Kto wie? Może właśnie dlatego został nurkiem, by na dnie morza szukać od nich ucieczki.

Ze Stasiem Misiem zaprzyjaźniłem się. szybko. Po polsku mówił słabo, co mnie nawet cieszyło, zmuszało bowiem do ćwiczenia się w angielskim, który w moich ustach wciąż jeszcze nie brzmiał szekspirowsko. Opowiadaliśmy sobie wzajemnie przygody wojenne. Ja snułem powieść o podziemnej pracy w Armii Krajowej, o Powstaniu Warszawskim, niewoli i II Korpusie; on o walkach z Japończykami na Pacyfiku, o egzotycznych wyspach, portach i ludziach.

Jak długo trwała nasza jazda i jakie okolice były jej celem, o tym milczę z powodów, których tu nie będę wyjaśniał. Dość, że pewnego pogodnego popołudnia zatrzymaliśmy się przy jakimś bezludnym (na pierwszy przynajmniej rzut oka) brzegu, pokrytym bujną podzwrotnikową roślinnością. Dwie wielkie skały, tworzące rodzaj wodnej bramy, były naszym punktem orientacyjnym, O 300 mniej więcej metrów od nich w kierunku pełnego morza miała spoczywać na dnie nasza galera. Smith proponował opuszczenie nurka dopiero jutro, wuj jednak tak był podniecony, że nie chciał czekać:

— Nie będę mógł spać całą noc, jeśli nie przekonam się wpierw, czy rzeczywiście galera jest na miejscu — powiedział i wydał rozkaz do przygotowania nurkowego sprzętu.

Zauważyłem, że Smith był wyraźnie niezadowolony z rozporządzenia. Spojrzał chmurnym wzrokiem na mego wuja, ale bez słowa sprzeciwu dał znak Billowi i

razem udali się po ekwipunek. Ruszył za nimi do pomocy Jeremiasz, ale Smith odesłał go z powrotem.

— Oho, chcą rozmawiać bez świadków — pomyślałem — coś mi się tu nie podoba. Czuję, że tej galery nie ma. Zaraz powiedzą, że się coś w sprzęcie popsuło albo będą marudzić do nocy. Ale jeśli ten cały fantastyczny skarb to bujda, to po co Smith nas tu przywiózł?

Moje podejrzenia okazały się wszakże niesłuszne. Thompson, przybrany w skafander, jak rycerz średniowieczny w pancerz przed turniejem lub bitwą, zniknął pod powierzchnią morza. Galera miała leżeć głęboko i dlatego trzeba było użyć skafandra. Czekaliśmy w napięciu. Dotarłszy do dna Bill dał znać przez telefon, że nic nie widzi, co by nawet przypominało galery. Spojrzeliśmy na siebie z wujem z rozczarowaniem. Smith jednak nie dał za wygraną, ale nakazał nurkowi badanie dna na większej przestrzeni. Jego wytrwałość po trzech kwadransach dała wyniki.

— Jest, jest - dał się słyszeć w telefonie głos nurka...

Za późno było na dostanie się do wnętrza zatopionego okrętu — odłożyliśmy to więc do jutra.

— Przynieś coś na dowód tym niewiernym Tomaszom — rzucił, jeszcze w tubkę, telefonu Smith. Był zadowolony, uśmiechał się tryumfalnie i jak mi się zdawało — złośliwie.

Nurek przytaszczył ze sobą szczątki koła sterowniczego. Przekonało nas to przynajmniej o istnieniu ga-

leonu, jutro mieliśmy otrzymać odpowiedź na drugie palące pytanie: jest skarb czy go nie ma?

Po wyjściu nurka na powierzchnię Stanley przesunął nieco jacht, zatrzymując go u wejścia do małej zatoki, której lewy brzeg, niski i płaski, porastała gęsta podzwrotnikowa puszcza, prawy zaś stanowiła wysoka pionowa ściana wchodząca głęboka w wodę. Powierzchnia skały porysowana była głębokimi pęknięciami i bruzdami jak twarz starego człowieka. Czerniały w niej tu i ówdzie otwory, których czepiała się roślinność. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że za tą skałą czaiło się moje przeznaczenie.

Już po zachodzie słońca, gdy zrobiło się chłodniej, zjedliśmy kolację, suto zakrapianą z okazji pomyślnego odkrycia, doskonałym Manhattanem z wisienką oraz kilkoma gatunkami wyborowego wina. W różowych humorach i na mocno chwiejnych nogach udaliśmy się do kajut na spoczynek. Noc była śliczna, księżycowa, fale spokojnie, miarowym ruchem uderzały o boki statku; od brzegu dochodziły stłumione, tajemnicze dźwięki dżungli. Szum jednak w głowie i coraz silniejsza senność nie skłaniały do rozkoszowania się romantycznym nastrojem nocy. Włożywszy piżamę, rzuciłem się na posłanie i niemal momentalnie zasnąłem.

Nie widziałem też nic z tego, co za jakąś godzinę od naszego zaśnięcia poczęło dziać się na pokładzie, a co można sobie w następujący sposób odtworzyć w wyobraźni. Na pokładzie pozostał tylko Smith, który z

wieczora pił wyjątkowo mało, chociaż zwykle nie gardził darami Bacchusa. Gdy z otwartych drzwi i okien w kabinach zaczęło dochodzić coraz wyraźniejsze, bez troskie chrapanie członków załogi, awanturnik zbliżył się do burty i trzymaną w rękę latarką poczęła przesyłać w kierunku brzegu sygnały świetlne. W chwilę potem w ciemnej gęstwinie lasu błysnęło w odpowiedzi migotliwe światełko. Na piasku przybrzeżnym w świetle księżycy pojawiły się postacie, dźwigające podłużny przedmiot. Na pokładzie obok Smitha ukazała się sylwetka Thompsona.

— They're coming up — informował go szeptem John Smith — make sure everybody's sleeping sound. (Już jada — pilnuj, żeby wszyscy spali mocno).

Thompson zniknął. Nie upłynął kwadrans gdy u boku jachtu rozległo się pluskanie wiosł i sześciu mężczyzn bezszelestnie weszło na pokład po spuszczonej przez Smitha drabinie.

Nieświadom niczego spałem smacznie. Przez senną wyobraźnię przesuwają się, jak w kolorowym filmie, marzenia przyjemne i barwne, w których coraz wyraźniej zaczynała się wybijać wielka opleśniała skrzynia, pełna żółtego kruszcu. Wyciągnąłem ku niej rękę, by wyczuć dotykiem złotą twardość hiszpańskich monet, a uchem posłyszeć ich obiecujący dźwięk. W tejże samej chwili z seledynowej mgły snu wypłynęła groźna postać korsarza z czarną opaską na oku i nożem w zębach. Swymi żyłastymi dłońmi pochwycił moje ręce, ścisnął je i począł wykręcać boleśnie. Obudziłem się.

Leżałem w swej kabinie na pościeli twarzą w dół, a na rękach czułem w dalszym ciągu ten sam żelazny uścisk. Krzyknąłem i chciałem się wyrwać.

— Keep your big mouth shut! — (nie odzywaj się!) — usłyszałem nad sobą obcy, ochrypły głos. Czyjaś mocna dłoń zerwała mnie z pościeli, postawiła na nogi i pchnęła ku wyjściu. Ręce miałem związane z tyłu. Wyprowadzono mnie na pokład. Ujrzałem na nim leżącego i związanego jak ja Stanleya. Spod pokładu doszedł krzyk i odgłosy szamotania — widocznie wiązali innych i ktoś usiłował się bronić. Silne pchnięcie zważyło mnie na pokład.

— Lay down and don't move! — (Leż i nie ruszaj się!) — usłyszałem rozkaz.

Padając poczułem ból w prawym boku — coś ostrego skaleczyło mnie. Syknąłem cicho i leżałem nieruchomo, rozglądając się bacznie wokół. Sprowadzono nowych jeńców; właśnie ukazał się mój wuj, klnąc i wyrywając się. Dopadł do niego Smith i fachowym ciosem pięści w szczękę powalił go na deski pokładu. Wuj padł i leżał cicho - musiał stracić przytomność lub nie chciał się narażać na dalsze razy. Zacząłem się orientować, co się stało. Obawiałem się Smitha, myślałem nieraz, że gdy wydobędziemy skarb, gotów będzie nawet do zbrodni, by go posiadać w całości. Nie przypuszczałem jednak, że zacznie działać już tej nocy i to w porozumieniu z całą bandą, czekającą na nas w ukryciu.

Mocno związane pęta zaczęły mi doskwierać — żeby tak pozbyć się ich i skoczyć do wody — pomyślałem — po nocy udałoby mi się pewnie dotrzeć do brzegu, nawet gdyby strzelali za mną. Spróbowałem ściągnąć więzy; nic z tego, mocny rzemień ani myślał puszczać, wpił się tylko głębiej w ciało. W tern przypomniałem sobie o przedmiocie, który mnie skaleczył przed chwilą. Ostrożnie zacząłem macać wokół siebie, na ile pozwalały pęta. Jest... była to główka od rozbitej butelki. Pamiętam, jak wuj przy kolacji cisnął próżną butelkę po winie; mierząc w morze trafił w burzę. Butelka rozbiła się przy akompaniamencie naszego śmiechu i żartów z jego niezgrabności.

— To na szczęście!— odpowiedział wesoło wuj. W tej chwili była. mi ona rzeczywiście „na szczęście”. Ostrożnie, by nie zwrócić na siebie uwagi, zacząłem rozcinać więzy, kalecząc przy tym ręce. Nie szło to gładko, spociłem się z wrażenia i z wysiłku. Wreszcie uwolniłem ręce. Serce biło mi jak młotem.

Wuj tymczasem ocknął się z omdlenia na nowo począł się awanturować. Smith przypadł do niego, ale nie bił tym razem tylko szydził.

— Durny, głupi ośle — parsknął — o tym, że galeon leży tutaj na dnie od 300 lat, wiedzą wszyscy i o tym, że złota na niej dawno nie ma, wiedzą też. Mnie zaś potrzebny był twój jacht. Już niejednego bałwana na nabrałem. Pociesz się, nie jesteś pierwszy.

Wuj nie odpowiedział — w milczeniu przeżuwał swój gniew i swoją bezsilność. Smith odsunął się od

niego. Kazał więźniom wstać i pakować się do łodzi, którą przyjechali złoczyńcy.

— Skakać w wodę teraz czy z łodzi? — przemknęła gorączkowa myśl.

Wahania moje przeciął sam Smith:

— Sprawdźcie im więzy! — rzekł do swoich zbirów.

Nie było więc chwili do stracenia. Jednym skokiem przesadziłem burzę; dałem głębokiego nurka w wodę, by za chwilę wynurzyć się po drugiej stronie jachtu, gdzie nie padało światło księżyca. Pionowa skała znajdowała się o wiele bliżej niż płaskie wybrzeże. Ku niej postanowiłem płynąć. Miałem nadzieję, że widoczne w niej głębokie spękania, schodzące aż do poziomu wody, dadzą mi możliwość chwilowego przynajmniej schronienia.

Z góry, z pokładu dobiegły krzyki, stukot butów, przekleństwa, ogólne zamieszanie. Nie czekając więc na opamiętanie i pościg, dałem nurka w kierunku skały, starając się płynąć jak najdłużej pod powierzchnią. Wkrótce jednak trzeba było wychylić się dla zaczerpnięcia oddechu. Wciągnąłem więc jak najwięcej powietrza w płuca i znowu zapadłem pod wodę. Przez tych parę sekund na powierzchni nie dobiegł mnie żaden okrzyk, świadczący o odkryciu mej nieobecności, ani świst kuli. Nie dostrzeżono mnie jeszcze. Gdy jednak za następnym razem wychyliłem się z fali goniąc za zbawczym oddechem, usłyszałem podniecone wołanie i huk wystrzałów. Zanurkowałem i zmieniłem nieco kierunek. Nowe wynurzenie, nowy gwizd ku-

li nad uchem. Powtórzyło się to jeszcze parokrotnie, aż wreszcie znalazłem się przy skale, oświetlonej srebrnym blaskiem miesiąca.

Mała rozpadlina, tuż przy powierzchni wody, pełna piany morskiej, dała cień i schronienie mej głowie. Mogłem przez parę minut odetchnąć. Jacht był doskonale widoczny. Od jego boku odbiła łódź kierując się ku mnie. Siedziało w niej trzech drabów.

— Tu mnie łatwo znajdą — pomyślałem — trzeba wiać. A że w skałę nie wejdem, więc wzdłuż skały

Zanurzyłem się. Widoczność pod wodą była zupełnie dobra, dzięki odblaskowi księżycowego światła, jaki dawała skała, lecz oto ciemna plama nowej bruzdy skalnej — wychyłam się więc ostrożnie, oddycham, potem nurkuję znowu. Ale co to? — Pod wodą biała nagość pionowej skały nagle znikła, zamiast niej rozwarła się ciemność.

— Grota podwodna? — przemknęło mi przez głowę — a może jej strop sięga wewnątrz skały ponad powierzchnię morza? Byłaby to świetna kryjówka. Zarzykować.

Wiedziony może więcej intuicją, niż rozsądkiem, wpłynąłem w ciemność. Nie była ona nieprzenikniona, dno morskie bowiem, niezbyt w tym miejscu głębokie, odbijało poświatę księżyca. Ujrzałem ponad sobą migotliwą płaszczyznę — granicę wody i powietrza. Wpłynąłem. W płuca wtargnęło chłodne powietrze, niosące w sobie omszały zapach wilgotnych ścian skalnych. Była to ogromna grota: przez wysoko położoną

dużych rozmiarów szczelinę sączyły się do wnętrza chłodne księżycowe promienie.



Zaczęłam się ciekawie rozglądać, gdy wtem... struchlałam. Na-
przeciw szczeliny wystawała ze ściany potężna lawa skalna, na
której ktoś stał.. (str. 13-15)

Spokojnymi ruchami utrzymując się na wodzie, zacząłem się ciekawie rozglądać, gdy wtem... struchlałem. Naprzeciw szczeliny wystawała ze ściany potężna ława skalna, na której ktoś stał...

Jakaś ludzka-nieludzka postać olbrzymich rozmiarów o jarzących się zielonawych ślepiach, które wpatrywały się wprost we mnie. Mokre włosy zjeżyły mi się na głowie i serce uderzyło spłoszonym łomotem trwogi.

Potworne zjawisko stało nieporuszone, nadal pozerając mnie oczyma. Ale w tejże chwili mój strach prysnął, pozostawiając jedynie szczątkowe drżenie w członkach. Podpłynąłem do występu skalnego i wdrapałem się nań. Posiać wciąż trwała w kamiennej nieruchomości, bo i była to po prostu olbrzymia kamienna rzeźba — pozostało: może dawnej kultury Majów, może Azteków i jak wszystkie ich rzeźby, dziwna, niepokojąca, pogmatwana, o upiornym wyrazie oblicza i bezwzględnych, okrutnych oczach. Figura ta strzegła wejścia do podziemnego chodnika, prowadzącego w głąb skały.

ROZDZIAŁ II

TAJEMNICA SKAŁY, CZYLI SPOTKANIE Z NIEWIDZIALNYMI

W grocie panował chłód, byłem przemoczony, zacząłem szczekać, zębami. Miałem na sobie tylko dolną część pizamy. Zdjąłem ją, wyjąłem i włożyłem na powrót. Co czynie dalej? Czułem się na razie zabezpieczony przed pogonią, ale sytuacja moja nie przedstawiała się zbyt wesoło. Byłem sam na obcym brzegu pokrytym dżunglą, z dala od jakiegokolwiek ewentualnej pomocy, bez ubrania, bez broni i zapasów żywności, z bandytami tuż pod bokiem. Niepokoił mnie też los moich przyjaciół. Co Smith zamierza z nimi uczynić? Zachodziła obawa, że ich po prostu sprzątnie, pozbywając się niewygodnych świadków i możliwych oskarżycieli.

W ścianie skalnej czerniło się wejście do podziemnego chodnika. Dokąd on prowadzi?... Przeżegnałem się, polecając Bożej Opatrzności, która mnie już dotąd z tyłu niebezpieczeństw wyprowadziła w życie i zagłębiłem się w ziejący obcym mrokiem korytarz. Wyczułem pod nogami kamienne schody. Prowadziły wzwyż, skręcając łagodną spiralą. Wspiąłem się już przynajmniej na sto stopni, gdy ciemność przede mną rozświetliło na nowo księżycowe światło. Znalazłem się w

drugiej grocie, mniejszej nieco, która musiała mieścić się tuż ponad pierwszą. Przez liczne otwory w skale wpadał blask miesiąca, dając niezłą widoczność. Ściany groty pokrywały fantastyczne rzeźby ludzi, zwierząt i roślin. Pośrodku leżał duży, płaski kamień, służący pewnie niegdyś jako ołtarz ofiarniczy. Stałem pośród starożytnej podziemnej świątyni, lecz nie czułem bynajmniej w tej chwili żadnych zainteresowań archeologicznych. Zbliżyłem się czym prędzej do jednego z otworów ściennych i ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz.

Dobiegły z dołu głosy szukających mnie bandytów, widziałem też dobrze jacht i sylwetki poruszających się na jego pokładzie ludzi, ścigający kręcili się jeszcze czas jakiś przy skale, zaglądali w rozpadliny, wreszcie dali za wygraną i powrócili do jachtu. Wkrótce potem doszedł mnie dźwięk puszczonej w ruch turbiny i statek ruszył.

— Odjeżdżają — załopotana się strwożona myśl. Ale oni tylko wpłynęli głębiej do zatoki i zniknęli mi z oczu. Czy zresztą odjazd ich lub pozostanie zmieniłoby w czym sytuację? Jakaż miałem szansę uwolnienia mych przyjaciół i odzyskania okrętu?

Postanowiłem pozostać na noc w grocie, odpocząć i przemyśleć swoje położenie. Gdzieś w kącie, na naniezionej przez wiatr ziemi, wegetowała rachityczna trawa; tam położyłem się i wkrótce zasnąłem.

Obudził mnie zmieszany gwar głosów, dolatujący od strony skalnego chodnika. Nie ulegało wątpliwości, że kilka osób wchodziło po schodach w górę. Grota by-

ła pogrążona w ciemności, księżyc zaszedł, przez otwory w ścianach poczyniała się już sączyć nieśmiało szarość przedświt. Wskoczyłem za występ skalny. Któż mógł być? Na pewno nie byli to bandyci. Rozmowa miała charakter pogodny, wesoły, słyszałem śmiechy, odróżniłem nawet głosy kobiece. Nadchodzący byli już blisko. Rozmawiali nieznanym mi, melodyjnym językiem, o przeciągłej nieco, śpiewnej tonacji. Były to głosy przyjemne, nastrajające zaufaniem. Ale co to?... Uczułem nie pierwszy już tej nocy dreszcz strachu. W szarości panującej w świątyni powinienem już dostrzec sylwetki ludzkie. Nieznajomi byli tuż, przeszli obok, usłyszałem szmer otwieranych drzwi, przez które buchnęło żółtą smugą zapalone światło. Ja tymczasem nikogo nie widziałem. Drzwi zatrzasnęły się, smuga świetlna zgasła, nastąpiła z powrotem ciemność i cisza.

Siedziałem w swoim kącie zdrętwiały. Co to było? Duchy dawnych mieszkańców podziemnego pałacu? Skąd w takim razie elektryczne światło? śni mi się to wszystko? Nie, to nie mógł być sen: uszczypnąwszy się w policzek uczułem ból. Halucynacja wskutek nerwowego napięcia? To było najprawdopodobniejsze. Pamiętam, jak będąc rannym i ukrywając się w lesie przed Niemcami, dostrzegłem przed oczyma obrazy, które okazały się widziadłami rozpalonej gorączką wyobraźni. Teraz jednak nie czułem gorączki.

Kiedy rozwidniło się na dobre, opuściłem swój kąt. Przede wszystkim dobiegłem ku skalnemu oknu i wyj-

rzałem: morze było puste. Jacht albo odpłynął zupełnie, albo znajdował się w części zatoki niewidocznej z mego punktu obserwacyjnego. Odwróciłem się od otworu i zacząłem się przyglądać ścianie, za którą znikli moi „niewidzialni”. Nie odkryłem ani śladu jakichkolwiek drzwi. Wzruszyłem więc ramionami i skierowałem się ku schodom. Nie było po co dłużej pozostawać w świątyni. Czuję głód i potrzebę jakiegoś działania. Zeszedłem na dół. Podwodną grootę oświetlały teraz jednocześnie promienie słońca wpadające przez otwór w górze i seledynowy odblask dna morskiego. Przypominało mi to nieco Lazurową Grotę na Capri.

Wyszedłem spoza potwornego posągu i... stanąłem jak wryty. Na powierzchni wody kołysał się okrągły, metalowy dysk. mający chyba z dziesięć metrów średnicy. Na jego osi wyrastała duża, okrągława wypukłość, rodzaj przypłaszczonej wieżyczki. Powierzchnia dysku była wszędzie jednolita. Nie dostrzegłem żadnego okienka, ani nawet śladu wejściowej klapy. Kołysał się on pośrodku podziemnego jeziora. Nie przytrzymywany przez żadną kotwicę, pozostawał stale w tym samym miejscu mimo falowania wody.

— „Latający talerzyk” — szepnąłem w najwyższym zdumieniu. Od dawna pasjonowały mnie ukazujące się od czasu do czasu w prasie wiadomości o tajemniczych latających przedmiotach. Słyszałem, że lotnictwo amerykańskie powołało nawet specjalną komisję dla badania owych U. F. O. (Unidentified Flying Objects). Opinia publiczna była jak zwykle podzielona co

do ich faktycznego istnienia i pochodzenia. Sam za mało miałem danych, by sobie wyrobić w tej sprawie jakieś własne obiektywne zdanie. Ale oto teraz miałem przed sobą niewątpliwie jeden z tych kontrowersyjnych U. F. O. „Niewidzialni” nie byli więc jedynie tworem mej fantazji.

Byłem tak ubiegłej nocy podniecony tym odkryciem, że na chwilę zapomniałem o swym położeniu, o wuju, o jachcie i o bandytach. Stałem przecież o krok może od rozwiązania zagadki, nad którą na próżno głowiła się cała ludzkość. Cała? Może przesada, ale w każdym razie wszyscy zainteresowani.

Pędem wbiegłem na schody i wpadłem do skalnej świątyni. Jeśli „niewidzialni” weszli w tę ścianę, to muszą tam być zamaskowane drzwi. Wzrok mój tym razem nie błądził po ornamentach ściennych, ale spoczął na ziemi. W jednym miejscu między dwoma posągami, przystającymi do skały, widniał wyraźny półkolisty ślad, którego przedtem nie zauważyłem. Podłogę świątyni pokrywał częściowo naniesiony przez wiatr piasek, poziom jej przeto był wyższy niż kiedyś. Dawniej między drzwiami a podłogą musiał być wolny odstęp, dziś otwierane drzwi wyżłobiły w ziemi półkolistą wgłębienie. Odcinek ściany między posągami, pokryty ornamentacją roślinną, krył więc w sobie zamaskowane drzwi. Jak je otworzyć? Naciskałem po kolei kamienne liście, owoce, gałęzie — żadnego skutku.

— Powoli — rzekłem sobie — nie tak chaotycznie. Pomyśl, Andrzejku, chwilę. Sposób otwierania

drzwi na pewno istnieje i musiały go używać setki osób, używany też był na pewno ostatnio. To „coś” powinno być gładkie, wytarte od dotknięć, nie tak zapleśniałe i omszałe, jak inne części ornamentów.

Rozpocząłem systematyczne badanie. W miejscu, gdzie podejrzewałem istnienie drzwi, nie widziałem nic, co by odpowiadało memu założeniu. Zacząłem szukać szerzej i figura z prawej strony przykuła moją uwagę. Była to rzeźba dziewczynki, trzymającej w ręku papugę. Główka ptaka była wytarta, gładka, wolna od omszenia. Przycisnąłem ją. Z cichym szelestem ściana się rozwarła, ukazując długi korytarz, wysłany miękkim chodnikiem.

Byłem w transie. Zdawałem sobie sprawę z tego, że „niewidzialni” mogą mnie widzieć; że może już w tej chwili stoi ktoś przede mną; usłyszę nagle nad uchem zawołanie, albo, co gorsze, otrzymam zniecierpliwiony cios — nie wiadomo skąd i od kogo, choć wiedziałbym za co. Lecz mimo iż rozsądek nakazywał raczej zaniechać ryzykownej wyprawy w głąb korytarza, niepokonkromiona ciekawość pchała mnie naprzód. Wszedłem: drzwi same zamknęły się za mną — działał jakiś automatyczny mechanizm, czy „ktoś” zatrzęsął je usłużnie...

*

Dotknąłem bosą nogą puszystej miękkości dywanu i postąpiłem parę kroków. Po obu stronach koryta-

rza widniały otwory wejściowe, skąd padało przyćmione zasłonami światło dzienne. Wstrzymałem krok i nadśluchiwałem. Doszły mnie spokojne oddechy śpiących ludzi. Podeszedłem do pierwszych drzwi i ostrożnie zajrzałem; na drewnianym, prostym łóżku leżał mężczyzna okryty kolorową zasłoną. Był młody, musiało mu się coś miłego śnić, gdyż regularne, ładne rysy opromieniał lekki uśmiech. Włosy miał kruczoczarne, cerę śniadą. Wykuty w skale niewielki pokój ozdabiała ścienne malowidła. Promień słońca przeciskając się między okienną kotarą a brzegiem okna, padał na drewniany, prymitywny stół na którym leżał hełm, podobny do tych, które noszą motocykliści. Koło stołu stało krzesło, spoczywało na nim ubranie śpiącego i pas metalowy o rurowatym kształcie.

Zajrzałem z kolei do pokoju po drugiej stronie: wszystko było prawie tak samo jak w pierwszym, tylko było tam nieco ciemniej, a mężczyzna był o wiele starszy i głośniejsze chrapał. Posunąłem się ostrożnie dalej, zapuściłem niedyskretne spojrzenie do następnego pokoju i znieruchomiałem. Na łóżku siedziała młoda kobieta. Spadające na ramiona blond włosy tworzyły wokół jej głowy złocistą aureolę. Zwrócona była do mnie plecami, nogi spuściła na ziemię, jakby zamierzała już wstawać. Nagle podniosła się, podeszła do okna i odchyliła żółtawą zasłonę. Pokój zalały promienie słońca. Cofnąłem się i rozpląsałem przy ścianie korytarza, żałując, że nie mogę się w niej rozpląnąć. Obserwowałem z napięciem drzwi, ale mieszkanka po-

koju najwidoczniej zdecydowała, że jeszcze za wcześnie na wstawanie. Usłyszałem skrzyknięcie łóżka, głośne ziewnięcie i w parę minut później równy oddech wskazywał, że zasnęła.

Nie zaglądając już do drzwi po przeciwnej stronie, posunąłem się naprzód — koniec korytarza zakrywała zasłona. Uchyliłem ją i ujrzałem jasną komnatę, pośrodku której stał kamienny stół z resztkami nie zupełnie spożytego posiłku. Kiszki moje dawno już wołały tragicznym głosem o zapelnienie ich bolesnej pustki, toteż bez żadnych skrupułów zjadłem, co się dało, nie bacząc na to, że gospodarze podziemnego mieszkania mogą po przebudzeniu zauważyć ubytek.

Nieforemny otwór w skalnej ścianie, służący za okno. wychodził na zatokę. Posiliwszy się do syta podszedłem do niego i wyjrzałem. Ponad wierzchołkami rosnących poniżej drzew zobaczyłem jacht bez żywej duszy na pokładzie, łódkę wyciągniętą na piasek wybrzeża, a dalej ponad lasem smużkę siwego dymu.

— Muszą tam mieć swoje obozowisko — pomyślałem. Co miałem robić dalej? Jak wydostać się z tej skały? Oprócz drzwi, przez które wszedłem, komnata posiadała jeszcze dwa inne, niczym nie osłonięte przejścia prowadzące do dalszych pomieszczeń. Zagłębiłem się w jedno z nich. Znalazłem się w dość widnej komorze, która musiała służyć za skład. — leżały tam bowiem paki, torby, worki oraz przedmioty o nieznanym dla mnie użytku. Na drewnianym stole przy ścianie dojrzałem leżący hełm i pas rurowatego kształtu —

trochę grubszy niż rowerowa dętka — oba przedmioty identyczne jak te, jakie zauważyłem w pokojach śpiących, tajemniczych ludzi. Zaciekawiony wziąłem pas w rękę i, nie wiele myśląc założyłem na siebie. Zapinał się na prostą sprzączkę, pasował doskonale. Wykonany był z jakiegoś lekkiego, plastycznego, połyskliwego metalu. Pod prawą ręką wystawały dwa guziki, jak przy przełączniku elektrycznym: jeden czerwony, drugi zielony. Machinalnie przycisnąłem guzik czerwony...

W tym samym momencie cały świat wokół mnie zapadł w ciemność. Mając otwarte szeroko oczy, nie widziałem absolutnie nic.

— Co się stało? Oślepiłem? — pomyślałem przerażony. Namacałem drugi guzik przycisnąłem: ciemności znikły, znowu widziałem normalnie. Powtórzyłem doświadczenie parokrotnie z identycznym skutkiem. Cóż to mogło być? Domyśliłem się, że pas ten musi mieć coś wspólnego z „niewidzialnością” moich śpiących gospodarzy. Prawdopodobnie, przyciskając czerwony guzik staje się niewidzialny. Czemu jednak sam wtedy nie widzę? Nagle stuknąłem się palcem w czoło. To przecież bardzo proste. Gdy przyciskam czerwony guzik, musi się wtedy wokół mnie wytwarzać jakieś pole, nieznanego dla mnie gatunku, które odgina promienie świetlne, sprawia, że zamiast uderzać we mnie prostopadle, przepływają obok, jak woda wokół kamienia. Przez to, że moje ciało i ubranie nie odbijają promieni, staje się niewidzialny, ale też nie otrzymując promieni odbitych od innych przedmiotów nie widzę tam nic —



ogarnia mnie taka nieprzenikniona ciemność. Jaki sposób mają na to moi „niewidzialni”? — przecież na pewno nie macają przestrzeni przed sobą białym kijkiem. I znowu puknąłem się w czoło: hełm! Oczywiście hełm z dziwnymi okularami. Pośpiesznie chwyciłem biały hełm. założyłem go na głowę i spuściłem okulary na oczy — były to właściwie dwie króciutkie lunetki w grubej, wspólnej oprawie. Ujrzałem przez nie otoczenie szare, pozbawione wszelkiej barwy, jak na czarno-białej fotografii Nacisnąłem czerwony guzik u pasa. Żadnej zmiany — okulary dawały nadal szarawy obraz otoczenia. Najwidoczniej pole. wytwarzane przez pas. odginało tylko promienie widzialne dla oka ludzkiego, okulary zbierały promienie niedostępne wrażliwości oka i "uwidzialnione" znowu podawały moim źrenicom. Wspaniale! Mając teraz tak niezwykły środek jak niewidzialność za sprzymierzeńca mogłem przyjść z pomocą wujowi i innym uwięzionym towarzyszom. Trzeba tylko wydostać się stąd jak najprędzej.

Przeszedłem do jadalni i wyjrzałem oknem. Czy nie udałoby się przez nie wydostać na zewnątrz? Skała spadała stromo w dół i nie dostrzegłem na jej dość gładkiej powierzchni żadnego punktu zaczepienia. Nie tędy droga. Stałem jeszcze przy oknie, zastanawiając się, co dalej czynić, gdy usłyszałem za sobą cichy szelest kroków. Do sali wszedł młody człowiek, którego widziałem uprzednio w pierwszym pokoju. Oczy miał zaspane, ziewał raz po raz, muskularnymi ramionami wykonywał gimnastyczne ruchy, jakby chciał z nich

usunąć resztki zniewalającej senności. Wyjątkowo wielkie, ciemne oczy osadzone były głęboko w śniadym, gładkim obliczu, świetnie zbudowane ciało okrywała jedynie barwna przepaska, owinięta wokół bioder i kończąca się tuż pod kolanami.

Na jego widok serce we mnie zamarło — zapomniałem z wyrażenia o mej „niewidzialności“, lecz niewidzialność ta okazała się rzeczywistą, gdyż młody człowiek zupełnie nie dostrzegął mej obecności, choć spojrzął raz i drugi ku oknu, gdzie stałem, tłumiąc oddech w piersi. Dziwne to było uczucie, gdy wzrok jego wędrował poprzez mnie gdzieś w dal, jak bym był powietrzem. Na rasię więc czułem się bezpieczny, ale co będzie, gdy nieznajomy stwierdzi ubytek jedzenia lub zniknięcie pasa i hełmu? Na szczęście jego spojrzenie prześliznęło się z roztargnieniem po opustoszałej zastawie, a on sam skierował się ku wyjściu, którego jeszcze dotąd nie badałem. Starając się stawiać swoje kroki w rytm jego chodu, posuwałem się jak najciszej nim. Otworzył się przed nami mroczny korytarz, spadający dość stromo w dół. Po prawej stronie podziemnego chodnika czerniały wejścia, prowadzące w nieznane ciemności. Mój mimowolny przewodnik mijał je obojętnie, zatrzymał się dopiero na końcu korytarza przed kamienną statua, przycisnął w niej coś, po czym ściana przed nami rozstała się i wyszliśmy obaj na światło dzienne.

Po skale z góry spływał z szumem wodospad wypełniając bulgocącą wodą wielką kamienną misę.

Młody człowiek zrzucił wzorzystą przepaskę i zanurzył się w wodzie. Chętnie i ja byłbym poszedł za jego przykładem, ale ze zrozumiałych względów nie mogłem tego uczynić.

Strumień, przelewający się przez brzeg kamiennej misy, spadał z wysokości jakichś dziesięciu metrów, potem wyprostowywał swój bieg i płynął dalej spokojnie przez gęsty, tropikalny las. Czepiając się występów skalnych i krzewów, zsunąłem się w dół i szedłem dalej wzdłuż strumienia. W ten sposób wkrótce znalazłem się u jego ujścia do morza. Jacht stał niedaleko brzegu, widziałem na jego pokładzie kręcącego się Smitha, a u boku statku kołysała się duża łódź. Nie mając na razie sposobu dostania się na jacht, skierowałem swe kroki w głąb lasu. Szedłem niewielką, dobrze wydeptaną ścieżką, która, jak przypuszczałem, prowadziła do miejsca uwięzienia moich przyjaciół jeśli jeszcze żyli. Gdybym nie był tak pełen troski o ich los, byłbym niewątpliwie więcej czasu poświęcił na podziwianie otaczającej mnie przyrody. Pierwszy raz przecież w życiu znajdowałem się w podzwrotnikowej dżungli, a mogłem ją oglądać sam nie będąc widzianym. Nie płoszyłem więc swoim widokiem barwnych papug, małp. różnego gatunku i innych stworów Bożych. Niewidzialność jednakże, obok stron, dodatnich miała i swoje przykre skutki. W pewnej chwili jakieś wielkie ptaszysko myśląc, że ma przed sobą wolną drogę i nisko szybując, palnęło mnie dziobem w plecy. Ptak nastraszył się i narobił wrzasku, ja zaś szedłem

dalej z rozbitą boleśnie łopatką, żeby uniknąć podobnych wypadków, wziąłem dużą gałąź w rękę. Nie wiedziałem co prawda, czy i ona stanie się niewidzialną. Jak daleko ode mnie działało pole niewidzialności? Jak to sprawdzić? Przez okulary i tak widziałem i siebie i wszystko dokoła. Trzymając gałąź tuż przy swoim ciele, podszedłem ostrożnie do małego ptaszka, siedzącego na gałęzi. Stworzonko o żółtej, kanarkowej barwie nie zareagowało na moje zbliżenie. Wolno zacząłem wysuwać gałąź przed siebie. Dopiero, gdy znalazła się o jakieś trzy dłonie od mych piersi, ptaszek, spłoszony, zerwał się do lotu.

— Muszę trzymać ręce przy sobie — pomyślałem — nie wiadomo, czy i one się nie ukąszą, gdy je zanadto wysunę.

Po niespełna dwudziestu minutach marszu wyszedłem na obszerną polanę, porośłą tu i ówdzie niskimi zaroślami. Pośrodku polany stał mały dom, niezdarnie wzniesiony z kamienia. Z komina wydobywał się dym. Przed domem na ławce siedział ryży bandyta z karabinem w rękę. Głowę oparł o ścianę — drzemał. Na lewo od niego między drzewami dojrzałem dwu ludzi, obnażonych do pasa, kopiających dół. Uczułem zimno w sercu: czyżby szykowali grób dla moich przyjaciół? Czy nie przybyłem za późno? Zataczając bezpieczny łuk, żeby strażnik nie mógł zobaczyć uginającej się pod moimi nogami trawy, dotarłem do domku i wszedłem w drzwi, które stały otworem. Buchnął mi w nozdrza zapach smażonego na patelni mięsa. Pochylony nad

prymitywną kuchnią stał człowiek w kraciastej, czerwonej koszuli, wypuszczonej po amerykańsku na zewnątrz spodni.

Wchodząc, potrąciłem przez nieuwagę stojący koło drzwi kubek, który narobił dużo hałasu.

-- Jim, - rzucił przez ramię kucharz, nie oglądając się — take that pail, and, bring the water. (Dżim, weź to wiadro i przynieś wody!)

Nadeszła chwila działania. Chwyciłem leżące na ziemi potężne bierwiono i walnąłem nim z całej siły w tył głowy kucharza. Upadł na ziemię, nie wydawszy nawet dźwięku.

— Jim, — zawołałem stłumionym głosem z kuchynki — come here!

— What's the matter? - odpowiedział sennym głosem rudy Jim z zewnątrz. Słyszałem, jak podniósł się ciężko z ławki i skierował ku drzwiom. Czekałem nań z moim bierwionem, trzymanym dla pewności tuż przy ciele. Wchodzący ujrzał leżącego kucharza, rzucił zdziwionym wzrokiem wkoło, ale nie dostrzegając nic podejrzanego, nachylił się nad omdlałym kolegą. Gdyby ktoś obserwował scenę, jaka teraz nastąpiła, zdumiałby się niepomieranie, widząc jak potężna kłoda drzewna ukazawszy się niespodziewanie w powietrzu zatoczyła szybki łuk i palnęła w łeb ryżego strażnika. Ten zaryczał z bólu i obejrzał się z wściekłością.

— Go za twarda głowa! — pomyślałem, przycisnąwszy polano z powrotem do siebie.

Jim obrzucił otoczenie błędnym spojrzeniem, potem jednym skokiem znalazł się przy solidnie wykonanych, drewnianych drzwiach, które z kuchni prowadziły w głąb domu. Dotknął, zdumiony, stalowej zasuwki; pewnie mniemał, że niespodziewany atak przyszedł stamtąd. Drzwi tymczasem były zamknięte. Nie dałem mu czasu na dalsze badania; zebrałem wszystkie siły i powtórzyłem cios. Tym razem bandyta padł jak kłoda na podłogę.

Spoza zamkniętych na zasuwkę drzwi dochodziły mnie głosy rozmowy, w której dominował głęboki bas mego wuja. Żyją więc!... Podbiegłem do drzwi i odsunąłem zasuwkę. Uchyliły się nieco. Czekałem.

Najprostszą rzeczą było właściwie ujawnić się moim przyjaciółom, czy też spłatać im jakiegoś figla. Pamiętałem dobrze różne dowcipne żarty z filmów o duchach, lub o niewidzialnych. Ale coś, sam nie wiem dokładnie co powstrzymywało mnie przed tym. Odkrycia, dokonane ostatniej nocy. były tak niezwykle, że chciałem jak najdłużej pozostać jedynym posiadaczem, tajemnicy. Przygoda straciłaby coś ze swego uroku, gdybym' ją przedwcześnie ujawnił. Nie wydałem więc żadnego dźwięku i obserwowałem, co się zacznie dziać.

Drzwi otworzyły się szerzej, wyjrzała zza nich czarna głowa Jeremiasza. Popatrzył, cofnął się raptownie i rzucił swym towarzyszom słowa zdziwienia. Za sekundę już cała gromada znalazła się w kuchni.

Na twarzach ich malowało się zdumienie i podniecenie.

— Kto to zrobił? — padło pierwsze pytanie. Ale ponieważ odpowiedź znikąd nie nadeszła, moi towarzysze nie zastanawiając się dłużej, porwali z ziemi karabin, z pochwy u pasa wyciągnęli kucharzowi pistolet i natychmiast przystąpili do wiązania i kneblowania nieprzytomnych bandytów. Gdy to ważne dzieło zostało skończone, wuj i Stanley ostrożnie wyjrżeli na zewnątrz.

Nic nie wiedząc o wydarzeniach wewnątrz domku, dwaj grabarze, odwróceny od nas tyłem, spokojnie kopali dalej. Padły stłumione słowa krótkiej narady, po czym Staś z pistoletem w ręku wysunął się chyłkiem z domu i, korzystając z osłony krzaków i drzew, począł podchodzić kopaczy. Wuj, w razie czego, miał go wspomóc z domku ogniem karabinu.

— Co za głuptas! — szepnąłem nerwowo, widząc skradającego się Stanleya, którego jaskrawa, koszula z wymalowanymi barwnymi rybkami, statkami, palmami i plażowymi pięknościami, wprost krzyczała: Everybody look at me!(Patrzcie i oglądajcie mnie wszyscy!) Bojąc się, że kopacze zaraz dostrzegą naszego marynarza, zatoczywszy wielki łuk po drugiej stronie polanki, lekkim truchtem zbliżyłem się do robotników, gotów do odegrania roli niewidzialnego Anioła Stróża wobec mego przyjaciela. Teraz dopiero zauważyłem, że o parę metrów od dołu stały oparte o drzewo dwa ka-

rabiny. Podszedłem do nich ostrożnie i nieznacznie odciągnąłem, chowając je w krzakach.

Stanley tymczasem był już blisko. Niestety jeden z kopaczy musiał dostrzec kątem oka jaskrawość jego koszuli, przebijającej przez zielone krzewy, bo wyprostował się nagle, obejrzał krzyknawszy ostrzegawczo na towarzysza, wyskoczył z rowu. Jakież jednak było jego zdumienie i rozczarowanie, gdy dopadł miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć pozostawioną broń. Stał przez chwilę osłupiały, rozglądając się niezdecydowanie. Ale Stanley, wadząc się odkrytym, wybiegł z zarośli i z wycelowanym niedwuznacznie pistoletem zmusił dwóch łotrów do podniesienia rąk do góry. Wkrótce znaleźli się oni wraz z Jimem i kucharzem w komórce, gdzie uprzednio więziono wuja z towarzyszami. Zabrane bandytom karabiny wyciągnąłem teraz na ścieżkę. Spodziewałam, się, że moi przyjaciele udadzą się tamtędy niezadługo celem odzyskania statku.

Tak też uczynili. Na widok leżących na ścieżce karabinów zdumieli się niezmiernie.

— Ktoś nam najwidoczniej pomaga — zauważył słusznie wuj i począł się rozglądać wokoło. — Ale dlaczego sam się nie pokazuje? To chyba nie Andrzej, bo ten nie robiłby komedii?

—Woodoo spirits. (Duchy Woodoo) są po naszej stronie — zabobonnie wyszeptał Jonatan.

Nie szukając rozwiązania zagadki, wuj z towarzyszami udał się ścieżką ku brzegowi. Minałem ich i pobiegłem naprzód: ścieżka była dobrze wydeptana,

dzięki temu nie zostawiałem żadnych śladów. Wypadłem z lasu w chwili, gdy z łodzi wysiadali Smith, Thompson i jeszcze jeden bandyta o bezmyślnych, rybich oczach. Rozmawiając o czymś żywo skierowali się ku miejscu, gdzie stałem. Trzeba, było ostrzec moich przyjaciół: mieli świetną okazję do urządzenia zasadzki. Pobiegłem więc znów w górę ścieżki. Za ostrym zakrętem natknąłem się na wuja i Stasia, którzy szli pierwsi. Usunąłem się na bok, przepuściłem ich i zacząłem iść tuż za nimi. Gdy znaleźli się o kilka metrów od zakrętu, wsadziłem głowę między nich i wypowiedziałem półgłosem:

— Idą, chowajmy się!

Uskoczyli obaj na boki i dając znak idącym za nimi murzynem, pokryli się w krzakach. Każdy z nich pewnie myślał, że słowa ostrzeżenia wypowiedział ten drugi, nie zorientowali się wcale, że przyszły one z... powietrza. Koszula Stanleya świeciła na milę swą jaskrawością przez zieloność dżungli.

— A niech go... — mruknąłem pod nosem znowu popsuje wszystko.

Ale on widać sam doszedł do tegoż wniosku, bo zdjął koszulę i wsadził do kieszeni. Jego opalone na brąz ciało dosłownie zlewało się z otoczeniem. Odetchnąłem z ulgą.

Bandyci tymczasem byli już blisko. Szli powolnie z karabinami przewieszonymi przez ramię.

— Idą wykonać egzekucję — pomyślałem — ale czeka ich tam największa w życiu niespodzianka.



W istocie trzeba było widzieć ich ogłupiałe miny, gdy ujrzeli skierowane ku sobie z zarośli lufy karabinów, a energiczny głos ich byłego więźnia, kazał im rzucić broń i podnieść ręce do góry. Na twarzy Smitha odmalowała się z kolei bezsilna wściekłość, oblicze Thompsona pozostało nieruchome, rybie oczy trzeciego bandyty wyrażały głupkowaty strach i jakby pokorne błaganie o litość. Wszyscy trzej podnieśli ręce do góry, a Jeremiasz zabrał im broń.

Pozostawał więc na wolności jeszcze jeden bandyta: strażnik na statku. Ten przedstawia: najtrudniejszy orzech do zgryzienia; gdyby się zorientował, co się stało, mógł po prostu podnieść kotwicę i uciec wraz z jachtem.

Zastanawiałem się właśnie, w jaki sposób wspomóc mych przyjaciół, gdy wuj wystąpił z planem prostym i mającym zasadniczo wszelkie dane powodzenia. Stanley i on przebiorą się w ubrania dwu bandytów i pojedą łódką do jachtu. Wioślarze siedzą tyłem do kierunku jazdy, więc strażnik nie powinien ich rozpoznać, aż do momentu, gdy będzie za późno.

Dwaj murzyni zabrali jeńców, celem umieszczenia ich w domku z innymi więźniami. Wuj i Staś rozpoczęli wdziewać bandyckie łachy. Postanowiłem towarzyszyć im w ich wyprawie, ale plany moje udaremniło ukazanie się nowej postaci na horyzoncie wydarzeń. Od strony morza szedł po ścieżce młody człowiek z hełmem na głowie, rurowatym pasem naokoło bioder i z podłużnym przedmiotem w ręku, w którym odga-

dłem rodzaj pistoletu. Na mój widok zatrzymał się i dał mi znak, żebym szedł za nim. Skierowana ku mnie tajemnicza broń niedwuznacznie wskazywała, że nie mam innego wyboru, jak tylko posłuchać wezwania. Opuściłem więc moich przyjaciół, nieświadomych tego, że ich tajemniczy wybawca sam teraz znalazł się w opałach.

ROZDZIAŁ III

PORWANY W PRZESTRZEŃ

Szedłem za niewidzialnym w milczeniu. Prowadził mnie z powrotem ku skalnemu mieszkaniu. Za jego dotknięciem uchylił się potężny głaz ukazujący ciemny otwór. Wkrótce znaleźliśmy się na znajomym chodniku, prowadzącym do jadalni.

Gdy wspinaliśmy się ku górze, nieznajomy przemówił po raz pierwszy po angielsku z wyraźnym obcym akcentem. Nakazał mi zdjąć pas i hełm. Posłuchałem. Nie widziałem teraz wokół siebie nikogo, ale głos kazał mi iść naprzód.

Trzymając hełm i pas pod ręką, wszedłem do jadalni. Przy stole siedziały trzy osoby: starszy pan z brodą i dwie młode dziewczyny. W jednej z nich rozpoznałem blondynkę, którą widziałem rano w jej pokoju: druga, nieco starsza, zwracała uwagę niezwykle bujnymi, kasztanowymi włosami, ułożonymi w duże estetyczne fale. Ubrani byli bajecznie kolorowo w stroje, które najbardziej może przypominały hawajskie, czy malajskie sarongi. Z szyi zwieszały się złote łańcuchy, zakończone symbolami, których znaczenia nie rozumiałem.

Wchodząc, skłoniłem się niepewnie — odpowiedziano mi lekkim skinieniem głowy i badawczym spojrzeniem. Mój towarzysz „uwidzialnił się” w międzyczasie, odebrał mi hełm i pas i ruchem ręki zaprosił do

wzięcia udziału w obiedzie. Usiadłem niezdarnie. Siedząca obok mnie blondynka usłużnie podała półmisek. Nieco drżącymi rękami zsunąłem na talerz jakąś brązową galaretkę. Obok talerza leżała mała łopatka w miniaturze, podobna do tych, jakich używa się do odgarniania śniegu. Okazała się dość praktyczna. Galaretka była smaczna, ale ja, z wielkiego wrażenia, nie miałem nadzwyczajnego apetytu.

Starszy pan zwrócił się do młodego w owym melodyjnym języku, który słyszałem już w nocy. Ten z kolei zapytał mnie po angielsku, czy ujawniłem komukolwiek swoją niewidzialną obecność. Pokręciłem przecząco głową.

— Jakżeś nas tu odkrył? — padło znowu pytanie.

Opowiedziałem pokrótce całą przygodę. Widząc, że mi nie łatwo jest wysławić się po angielsku, młodzieniec zapytał:

— Skąd pochodzisz? Twój akcent brzmi obco.

— Jesem Polakiem — odpowiedziałem.

— Polkon - wyjaśnił obecnym mój tłumacz.

Siedząca obok mnie młoda dziewczyna ożywiła się.

— Jesteś Polakiem? — zapytała po polsku — O, ja trochę mówię po polsku.

Widać było, że ją to odkrycie bardzo rozradowało, uśmiechnęła się, ukazując dwa urocze dołeczki na policzkach. Jej duże, może nawet trochę za duże, niebieskie oczy patrzyły na mnie z życzliwością i zainteresowaniem.

— Jak się nazywasz? — spytała.

— Andrzej.

— Andrzej? Po naszymu to będzie brzmiało Andra — dodała tonem pouczającym. — Moje imię jest Lena, a to są: Ira, Pali i Dani — powiedziała wskazując kolejno starszego i młodszego mężczyznę, oraz dziewczynę o kasztanowatych włosach. — Ira to mój ojciec. Pali jest moim bratem, a Dani jego narzeczoną.

Zachęcony tymi przedstawieniami doszedłem do wniosku, że nadszedł czas na pytania z mojej strony:

— Kim wy jesteście?

Lena uśmiechnęła się trochę tajemniczo i pokręciła głową:

— Trochę cierpliwości — rzekła — dowiesz się wszystkiego w swoim czasie, teraz nie ci nie mogę powiedzieć. Wiedz tylko jedno: nic cię złego nie spotka, chyba żebyś chciał uciekać... Musisz zostać z nami — za dużoś się dowiedział...

— Ba, żebym się dowiedział — odparłem — tymczasem nic nie wiem i niczego nie rozumiem. Powiedzcie mi chociaż, czy jesteście mieszkańcami naszego globu, czy jakiej innej planety?

— Skąd ci taka myśl przyszła do głowy?

— Widziałem wasz „latający talerzyk”.

Istnieje opinia, że nadlatują one z przestrzeni, nasza bowiem technika nie może jeszcze wyprodukować napowietrznego statku, który by tak kpił ze wszelkich praw grawitacji i bezwładności.

— Latający talerzyk? śmieszna nazwa — odparła Lena. — Ale powiedz mi — rzekła filuternie — czyż ja

naprawdę wyglądam na jakąś potworę z przestrzeni z trzema ślepiami, wielką łysą głową i mackami ośmiornicy, jak to opisują w waszych fantastycznych powieściach?

— Międzyplanetarnego upiora mi nie przypominasz, to prawda, ale niemniej wyglądasz nieziemsko, o pani — odpowiedziałem z żartobliwym komplementem.

Czułem nerwowe odprężenie. Przeprowadzono mnie tutaj pod groźbą pistoletu, ale w tej chwili wytworzyła się omal przyjacielska atmosfera. Byłem bardziej gościem niż więźniem. Ira dał znak do powstania od stołu. Obecni skłonili się sobie i rzekli coś, co musiało odpowiadać naszemu „dziękuję”. Coraz bardziej nabierałem przekonania, że moi gospodarze są mieszkańcami naszej planety. Ale skąd pochodzą? Języka ich nie rozpoznawałem zupełnie. Rysy twarzy były regularne, ładne, czoła lekko pochylone ku tyłowi głowy, cera smągła; nawet Lena. chociaż była blondynką, miała śniadą, jaką mają zwykle ludzie o włosach ciemnych, gdy się opalą. Cała czwórka posiadała bardzo duże, okrągłe, głęboko osadzone oczy. Trudno mi ich było zaliczyć do jakiegoś specyficznego typu rasowego.

Po odejściu od stołu Pali zabrał mnie ze sobą do składziku. Odślonił tam przyrząd, przypominający niewielką radiostację z anteną. Skierował ku mnie stallowy pręt.

— Nie ruszaj się przez chwilę — rzekł. Po czym zaczął coś kręcić przy tajemniczym przyrządzie; usły-

szalem ciche brzęczenie, na białych tarczach poruszyły się wskazówki. Pali patrzył na nie uważnie, a następnie pokrył nieznanymi znakami białą sztywną kartkę, którą wyjął ze skórzanej torebki, zawieszanej u pasa.

— Cóż to ma być? — spytałem.

— Sam ci to chciałem powiedzieć — odrzekł.

— Pewnie nie wiesz o tym, że każdy człowiek ma swoją charakterystyczną falę którą promieniuje w przestrzeń.

Właśnie zmierzyłem twoją. Gdybyś teraz chciał uciec, to tylko nastawię tamten aparat. który widzisz w kącie, na wymiar twojej fali, przycisnę ten przełącznik i... już cię mam. Gdziekolwiek byś się schronił, dosięgnę cię wszędzie.

— Pocieszające — pomyślałem. A Pali ciągnął dalej:

— Ponieważ odkryłeś tutaj naszą bazę, nie może my cię puścić. O zbyt ważne sprawy chodzi. Gdybyś po wyjściu stąd zaczął opowiadać o niewidzialności i latającym talerzyku, nikt by ci i tak nie uwierzył. Inaczej ma się jednakże sprawa z tym podziemnym mieszkaniem, którego nie mamy ochoty opuszczać. Wobec tego odeślemy cię tam, gdzie nie będziesz dla nas niebezpieczny. Ale nie martw się, przekonasz się wkrótce, że los uśmiechnął się do ciebie łaskawie.

— A gdybym przyrzekł, że zatrzymam tajemnicę tego miejsca przy sobie? Macie mnie przecież w ręku,

gdybym zdradził, to naciśnięcie ten guziczek i już po mnie.

Pali pokręcił jedynie głową w odpowiedzi. Nie chciał dalej dyskutować na ten temat.

— Idź teraz do jadalni — rzekł. — Lena czeka tam na ciebie. Moja siostra jest straszna ciekawska, przygotuj się więc na potop pytań. Ciekawe to jest stworzenie, ale bardzo zacne dziewczynisko — dodał z nutą serdeczności w głosie.

Lena zasypała mnie rzeczywiście pytaniami. Podczas gdy reszta towarzystwa znikła w dalszych pomieszczeniach, ja musiałem opowiadać uroczemu dziewczątku dzieje swego życia i przygód. Słuchała z zajęciem, ale wiele rzeczy nie od razu mogła zrozumieć. Musiałem powtarzać objaśniać nawet rysować nieznanne jej przedmioty. Pytała o różne zwyczaje, o urządzenia domowe, o rozrywki o stroje męskie i kobiece. W pewnej chwili, wskazując palcem na mnie, powiedziała:

— Ale ten twój strój, który masz na sobie, wcale mi się nie podoba.

— Mnie też — odparłem nieco zażenowany: byłem przecież wciąż ubrany tylko w spodnie od pizamy.

Tę czerwoną pizamę w żółto-czerwone groszki dostałem od poczciwej gospodyni Anny, jako pożegnalny prezent w dniu odjazdu jachtu. Aż oczy bolały patrzeć na tę orgię barw, ale ostatecznie w nocy ma się powieki zamknięte. Wyjaśniłem zaraz Lenie powód tego niesalonowego ubioru. Dziewczyna zerwała się z krzesła:

— W takim razie przyniosę ci coś porządniejszego.
— I pobiegła do pokoju swego brata. Za chwilę wróciła, niosąc szeroką przepaskę na biodra, zdobną w kwiecisty, jaskrawy desek.

— „Zamienił stryjek siekierkę na kijek czyli "z deszczu pod rynnę" — pomyślałem, ale nic nie rzekłem. Przyjąłem dar i przeszedłem do drugiego pokoju, by się przebrać.

Gdy wróciłem w tym hawajskim stroju, Lena była zachwycona przemianą.

— Teraz wyglądasz już jak jeden z nas — powiedziała i zaczęła z radości klaskać w ręce.

Patrzałem na nią z pewnym zdziwieniem. W rozmowie czasem wydawała mi się poważną i nawet głęboką, dziewczyną, czasem zaś jej zachowanie i wypowiedzi były bardzo naiwne, a nawet dziecinne. W jakim mogła być wieku? Nie wyglądała na więcej, niż szesnaście, może najwyżej osiemnaście lat.

— Czy nie będę niedyskretny, jeśli zapytam cię, ile masz lat?

— O, to nie żadna tajemnica — odpowiedziała z uśmiechem. — Mam trzydzieści dwa lata.

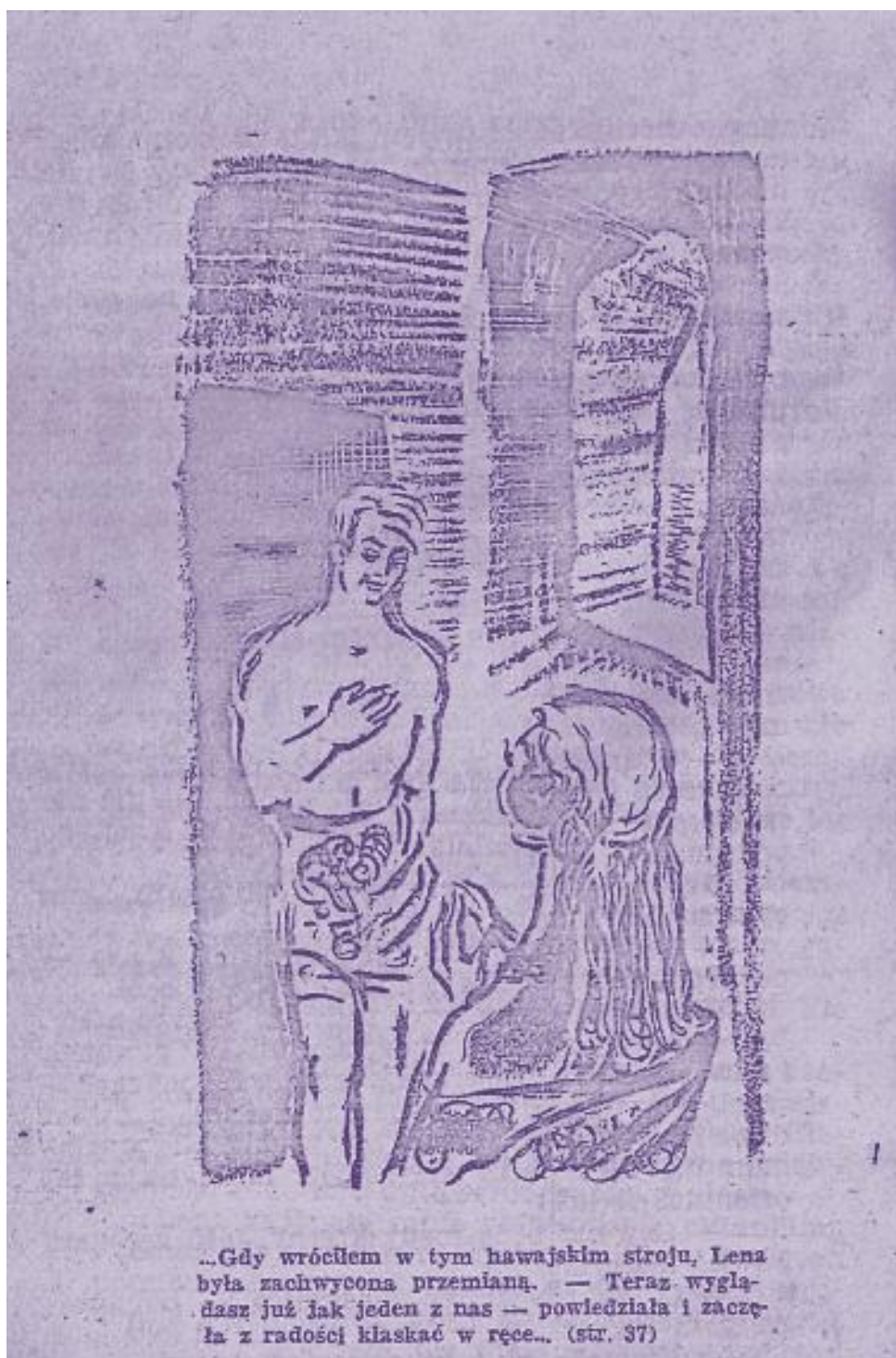
— Niemożliwy - odparłem zdumiony.

— Co jej się stało? — szepnąłem. — Czy ją czymś uraziłem? A może skłamała i zawstydydziła się tego? Wcale mi nie wyglądała na trzydzieści dwa lata.

-- Dlaczego się dziwisz? To prawda, mam... -- w tym momencie przerwała, zmieszana i zarumieniona.

Patrzyła na mnie przez chwilę niepewnie, nagle wstała i mówiąc „przepraszam” wyszła.

Tak mi się przyjemnie z nią rozmawiało, tak bardzo zaczyna mi się podobać jej bezpośredniość, pogoda i wdzięczna naiwność, że teraz zrobiło mi się przykre. Lecz myśli moje na temat Leny przerwał dolatujący przez okno terkot motoru.



Poszedłem szybko do okna. Na śmierć zapomniałem o wuju. Czy się udało jego przedsięwzięcie? Tak. na pokładzie ruszającego jachtu widziałem wuja i Jeremiasza, patrzących w stronę dżungli. Jacht płynął w kierunku pełnego morza. Czy opuszczał już to miejsce na dobre? Co zrobiono z bandytami? Czy wuj nie powinien był, przynajmniej przez jakiś czas. przeprowadzić poszukiwań mojej zaginionej osoby? Jakie były jego zamysły? — na te pytania, rzecz jasna, nikt nie mógł dać mi w tej chwili odpowiedzi.

Myśli więc moje powróciły do rozważań własnej sytuacji. Zacząłem sobie wyrzucać, że tak biernie poddałem się przemocy tajemniczych mieszkańców podziemnej siedziby. Czy nie należało spróbować ucieczki? W ten aparat wychwytyjący „moją falę” niezbyt wierzyłem, ale nawet gdyby to była prawda, miałem w tej chwili jedyną sposobność wpaść do magazynu, zdruzgotać aparat, porwać pas i hełm i uciekać. Co mnie tu trzymało? Strach? Tajemnica? Piękne oczy Leny? Nie chcę być niewolnikiem ani pięknych oczu, ani trwogi przed niebezpieczeństwem. Zawrzała we mnie walka między ciekawością i obawą, pragnieniem wolności a dziwną sympatią dla tych niezwykłych ludzi. Byłem już gotów do ucieczki i znowu opanowało mnie wahanie. Serce zaczęło bić mocno, na czoło wystąpiły krople potu.

Uciekać; czy pozostać?

W tej chwili ze składziku, gdzie stały aparaty, dobiegło głośnie, brzęczenie i w parę sekund, później do

jadalni wbiegł Pali. Popatrzył na mnie surowo, ale bez gniewu.

— Oszczędź sobie nerwów — powiedział. — Na twoim miejscu może też bym myślał o ucieczce, ale to się nie zda na nic. Tak los chciał, jesteś teraz związany z nami i nie zmienisz tego.

— Czyż on potrafi czytać moje myśli? — przemknęło przez głowę zdumione pytanie. — Skąd, wie, co się dzieje we mnie?

Widząc zmieszanie i zdziwienie na mojej twarzy. Pali uśmiechnął się wyrozumiale i rzekł:

— Jeszcze niejedna niespodzianka cię czeka, drogi Andra. Ale to nie ja odgadłem twoje myśli, lecz ten aparat. Jest stale nastawiony na twoją falę i natychmiast daje znać brzęczeniem, gdy się w tobie dzieje coś niezwykłego. O, słyszysz? Już przestaje.

Rzeczywiście napięcie nerwowe się rozładowało. byłem już zrezygnowany.

Wieczorem zasiedliśmy do kolacji, przygotowanej przez Dani. Lena milczała. Rozmowę ze mną prowadził Pali, zadając różne pytania i tłumacząc moje odpowiedzi pozostałym biesiadnikom. Gdy się ściemniło zupełnie, założyliśmy wszyscy na rozkaz pasy i hełmy i niewidzialni udaliśmy się do pływającego, metalowego dysku. Ten, jakby przyciągnięty magnesem, podpłynął do brzegu. W wieżycze otwarła się niedostrzegalna przedtem kłapa, przez którą dostaliśmy się do środka. Tutaj „uwidoczniliśmy się“ i zasiedliśmy na wyściełanych skórą fotelach. Wnętrze olbrzymiego dysku przy-

pominało mi wewnątrz osobowego samochodu, tylko że zamiast przedniego okna rozpościerał się wielki ekran telewizyjny, pod nami zaś widziałem mnóstwo przeróżnych przycisków, wskaźników, lampek, dźwigni,



jak w samolotowej kabinie pilota. Na bocznym ścianach widniało kilka mniejszych ekranów telewizyjnych czy radarowych, oraz szereg przyrządów o nieznanym dla mnie zastosowaniu.

Ira, Pali i jego narzeczona zajęli przednie miejsca. Lena i ja usadowiliśmy się za nimi. Kłapa wejściowa zamknęła się, Ira poprzyciskał kilka guziczków na tablicy i pociągnął ku sobie małą dźwignię: dało się słyszeć ciche brzęczenie na frontowym ekranie zobaczyłem wyraźnie jasno oświetlone wnętrze groty. Zanurzyliśmy się w wodę i wychyliliśmy z morza po drugiej stronie skały. Nasz napowietrzny statek pochylił się pod ostrym kątem do powierzchni ziemi: przez sekundę dojrzałem zatokę, skałę, dżunglę — jasne, jakby to był dzień — po czym to wszystko z szaloną szybkością zapadło się w dół. Mimo nieprawdopodobnej szybkości, z którą musieliśmy lecieć, i pochyłeń dysku nie czułem wewnątrz aparatu żadnych wahań, ani wstrząsów, ani też tego nieprzyjemnego uczucia gwałtownej ciężkości, jakie się ma przy wjeżdżaniu windą w górę. Wnętrze latającego talerzyka musiało być uniezależnione od przyciągania - ziemskiego, natomiast posiadało własne pole grawitacyjne, dzięki czemu nie fruwailiśmy bezładnie po kabinie, ale siedzieliśmy mocno w fotelach.

Ziemia z błyskawicznym pędem uciekała w dół, coraz mniej szczegółów mogłem dojrzeć na jej powierzchni, coraz wyraźniej rysowała się jej krzywizna; nawet chmury pozostały daleko pod nami. Dokąd ula-

tywaliśmy? Poczulem nagle delikatną rękę Leny na mojej. Spojrzałem na nią. Patrzyła na mnie ze wzruszeniem i tak jakoś serdecznie. Uśmiechnąłem się do niej w odpowiedzi, ale nie zamieniliśmy ani słowa. Co było powodem jej wzruszenia? Ja sam czułem dziwny ucisk w sercu, ale wiedziałem dlaczego. W tak niezwykłych przecież okolicznościach pędziłem z zawrotną szybkością ku nieznanej przyszłości. Może to ostatni raz w życiu patrzyłem na Ziemię? Odwróciłem wzrok od Leny i z uwagą śledziłem ekran przede mną. Na tle nieba dostrzegłem jakiś punkt nieruchomy, który powiększał się z każdą sekundą, aż urósł w kształt olbrzymi. Jak gdyby gigantyczny izolator wysokiego napięcia. Były to wielkie dyski, o dużo większej średnicy niż nasz, ułożone jeden nad drugim tak ściśle, że tworzyły jedną całość. Naliczyłem ich siedem, każdy o wysokości przynajmniej dwupiętrowej kamienicy. Zmierzaaliśmy ku dyskowi dolnemu. Ira rozmawiał z kimś przez mikrofon. W gładkiej, metalicznej powierzchni najniższego dysku otwarła się wielka kłapa, ukazując otwór, przez który wpłynęliśmy do obszernej stalowej komory. Nie było w niej nic poza ogromnymi drzwiami prowadzącymi do wnętrza olbrzyma i zespołem, lampek sygnałowych, które zapaliły się dając znak „minus”.

— Wpompowuję powietrze do komory — objaśniła Lena.

Po paru minutach sygnał zmienił się w świetlisty "plus", pozwalający wysiadać. Wielkie wrota otworzyły

się; za nimi ujrzałem ogromną halę, w której stało kilka dysków podobnych rozmiarami do naszego. Wysiedliśmy z naszego wehikułu i zaraz za stalowymi drzwiami weszliśmy na długi, półokrągły korytarz z mnóstwem drzwi po obu stronach. Naprzeciw nas wyszedł wysoki mężczyzna o krótko przystrzyżonych włosach, ubrany w kombinezon, jaki noszą do pracy robotnicy. Skłonił się i zamienił kilka słów z Irą. Z gestów wywnioskowałem, że mówią o mnie. Lena przysłuchiwała się z uwagą ich rozmowie, po czym wyciągnęła do mnie rękę.

— Żegnaj, Andra — powiedziała. — mam na dzieję, że zobaczymy się jeszcze. My na razie wracamy do naszej podziemnej bazy, a ciebie wkrótce odeślą do miejsca przeznaczenia. Właśnie dowiedziałam się, że za parę godzin macie odjechać.

Nie będziesz potrzebował długo czekać. Do widzenia! — uśmiechnęła się ciepło.

Pożegnałem się z resztą moich nowych znajomych, po czym mężczyzna w kombinezonie dał znak, bym szedł za nim. W końcu korytarza znajdowała się winda, a właściwie tylko miejsce na windę. Nie było drzwi, w podłodze i w suficie widniały jedynie wielkie otwory w podłodze i suficie widniały jedynie wielkie okrągłe otwory. Przewodnik podszedł do ściany i nacisnął guzik. Czekałem na szmer sunącej windy, ale nie usłyszałem nic, natomiast mój towarzysz ujął mnie mocno za rękę i postąpił krok naprzód z wyraźną chęcią samobójczego skoku w otwór ziejący pustką. Zawahałem

się, ale przewodnik pociągnął mnie energicznie za sobą. Zanim zdążyłem zorientować się co się dzieje, już jakaś niewidzialna siła uniosła mnie ku górze. Minęliśmy w locie kilka pięter i wreszcie zostaliśmy obaj lekko wydmuchnięci z rury na korytarz. Mój opiekun wprowadził mnie do małego pokoju bez okien, przypominającego kabinę okrętową. Umeblowanie ryło w nim bardzo proste: łóżko bez pościeli, pokryte białym materiałem o zamszowej powierzchni, lustro, stolik, fotel, szafka w ścianie — to wszystko.

Milczący przewodnik uchylił drzwi w ścianie kabiny, wskazując na małą łazienkę z prysznicem. Zobaczyłem na ścianie korbkę i rząd guziczków z napisami w nieznanym alfabecie. Otrzymałem na migi objaśnienie, w jakim kierunku należy pokręcić korbką, żeby otrzymać gorącą lub zimną wodę, i które guziczki po kolei naciskać. Kiedy zostałem sam skorzystałem od razu z kąpieli. Przycisnąłem pierwszy guziczek, który wyzwolił strumienie wody tryskające nie z jednego kranu, ale z licznych kraników w suficie i w ścianach. Nastawiłem odpowiednią temperaturę i oblewałem się wodą obficie. Zaciekawiony do czego służy drugi guziczek, nacisnąłem go ostrożnie. Woda przestała cieknąć, za to od stóp do głów opryskało mnie płynne mydło, przyjemnie pachnąc i wcale nie szczypiące w oczy.

Po omyciu się, nacisnąłem trzeci guziczek: to zatrzymało wodę i spowodowało ciepły prąd powietrza, który osuszył mnie w niecałą minutę.

Z przyjemnym uczuciem rzuciłem, się na posłanie. Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, jak bardzo jestem niewyspany, zmęczony fizycznie i nerwowo po przeżyciach obu dni i nocy. Gdy opuściłem głowę na małe wzniesienie zastępujące poduszkę, światło w kabinie automatycznie zgasło. Łóżko było sprężyste, bardzo wygodne. Brakowało mi tylko jakiegokolwiek przykrycia. W kabinie było co prawda ciepło ale nie przywykłem do spania bez żadnego koca czy choćby prześcieradła na sobie. W chwili jednak, gdy rozciągnąłem znużone członki, poczułem wokół ciała ciepło, a w ciele jakiś delikatny, rozkoszny prąd rozładowujący wszelkie napięcia w nerwach i mięśniach. Zasnąłem od razu.

ROZDZIAŁ IV

Pierwsze kroki w nowym świecie

Przebudziłem się doskonale wypoczęty i z wilczym apetytem. W kabinie było jasno. We drzwiach stał mój przewodnik. Dał mi znali, bym szedł za nim. Ubrałem się więc i wyszedłem, mając nadzieję, że prowadzi mnie na sute śniadanie. Zawiodłem się jednak. Podeszliśmy do windy i zjechaliśmy piętro w dół. Dalej popod nami nie było już reszty przestrzennego statku: gdy spałem, jeden z kolosalnych dysków, ze mną w swym wnętrzu, oderwał się widać od całości unosił się teraz tuż nad powierzchnią nieznanego lotniska. Po spuszczonej schodkach zeszliśmy na ziemię. Była noc, ciemna, bezgwiezdna i bezksiężycowa, sącząca w płuca duszne, gorące powietrze pełne dziwnej, delikatnej i bardzo przyjemnej woni, której nie mogłem skojarzyć z żadnym znanym mi zapachem. Gęste ciemności rozjaśniane światła bijące z okien wielkiego parterowego budynku o prostej architekturze, której jedynym rysem charakterystycznym były wysmukłe kolumnienki strzegące wejścia. Mój dotychczasowy przewodnik oddał mnie pod opiekę młodemu mężczyźnie, ubranemu w biały kitel lekarski, który bez słowa wprowadził mnie do wnętrza budynku. Ze ścian i korytarzy powiało atmosferą szpitalną.

— Na miłość Boską! — spytałem siebie z niepokojem — gdzież mnie przywieźli?

Mój nowy opiekun uznał wreszcie za stosowne odezwać się:

— Doktor Karpiński jestem — przedstawił się po polsku i wyciągnął ku mnie rękę. Inteligentne oczy patrzyły przyjaźnie, usta pod krótko przystrzyżonym ciemnym wąsikiem wygięły się w przyjemny uśmiech. — Przede wszystkim musi pan wypełnić formularz, a potem na operację!

— Drogi doktorze — zawołałem, zapominając się przedstawić — niechże mi pan powie, co to wszystko ma znaczyć? gdzie jestem? po co mnie tu przywiezione? co to za szpital? Czuję się zupełnie zdrowy... chyba że dostałem „bzika”, a to jest szpital dla wariatów?

— Spokojnie, spokojnie, drogi panie. Nie zwariował pan, wszystko jest w najlepszym porządeczku... Proszę, tu na prawo.

Weszliśmy do pokoju o białych ścianach. Doktor wręczył mi formularz drukowany po polsku. kropka w kropkę podobny do tych, które już miałem okazję wypełniać w życiu. A więc: jak się nazywam, gdzie i kiedy się urodziłem; dalej — zawód, szkoły, miejsca pobytu itd., itd. Z ciężkim westchnieniem zabrałem się do dzieła. Poprzednia praktyka w tej dziedzinie okazała się pożyteczna, bo skończyłem wypełnianie to rozgłośnia radiowa, laboratorium elektryczne czy sala szpitalna? Wzdłuż ścian widziałem tablice rozdzielcze, przyrządy elektryczne, wielkie zegary, dziwne metalo-

we spirale, okrągłe tarcze poruszające się z wielką szybkością wokół swych osi, lampy, anteny, czegoż tam nie było? Pośrodku sali stały rzędem podłużne, szklane skrzynie — podobne do inkubatorów, w których trzyma się dzieci przedwcześnie urodzone. Tylko, że te inkubatory były zrobione na miarę ludzi dorosłych. W kilku z nich z przerażeniem dostrzegłem leżące bez ruchu ciała. Rzuciłem spłoszone spojrzenie na doktora. Jego trochę kpiący, lecz przyjacielski uśmiech dodał mi nieco otuchy.

— Miejmy nadzieję, że nie zostałem tu sprowadzony w charakterze świnki doświadczalnej — westchnęłam.

Doktor podszedł do jednego z inkubatorów, otworzył przezroczyste wieko i polecił mi wejść do środka. Okazałem zrozumiałe wachanie.

— Niech się pan nie boi — powiedział — to tylko dla pańskiego dobra. Poprawimy pana tu i tam i wyjdzie pan z tego odmłodzony, upiękuszony i zdrow jak rybka. Musimy pana przystosować do życia w nowym świecie.

— W jakimż znowu nowym świecie? — pomyślałem. Bez zapału pakowałem się powoli do tajemniczej skrzyni. — Chcą zrobić ze mnie sardynkę? O. K. — nadrabiałem miną ale czułem się nieswojo. Wieko skrzyni zamknęło się nade mną.

Do sali weszło kilka jeszcze białych postaci. Nie zamieniwszy ani słowa nowoprzybyli zaczęli się wprawnie krzątać koło przyrządów, podsuwając do

mego inkubatora różne aparaty; na wielkiej tablicy ściennej u moich nóg zapaliły się kolorowe lampki. Leżałem tak z dziesięć minut zerkając z niepokojem w lewo i prawo, gdy w pewnej chwili zacząłem odczuwać w całym ciele przyjemne ciepło i taką samą rozkoszną ocieźałość, jakiej doświadczyłem kilka godzin temu zasypiając na posłaniu w latającym dysku. Teraz jednakże broniłem się ze wszystkich sił przed poddaniem się nadpływającej senności. Nie zdało się to na nic. Nie upłynęło pięć minut, a znalazłem się poza progiem świadomości.

#

Kiedy otwarłem oczy. był dzień. Leżałem na wózku szpitalnym w dużej białej sali. Obok mnie stało kilka innych wózków pustych. Usiadłem i odetchnąłem głęboko. Czułem się doskonale, doskwierał mi tylko głód, zjadłbym konia z kopytami. Lekki hałas, jaki uczyniłem, sprowadził z drugiego pokoju znajomego mi już doktora.

— O, nasz pacjent się obudził. Jakżeż się pan czuje?

— Doskonale, panie doktorze, ale głodny jestem jak koń.

— To świetnie, zaraz zawołam sanitariuszkę, to panu przyniesie wielką porcję siana — odpowiedział wesoło doktor — a na razie proszę wstawać!

— Czy mógłbym dostać coś do ubrania? — zapytałem. — Tym bardziej, jeśli to sanitariuszka ma mi przynieść siano do jedzenia... Mówiąc to zsunąłem się energicznie z wózka. Czuję się jakoś dziwnie lekko, wcale nie na swoje 150 funtów żywej wagi. Przypomniałem sobie, że już wysiadając z latającego dysku odczułem owo „zelżenie”, ale mając wtedy umysł zaprzątnięty czym innym, nie zwróciłem na to zjawisko specjalnej uwagi. Spojrzałem na swoje ciało: nie schudłem wcale.

— Coście zrobili ze mną?— zapytałem doktora — czuję się tak jakoś lekko...

— Ile pan ważył przedtem? — spytał.

— Około 150 funtów — odpowiedziałem.

— To teraz pan waży coś pomiędzy 120 a 130, czyli o piętnaście procent mniej. Ale niech, pan podejździe do tego lustra i przyjrzy się sobie.

Podszedłem do wielkiego zwierciadła. Ujrzałem niewątpliwie siebie, ale jakże odmienionego! Moja blond grzywka, która tu i tam zaczynała się już wycierać, nieznacznie może dla obcych oczu, ale dość wyraźnie dla mnie, była teraz gęsta, silna, świeżo przystrzyżona. Duża blizna na ramieniu, pamiątka po niemieckiej kuli, znikła zupełnie. Całe ciało było gładkie, delikatne, różowe, bez żadnych znamion czy wyprysków. Nogi, otrzymane niewątpliwie w spadku po pradziadach, dla których jazda konno była Chlebem powszednim, teraz proste były i chyba troszkę dłuższe. Widząc odbicie swej zdumionej twarzy, uśmiechnąłem

się sam do siebie. Ukazały się przy tym zęby: białe, mocne, wszystkie i co najważniejsze całe: ani śladu przykrych spustoszeń wojennych.

Doktor ubawiony moim zdziwieniem rzucił objaśnienie:

— Czy nie uprzedziłem pana, że go poprawimy tam, gdzie trzeba? Przez cały miesiąc znajdowało się pańskie ciało w idealnych warunkach, sztucznie wywołanych, które pozwoliły ukrytej sile życiowej osiągnąć swój pełny skutek. Jest pan teraz w przybliżeniu tym, czym byłby i tak, gdyby nie działały żadne regresywne czynniki dziedziczności, chorób, złych warunków, osobistych szkodliwych nadużyć i autosugestii. Jeśli nie obce są panu pojęcia filozoficzne, to możemy to tak sformułować: stworzyliśmy takie warunki, że dusza pana mogła stać się w pełni formą ciała, ukształtować je w sposób możliwie najdoskonalszy. Niech pan nie zmarnuje tego. A teraz proszę za mną, to pana ubierzemy i nakarmimy.

Oszołomiony poszedłem za doktorem. Otrzymałem tylko wzorzystą niebieską przepaskę na biodra, ale niczego więcej nie potrzebowałem — powietrze było upalne. Wyszliśmy przed budynek.

Przed moimi oczami roztoczył najpierw swój wdzięk zielony trawnik usiany różowo-błękitnymi kwiatami, a za nim wabiła swą miękkością złotawa plaża, którą obmywały leniwie jasno-zielonkawe fale morskie. Zacieniały ją tu i ówdzie smukłe palmy o dziwnych, pierzastych, gałęziach. Od piaszczystej pla-

ży mój wzrok pobiegł w dal aż do pustego widnokregu. Widok był zdumiewający!

Nad naszymi głowami błyszczała ogromna, świetlna plama o niewyraźnym, jakby zamglonym, kolistym konturze, z której spływał na ziemię i na morze południowy żar. Całe niebo przesłaniała, jednolita, seledynowo-srebrzysta mgła unosząca się gdzieś bardzo wysoko. Wokół słonecznej plamy dojrzałem wielkie świetliste kręgi słabnące w natężeniu blasku im dalej były od zenitu.

To zamglone światło wydawało się nie mniej silne niż światło słońca w pogodne dni, ale dawało blask bardziej rozproszony, równomierniej rozsiany w przestrzeni. Przedmioty rzucały cień o niewyraźnych granicach, rozsnuty po brzegach.

Stałem przez chwilę bez ruchu, urzeczony tym przedziwnym widokiem. Domyśliłem się że nie jestem na Ziemi, lecz bliżej słońca, na okrytej welonem tajemniczych chmur czy pyłów planecie Wenus.

— No i co? — zapytał doktor, przyglądając się spod oka mojemu zdumieniu. — Czy wie już pan, gdzie się znalazł?

— Jeżeli jesteśmy nadal w systemie słonecznym — odparłem — to może to być tylko Wenus.

Doktor skierował się w lewo i poprowadził mnie wzdłuż białego, parterowego budynku do miejsca, gdzie na leżaku, przybrany w podobną do mojej, lecz jaskrawo-czerwoną opaskę, wygrzewał się młody czło-

wiek. Włosy miał blond, krótko przystrzyżone; niebieskie szare oczy budziły zaufanie.

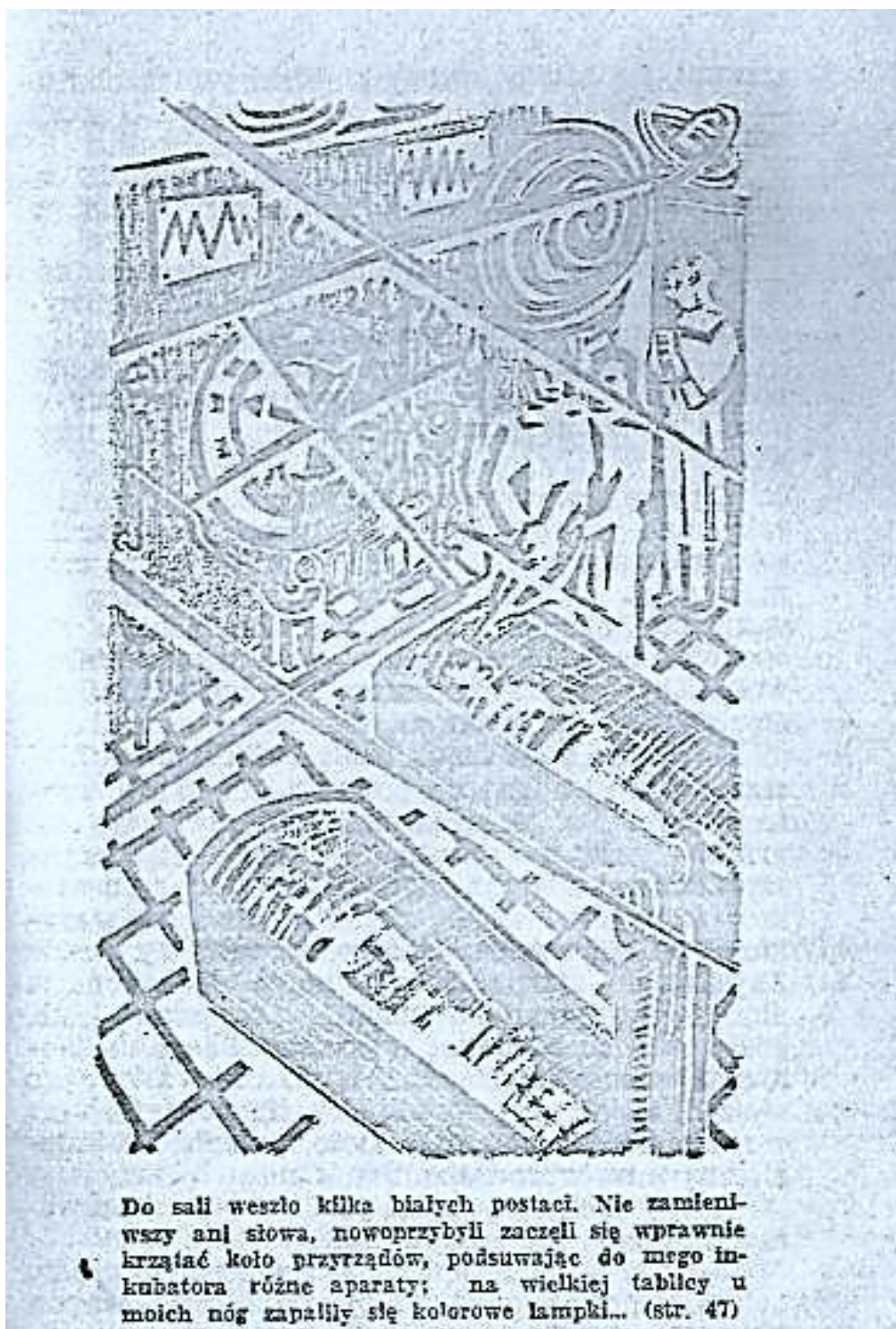
— Niech pan panie Zbyszku, weźmie w opiekę nowego przybysza z Ziemi i zaprowadzi go na obiad. Ja już muszę iść.

Młody człowiek uprzejmie zerwał się z leżaka.

— Zbigniew Oleśnicki — przedstawił się wyciągając ku mnie przyjaźnie rękę.

— Władysław Jagiełło — miałem pokusę odpowiedzieć w zamian, ale powstrzymałem się w porę i poważnie podałem mu swoje imię i nazwisko.

Zbyszek zaprowadził mnie na obiad do dużej sali,



Do sali weszło kilka białych postaci. Nie zamieniwszy ani słowa, nowoprzybyli zaczęli się wprawnie krzątać koło przyrządów, podsuwając do mego inkubatora różne aparaty; na wielkiej tablicy u moich nóg zapaliły się kolorowe lampki... (str. 47)

gdzie przy stole siedziała poza nami bardzo sobą zajęta rodzina, złożona z kilku osób, oraz mała dziewczynka o smutnym wyrazie twarzy — wszystko Polacy z Ziemi. Wreszcie mogłem zaspokoić nie tylko głód, ale częściowo też i ciekawość. Zbyszek przede wszystkim opowiedział historię swego przybycia na Wenus.

Porwano go z Ziemi mniej więcej dwa miesiące temu. Należał do polskich oddziałów wartowniczych w Niemczech. Zachorowawszy na gruźlicę leżał w szpitalu na terenie amerykańskiej zony okupacyjnej. Któregoś dnia przed wieczorem weszło na salę szpitalną dwóch amerykańskich MP z nakazem aresztowania. Wsadzono Zbyszka do „jeepa” i już dobrze po zachodzie słońca zatrzymano samochód w gęstym lesie, gdzie na polance czekał „talerzyk”. I jego na Wenus trzymano miesiąc w inkubatorze, z którego wyszedł zupełnie zdrowy i pełen sił. Obecnie, wraz z resztą siedzących przy stole, przechodził miesięczny kurs wprowadzający w nowe życie.

Zapytałem oczywiście, jaki był powód porwania. Czyżby i on odkrył jakąś tajemnicę?

— Nie — odpowiedział — zostałem po prostu „wyreklamowany” przez moją narzeczoną Magdę, która dwa lata temu zniknęła bez śladu w Niemczech. Wenusjanie mniej więcej od pięćdziesięciu lat porwy- ją z ziemi ludzi najrozmaitszych narodowości i kolonizują nimi Wenus. Największe nasilenie tej niezwyklej emigracji przypadło na okres ostatniej wojny i zaraz po jej zakończeniu, kiedy czyjeś nagle zniknięcie nie wy-

woływało miększego poruszenia. Najwięcej Polakom przybyło w tym czasie. Obecnie porywania prawie zupełnie ustały z wyjątkiem właśnie owych "reklamacji". Nowi imigranci zwracali się często do władz wenuzjańskich z prośbą o sprowadzenie ich bliskich, co w miarę możliwości starano się uwzględnić.

— Po co ta kolonizacja? — zapytałem — czy nie ma dość samych Wenuzjanów?

— Nie ma. Planeta Wenus była niegdyś gęsto zaludniona ale większość ludności, uciekając przed spodziewanym kataklizmem, wyemigrowała do innych systemów planetarnych. Z tych, którzy pozostali, niewiele przetrwało katastrofę. Dziś żyją w rozproszeniu w małych grupach, w stanie dzikości lub półdzikości. Ci cywilizowani Wenuzjanie, którzy nas tu sprowadzili, to są nowsi przybysze, którzy skupiają się jedynie w dwu miastach. Traktują oni Wenus jako swoją bazę, skąd obserwują Ziemię, którą ostatnio bardzo się zainteresowali.

— Kim są oni sami? Nie stanowią chyba jakiejś odmiennej od nas rasy ludzkiej; są tak przecież do nas podobni.

— Bo też od tego samego Adama, i Ewy pochodzą, co my. Okazuje się, że stare legendy i bajki zawierały bardzo dużo prawdy. Różne latające dywaniki, lampy Aladyna, miecze-samosiecze, opowieści o zatopionej Atlantydzie — były wspomnieniem wysokiej cywilizacji, która kiedyś istniała na Ziemi i zaginęła wskutek jakiegoś żywiołowego kataklizmu. Człowiek na Ziemi na

wiele tysięcy lat przed nami odkrył energię, której my jeszcze nie znamy, a która pozwoliła mu podbić przestrzenie międzyplanetarne i skolonizować inne globy. Cywilizacja na Ziemi runęła w gruzy, wskutek katastrofy, a człowiek na. naszej planecie spadł na niższy stopień kultury materialnej i ciuchowej. W późniejszej historii kontakty między ludźmi z przestrzeni, a ludźmi z Ziemi parokrotnie nawiązywały się i przerywały. Zatrzymały się one zupełnie po owej katastrofie na Wenus aż do naszych czasów. Dopiero teraz, jak już wspomniałem, mieszkańcy przestrzeni na nowo zainteresowali się naszą Staruszką. Po co jednak po cichu porywają ludzi, dlaczego nie nawiążą normalnych stosunków z naszym globem, tego się nie mogłem dowiedzieć.

— Może obawiają się, że usiłowałibyśmy wykraść ich tajemnice. Obecnie, dzięki przewyższeniu siły grawitacji, mają nad nami druzgocącą przewagę... Lecz w takim razie po co nas tu sprowadzają, dobrowolnie wpuszczając niejako piątą kolumnę we własne szeregi?

Niewiele więcej mogłem się już dowiedzieć od Zbyszka. Zresztą nazajutrz opuścił nas. Rodzina z Ziemi nie zdradzała zbyt wielu tendencji towarzyskich, zostałem, więc prawie zupełnie samotny, gdyby nie to, że zaprzyjaźniłem się z 10-letnią dziewczynką Swa, która okazała się doskonałym kompanem.

Mała, kiedy ją poznałem, chodziła osowiała i pochlipywała często po kątach. Rzuciłem jej parę razy

kilka pogodnych, serdecznych słów, które zaczęły rozpraszać chmury dziecięcego smutku. Poszliśmy razem na spacer, z którego Ewusia powróciła roześmiana i rozdokazywana. Przyjaźń była zawarta. Bardzo polubiłem to żywe stworzonko o błękitnych jak ziemskie niebo oczach i długich jasnych warkoczykach. Mała także przywiązała się do mnie.

Historia jej porwania była dość niezwykła. Matka Ewusi, jej siostra Hania i ona sama połączyły się po wojnie z ojcem przebywającym już od kilku lat w Ameryce. Mała uczyła się i mieszkała w zakładzie dla dziewcząt, prowadzonym z oddaniem przez Katolickie zakonnice. Grała się tam dobrze i czyniła doskonale postępy w nauce. Pewnego dnia — jak grom z nieba przyszła do zakładu wiadomość, że cała rodzina Ewy w czasie wycieczki w góry uległa katastrofie. Samochód przełamawszy barierę stoczył się z wysokości 90 stóp w nurty rwącej górskiej rzeki. Wyciągnięto z wody zdruzgotany wóz, ale pomimo długich i mozolnych poszukiwań ciał nie znaleziono.

W trzy miesiące po nieszczęśliwym wypadku zgłosiła się do zakładu elegancka pani. Podała się za daleką krewną Ewusi i okazała gotowość zaopiekowania się sierotą. Siostry ucieszył ogromnie taki obrót sprawy, pozwoliły więc rzekomej cioci zabrać Ewę samochodem na niedaleką przejażdżkę. Wycieczka tymczasem przedłużyła się. „Ciocia” zafundowała dziewczynce w pobliskim miasteczku lody, oprowadzała ją po sklepach, z których mała wyszła obdarowana prezentami.

Kiedy wsiadały z powrotem do samochodu, robiło się już ciemno. Zamiast ku zakładowi samochód skierował się do pobliskiego lasu, gdzie na bocznej, i nieuczęszczanej drodze wjechał wprost do czekającego tutaj latającego spodka.

Chociaż wytłumaczono dziewczynce, że jej rodzice i siostra żyją i zobaczy ich niedługo, Ewa. nie dowierzała jednak. Zastraszona była porwaniem, obcym otoczeniem, nieufna jak większość dzieci, które przeżyły wojenne piekło. Mnie dopiero udało się zdobyć jej zaufanie i uspokoić obawy. I właśnie, z tym małym bakiem, poznawałem pierwsze tajemnice wenuzjańskiej przyrody, pozwolono nam bowiem na dalekie spacery wzdłuż wybrzeża morskiego, a nawet w głąb lasu.

Obóz przejściowy, w którym przygotowaliśmy się go życia w nowym świecie, leżał na niewielkiej, okrągławej wyspie, która mogła mieć najwyżej dziesięć kilometrów średnicy. Obszerne zabudowania, obecnie niemal zupełnie puste, ciągnęły się prostą linią, wzdłuż piaszczystego wybrzeża morskiego. Po odlądowej stronie budynków rozpościerał się pusty plac służący latającym talerzykom za lotnisko. Za szarą płaszczyzną lotniska zaczynała się tropikalna wenuzjańska dżungla, która pokrywała zieloną gęstwiną resztę wyspy.

Pierwsze moje zetknięcie z wenuzjańskim lasem było przeżyciem na wielką skalę. Kręcąc się koło zabudowań lub leżąc na miłkim, piasku wybrzeża,

trudno było sobie uświadomić, że się już nie jest na Ziemi. Nawet odmienny koloryt nieba i zamglona plama słońca nie stwarzały jeszcze silnego poczucia obcości. Pamiętam, jak w czasie mego pobytu w Ameryce, niebo ponad nami przybrało przez kilka dni dziwny, niepokojący, seledynowy odcień, tak bardzo podobny do tego, który teraz oglądałem stale. Tę niecodzienną zielonkawość nieba spowodowały wówczas dymy z olbrzymiego pożaru lasów w Kanadzie.

Dopiero wkraczając do wenuzjańskiego lasu przybysz z Ziemi odczuwa z całą jasnością, że znalazł się w jakimś nowym świecie, przedziwnym w swej odmienności. Nie jest to zresztą wrażenie, które odpycha lub przygniata. Wręcz odwrotnie: ta bujna, tętniąca życiem i dźwiękiem, mieniąca się pysznymi barwami wenuzjańska dżungla jest oszałamiająco piękna.

Wybraliśmy się z Ewusią na nasz pierwszy spacer wczesnym rankiem, kiedy powietrze zachowało jeszcze nieco chłodnej świeżości nocy. Nieznaczną ścieżką prowadziła początkowo brzegiem morza, wznosiła się stopniowo w górę, potem ostro skręcała w lewo zagłębiając się śmiało w zieloną ścianę lasu. Ogarnął nas majestatyczny cień olbrzymich drzew, których korony ginęły gdzieś w górze, skąd w zamian spływał w dół złocisty deszcz słonecznych promieni przesiewanych przez liściastą gęstwę. Postąpiliśmy kilkadziesiąt kroków naprzód i zatrzymaliśmy się urzeczeni widokiem. Mała Ewa bez słowa przytuliła się do mego boku. A może wkroczyliśmy w świat baśni?

Ponad ścieżką, wijącą się wężowym zygzakiem, zwieszały swe kielichy i korony kwiaty-olbrzymy o niezwykłych kształtach i cudnych barwach. Gładkie, włochoate lub plamiste łodygi sięgały dwukrotnej wysokości człowieka, lecz popod tymi królewskimi okazami krzewiło się dorodnie i drobniejsze kwiecie. Nasze rozszerzone zdumieniem oczy z pewną ulgą spoczęły na skromnym małym kwiatku kształtu ziemskiej konwalii, rosnącym w wesołych kępkach pośród rdzawego mchu.

Ten szeroki wachlarz rozmiarów nie ograniczał się bynajmniej do świata roślinnego. W świetlistym pyłe słonecznego światła migotały niezliczone roje barwnych owadów: od najmniejszych, ledwie dostrzegalnych muszek — do olbrzymich ważek i motyli o rozpiętości skrzydeł nieraz i pięciokrotnie większej niż na Ziemi.

Bogate podszycie lasu stanowiły paprocie-giganty, bambusowate zarośla, dziwaczne krzewy, o liściach wyglądających bądź to jak rozwarte potworne dłonie, bądź to jak dziwaczne pióra ptasie, to znów jak małe, podziurkowane serca. A oto łopian-olbrzym, pomarszczony niby twarz starego człowieka, ówdzie niezwykła roślina o listeczkach drżących, a tak delikatnych, że aż przezroczystych. Ileż w tym wszystkim- odcieni samej zieloności: od niemal czarno-atramentowej, poprzez jaśniejszą podszytą rudawymi tonami, aż do wiosenno-żółtawej i wprost szklano-przejrzystej. Przez chwilę nie mogłem oczu oderwać od drzewiastego

krzaku o jędrnych liściach, gdzie ciemna zieleń najniższych gałęzi pnać się w górę nabierała w siebie coraz więcej czerwieni, by wreszcie wykwitnąć u wierzchołka płomienną barwą żywego ognia. Był to prawdziwy „krzew Mojżesza”. O ileż płodniej niż na Ziemi rozsiał tu Stwórca.

Swą niewyczerpaną pomysłowość i niedościgły kunszt artysty!...

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia ruszyliśmy przed siebie. Po lewej stronie między drzewami mignęła tafla leśnego bajorka. Opuściliśmy ścieżkę i zaczęliśmy się przedzierać ku wodzie. Pod bosymi stopami ugiął się puszysty, wilgotnawy dywan mchu. W lesie wenuzjańskim niewiele było trawy — pojawiała się ona w miejscach większego nasłonecznienia: na polankach, na skraju boru. Zasadniczą podściółkę dżungli stanowił rdzawo-zielony, sprężysty mech. Nad brzegiem pokrytego pleśnią stawu wygrzewały się beztroško dwumetrowe jaszczury, o ciemnowiśniowych cielskach nakrapianych pomarańczowymi centkami. Zamiast krokodylich paszcz miały śmieszne żółte dzioby. Zapewniano nas, że w wenuzjańskiej dżungli niewiele czyha na człowieka niebezpieczeństw, te jaszczury jednak nie budziły w nas zaufania i co prędzej zawróciliśmy na ścieżkę.

Biegła ona teraz w dół. W kilka minut później znaleźliśmy się w cienistej dolinie o stromych brzegach. Dnem jej płynął spory strumień, to skacząc na oślep z poprzecznych tarasów skalnych, to obmywając łagod-

nie wielkie głązy ceglastej barwy pokryte misternym rysunkiem granatowych żyłek. Ewa nadstawiła z radosnym piskiem swe drobne ciało pod chłodną strugę wodnej kaskady.

Nie poszedłem w jej ślady. Całą moją uwagę pochłaniały w tej chwili ptaki. Było ich tu zatrzęsienie. Zachwycały różnobarwnością upierzenia i śpiewem. Ileż tu było ptasich głosów i melodii! Przykrym dysonansem w tym przybytku harmonii ozwały się nagle śmieszne pochrząkiwania wielkiego ptaszyska o jasnozielonych skrzydłach, czerwonym podgardlu i takimż czubku na głowie. Jego krótki dziób miał na końcu komiczną purpurową gałkę nadając mu wygląd cyrkowego błazna.

Łypał do mnie porozumiewawczo wypukłym okiem i chrząkał jak prosię, co najwidoczniej wyprowadzało z równowagi gromadkę płowych małpek o długich ogonach, kocich wąsach i spiczastych uszach. Były wyraźnie zirytowane. Jedna małpka, pewnie bardziej nerwowa od innych, cisnęła w ptaka-błazna kosmatym orzechem, lecz chybiła... Orzech wylądował boleśnie na moim czole...Gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci obrywa" — mruknałem pod nosem. Ptak zaśmiał się szyderczo na ten nieudany akt wrogości, ale przefrunął przezornie na drugą stronę strumyka. Pogonił za nim grad owoców i orzechów oraz gniewliwe okrzyki małego stadka. Okazało się przecież, że „gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci może czasem i skorzystać": nie

bez zadowolenia popodnosiłem z ziemi orzechy i owoce.

— Mogą one jeść, to i my się nie potrujemy — pomyślałem. Rzeczywiście mieliśmy z Ewusią doskonale drugie śniadanie.

Te wycieczki w dżungłę stale się teraz powtarzały. Wykorzystywaliśmy na nie wszystkie wolny czas. Każdy taki spacer przynosił nam coś nowego: to odkrycie wspaniałych owoców, raz kwaskowatych, drugi raz słodkich lub takich, co smakowały jak świeży warszawski chleb z masłem; to zadziwiające spotkania z okazami świata owadów, roślin i zwierząt. Minęło nas kiedyś całe stadko słoni, a raczej stworzeń podobnych do ziemskich trąbonosów, bo zamiast trąb miały one tylko wydłużone ryje. nie przekraczały wzrostem konia, a ciało ich pokrywał rzadki włos brązowej maści. Innym razem, nad tym samym strumieniem, gdzie poznałem ptaka-błazna, ujrzałem zwierzątko o ciele wydry i długim bocianim dziobie, którym zgrabnie wyławiało ryby z wody. Kiedy indziej znowu nie chciało nam ustąpić drogi jakieś rezolutne stworzenie, które podobne było trochę do kangura, ubranego jednak — jak do średniowiecznego turnieju — w szary, łuskowaty pancerz. Wreszcie któregoś popołudnia wyrwał się nam spod nóg bynajmniej nie zając ani królik, ale tak groźny na Ziemi nosorożec... wielkości dużego kota.

— Cała ta wenuzjańska przyroda jest okropnie pokrecona — stwierdziła krytycznie Ewa. — Co na Ziemi duże, to tu małe, i odwrotnie.

— Nie we wszystkich co prawda wypadkach. — odpowiedziałem. Przypomnij sobie choćby te sarny, które spotkaliśmy przedwczoraj, ale racja, że jest tu wiele odchyłeń od form i rozmiarów, do których przywykło nasze oko.

— Nie zdziwiłabym się, gdybyśmy którego dnia zobaczyli mysz wielkości słonia polującą na kota o rozmiarach pchły.

— Obawiam się, że gdyby nawet i był wielkości pchły, to i w tym wypadku dałby się myszy bardziej we znaki niż mysz jemu...

W pewne wczesne popołudnie, w jakieś dwa tygodnie od mego wyjścia z inkubatora, wypoczywaliśmy z Ewą nad brzegiem morza w cieniu paprociowej palmy. Nie poszliśmy na obiad, a moja mała towarzyszka kuśła mnie, żeby opuścić wykład. Codziennie bowiem o trzeciej po południu odbywał się dwugodzinny kurs przygotowawczy do życia na planecie Wenus. Obejmował on głównie naukę języka wenuzjańskiego i geografii. Kurs prowadził po polsku starszy już, sympatyczny profesor Wenusjanin, którego zamęczałem pytaniami. Zapytałem go raz o powód owych „dysproporcji” w przyrodzie.

— Te różnice — odpowiedział — powoduje odmienny kształt pola grawitacyjnego Ziemi i Wenus, który odmiennie interferuje z falami kształtowymi poszczególnych gatunków roślin i zwierząt.

Brzmiało to dla mnie po chińsku. Poprosiłem o dokładniejsze wyjaśnienie. Wzruszył ramionami.

— Czy potrafiłby pan wytłumaczyć człowiekowi jaskiniowemu zasadę działania maszyny elektrycznej ?

Obraziłem się za „człowieka jaskiniowego” i przestałem go w ogóle pytać. Incydent nastąpił wczoraj, toteż dziś byłem skłonny usłuchać podszeptów Ewy i opuścić wykład. Nie wiem, jaka ostatecznie zapadłaby decyzja, bo w tej chwili pojawił się nad nami cień latającego talerzyka. Był małych rozmiarów. Górną część dysku, gdzie znajdowały się siedzenia, pokrywał przezroczysty klosz. Talerzyk wylądował obok nas. Pilot upewnił się co do naszej tożsamości i kazał nam wsiadać.

— Otrzymałem polecenie — oznajmił po wenuzjańsku, — żeby was dwoje zabrać natychmiast do stolicy.

Uradowałem się szczerze. Wreszcie coś nowego! Nie potrzebowaliśmy wracać do mieszkania, wszystko bowiem — co stanowiło naszą własność — mieliśmy na sobie. Wsiedliśmy więc do aparatu i pomknęliśmy w górę. Nasza zielona wyspa wkrótce pozostała daleko za nami. Utkwiliśmy ciekawe spojrzenia przed siebie.



W piętnaście minut później zza widnokregu, na którym dotąd baraszkowały tylko pierzaste obłoki, wyłoniły się kontury lądu. Z toni morskiej wychyliły się zarysy olbrzymiego krateru. W parę minut później lecieliśmy już ponad nim. U naszych stóp, na dnie wulkanicznej czeluści lśniło zielonym zwierciadłem wielkie jezioro. Na jego brzegach rozsiadło się miasto Kamiru — stolica Wenus.

Tak jak charakterystycznym rysem Paryża jest wieża Eiffla, Warszawy — kolumna Zygmunta, Waszyngtonu — obelisk Waszyngtona, tak w Kamiru przykuwała oczy przede wszystkim strzelista, stożkowata wieża z nasadzonymi równomiernie na całej wysokości wielkimi stalowymi pierścieniami. Wieża ta, nie niższa chyba od najwyższych drapaczy chmur w Nowym Jorku, wznosiła się z małej wyspy pośrodku jeziora. Wokół niej widać było kompleks wielkich białych budynków otoczonych monumentalną kolumnadą. Stanowiły one, jak się później dowiedziałem, pałac gubernatora i siedzibę rządu wenuzjańskiego.

Naprzeciwko wyspy, nad samym brzegiem jeziora, zwracała uwagę druga charakterystyczna budowla, o trudnym do odgadnięcia przeznaczeniu. Była to kolosalna kilkustopniowa piramida o ściętym wierzchołku, która tworzyła podstawę olbrzymiej złotej kuli, błyszczącej w promieniach słońca gładko wyszlifowaną powierzchnią. Barwy siedmiu, stopni piramidy odpowiadały wiernie kolorom tęczy. Od piramidy rozchodziły się półgwiazdźście proste ulice, a między nimi, pośród

zieleni drzew i trawników, rozsiadły się klocki białych domów. Ulice urywały się na krańcach miasta. Zaraz za jego granicą rozpoczynała się dżungla. Pokrywała też i drugi brzeg jeziora i rozciągała się aż po czerwone, nagie, ostro poszarpane zręby krateru.

Pilot zwolnił biegu i obniżył aparat. Poszybowaliśmy wprost na złotą kulę, zatoczyliśmy wokół niej obszerne koło i znaleźliśmy się tuż nad dachami domów.

— Co to jest? — zapytałem wskazując piramidę.

— Świątynia słońca — odparł pilot.

Miasto popod nami było bardzo ładne. Domy porozrzucane swobodnie wśród zieleni i kwiatów były właściwie małymi pałacami i willami o prostej i lekkiej architekturze. Monotonnej płaszczyźnie białych ścian dodawały stylu i fantazji delikatne kolumny, liczne metalowe elementy zdobnicze: spiralne, paraboliczne, koliste — oraz wiele szczegółów artystycznych wykonanych z jakiejś przejrzystej substancji. Mimo iż miasto podobało mi się, odczułem pewne rozczarowanie. Wenucjańska stolica powinna chyba wyglądać inaczej... fantastyczniej.

Spodziewałem się ujrzeć coś podobnego do owych dziwacznych miast z komików amerykańskich opisujących międzyplanetarne przygody. A więc gigantyczne bryły gmachów i wieże wznoszą ce się ponad chmury, olbrzymie mosty-autostrady przebiegające ponad domami, a w powietrzu zatrzesienie rakiet, fruwających spodków i innego rodzaju przestrzennych wehikułów przyszłości. To zaś, co widziałem, dalekie było nawet

od rozmachu, rozmiarów i monumentalności wielu naszych ziemskich stolic. Nie dostrzegłem też zbyt ożywionego ruchu ani na ulicach, ani w powietrzu. Skąpane w promieniach popołudniowego słońca miasto zdawało się drzemać leniwie.

Aparat nasz zatoczył wielki łuk nad miastem, przeciął jezioro i przeskoczył znowu nierówną krawędź krateru. Spadziste zbocze wulkanu łagodniało ku zachodowi, gdzie tuż nad brzegiem morskim dojrzelśmy drugie miasto, o architekturze podobnej do pierwszego, lecz mniejsze. Zaczęliśmy się zniżać ku niemu, aż wylądowaliśmy na niewielkim lotnisku, naprzeciw białego budynku z wielką, przezroczystą kopułą na dachu.

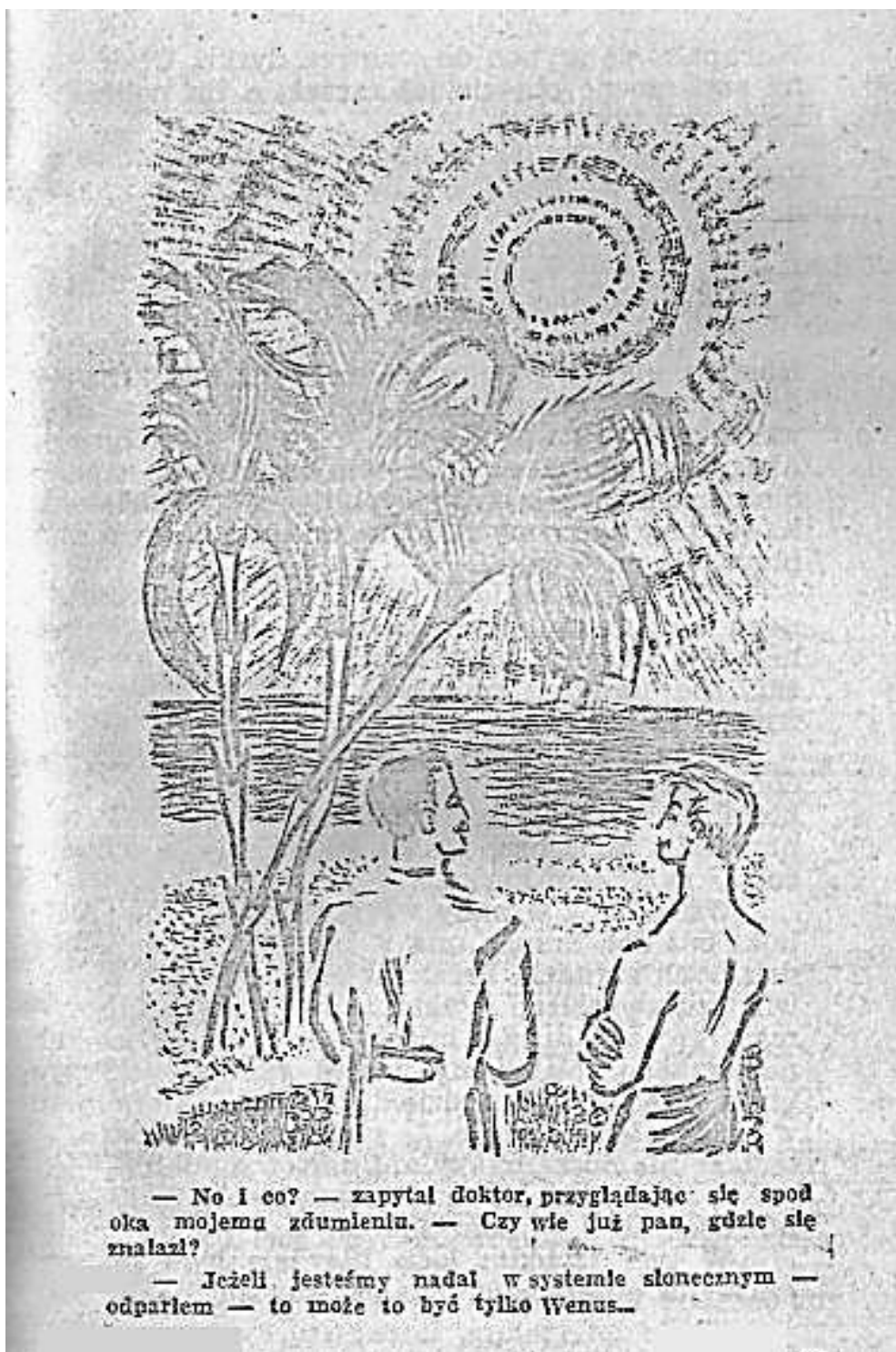
Z podcienia gmachu wybiegła ku nam dziewczę ca postać, a za nią podążyło spieszonym krokiem kilka innych osób. Szklany klosz otworzył się nad nami. Ewusia szeroko rozwartymi oczami wpatrywała się w zbliżających. Nagle krzyknęła:

— Hania! Mama! — i zsunawszy się błyskawicznie po srebrnej powierzchni dysku rzuciła się na szyję nadbiegającej dziewczynie. Taka sama radosna scena powtórzyła się z dość młodo jeszcze wyglądającą korpułentną panią i siwawym, postawnym panem w białym ubraniu o europejskim kroju. A więc naprawdę Ewusia jest znowu w gronie rodzinnym!...

Nasz pilot nie pozwolił mi wysiąść. Dał mi znak, że zaraz wznosimy się z powrotem w powietrze. Machną-

łem Ewie ręką na pożegnanie, ale mała nie zadowolila się takim pożegnaniem.

— No i co? — zapytał doktor, przyglądając się spod oka mojemu zdumieniu. — Czy wie już pan, gdzie się znalazł?



— Jeżeli jesteśmy nadal w systemie słonecznym — odparłem — to może to być tylko Wenus...

Wdrapała się szybko do wnętrza dysku. Uczulem na szyi mocne objęcie jej rączek, a na policzku serdeczny, pocałunek.

— Do widzenia! Dziękuję ci za wszystko i bardzo cię kocham! — usłyszałem, w prawym uchu.

Po czym szkrab zsunął się na ziemię i długo jeszcze machał ręką, gdyśmy się wznosili ku górze. Dokąd jechałem teraz?

Skierowaliśmy się z powrotem ku górnemu Kami-ru, ale nie przelatywaliśmy już nad krawędzią krateru. Otworzył się przed nami niespodziewanie czarny otwór w skale, w który wlecieliśmy. Aparat wylądował na podziemnym lotnisku wypełnionym mnóstwem latających dysków. Widziałem nawet trzy olbrzymy podobne do tego, który mnie przywiózł na Wenus.

Pilot oddał mnie w ręce Wenuzjanina ubranego w czerwony, długi po kostki sarong. Wchłonęła nas obszerna rura unosząc o kilka pięter wyżej. Nie umiejąc zachować w niej równowagi znalazłem się w czasie jazdy w pozycji głową w dół i w tenże sposób wylądowałem na miękkim chodniku, fiknąwszy przy tym reprezentacyjnego kozła, przy akompaniamencie głośnego śmiechu przewodnika. Dobrze mu się śmiać, gdy ja o mało co nie skręciłem karku...

Wsiedliśmy w mały wagonik podziemnej kolejki bez kół. Sunęła ona w powietrzu na niewidzialnych szynach. Przekonałem się wtedy, że we wnętrzu wyga-

słego wulkanu mieści się w olbrzymich grotach drugie miasto — nie mniejsze od naziemnego. Mijaliśmy jakieś fabryki, sklepy, biura. Kręciło się wszędzie dużo ludzi — ubranych w barwne lekkie stroje. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie noszą butów ani nawet sandałów.

— Cóż to za nowe „Zgromadzenie Wenuzjanów Bosych”? — pomyślałem.

W tym szybkim locie niewiele było jednak czasu na obserwacje. Znaleźliśmy się nagle pod jeziorem, w którego dno wprawiona była olbrzymia przezroczysto szyba-sufit, przez którą wpadało łagodne, zielonkawe światło. Pod szybą znajdował się rozległy stadion sportowy. Minęliśmy go i znaleźliśmy się przed wielką bramą wykutą w skale, która, jak wykombinowałem z kierunku jazdy — prowadziła do podziemi pałacu na wyspie. Znowu wskoczyliśmy w rurę, która uniosła nas wzwyż. Tym razem jechałem już głową w górę. Mój przewodnik bowiem słowami i znakami objaśnił mi — prosty zresztą — sekret utrzymania równowagi w tej dziwacznej windzie.

ROZDZIAŁ V

OTRZYMUJĘ NIEBEZPIECZNĄ MISJĘ

Wydmuchnęło nas z rury na obszerny korytarz wielkiego biura. Przewodnik podszedł do ściany, na której widniał mały ekran telewizyjny. Nacisnął zieloną gałkę i za chwilę na ekranie ukazała się łysa głowa o wielkich sowich oczach. Krótka wymiana zdań — po czym wprowadzono mnie do poczekalni, gdzie stało kilka wygodnych foteli. Towarzyszący mi Wenuzjanin objaśnił częściowo słowami, a częściowo na migi, że gdy nad drzwiami zapali się czerwone światło, mam wejść. Sam oddalił się natychmiast.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy otrzymałem zapraszający sygnał. Wszedłem do dużego pokoju o jednej ścianie szklanej, zabarwionej zielonkawo. Pośrodku pokoju stało biurko — przy nim siedział widziany uprzednio na ekranie „Łysy”. Twarz miał gładko wygoloną, wąską, energiczną — biła od niej siła połączona ze szlachetnością. Mógł mieć najwyżej 50 lat. Pozdrowił mnie krótko po polsku, lecz z wyraźnym cudzoziemskim akcentem i wskazał krzesło naprzeciw siebie. Usiadłszy przyglądałem mu się dalej spód oka,

podczas gdy on milcząco przerzucał papiery na biurku.

-- Czegoż ta "łysa pała" może chcieć ode mnie? — myślałem. Od czasów, gdy w wojsku miałem niemało trudności z moim łysym dowódcą, kapitanem X, odczuwałem niechęć do wszystkich ludzi pozbawionych owłosienia na czaszce.

— A pan mógłby być grzeczniejszy — podnosząc nagie spojrzenie na mnie powiedział Łysy. — Nie należy też zawczasu uprzedzać się do ludzi tylko dlatego, że wolą golić głowę niż czas tracić niepotrzebnie na fryzurę.

Zdumiałem. Czyżby czytał w moich myślach?

— Tak, umiem czytać myśli — odpowiedział na moje nieme pytanie. — Niech też to wpłynie na pańską szczerłość w rozmowie ze mną, gdyż na wszelkiej dwulicowości i kłamstwie poznam się od razu. — Oczy jego przybrały wyraz surowości i siły. Poczulem się nieswojo pod ich wejrzeniem.

— Wpadłem gorzej niż do Gestapo — pomyślałem i zaraz zmieszałem się, uświadamiając sobie, że i ta myśl musi mu być wiadoma.

Jednakże twarz Łysego zmiękła, koło wąskich, ostrych ust pojawił się lekko dostrzegalny uśmiech.

— Proszę się niczego nie obawiać, to nie jest badanie. Nie będę stroną rozkazującą, ale raczej proszącą. Zależy mi na zgodzie pana na pewne przedsięwzięcie, lecz nic nie będę narzucać. Tu na Wenus jesteśmy wyznawcami osobistej wolności człowieka.

— Słucham więc — odparłem zaintrygowany.

— Jak widzę z tego, co pan. napisał w swoim formularzu, był pan członkiem Armii Podziemnej w Polsce przez 5 lat i brał pan udział w Powstaniu Warszawskim?

Skinałem głową twierdząco, zaskoczony tym wstępem. Cóż tutaj, na tej planecie, może kogo obchodzić moja przynależność do A. K. ?

— Wtajemniczę pana obecnie tylko jak najogólniej w całą sprawę. Między przybyszami z Ziemi wytworzyła się grupa ludzi, co do których es mamy uzasadnione podejrzenia, że dążą do opanowania naszej planety. Istnieją dowody że są oni na drodze do odkrycia pewnych naszych tajemnic, które dałby im w ręce niebezpieczną potęgę. Są to niestety ludzie tego typu, że ich ewentualny sukces spowodowałby tragiczne konsekwencje nie tylko dla naszej planety i jej mieszkańców, ale nawet i dla Ziemi. Są powody, dla których nie możemy uderzyć w tych ludzi otwarcie. Musimy działać z jak największą ostrożnością w tajemnicy. Pan ma doświadczenie w pracy podziemnej. Liczymy na to, że nam pan może ogromnie pomóc. Praca to bardzo niebezpieczna, ale pan już chyba oswoił się z niebezpieczeństwem?

Zapanowało milczenie. Miałem już, przyznam, dość wszelkich bohaterskich wyczynów, podziemia, walki. W Ameryce cieszyłem się, że wreszcie rozpocynam życie normalnego zjadacza chleba. Tymczasem ten człowiek chce mnie na nowo pchnąć w życie pełne

niebezpieczeństw i nieustannej szarpaniny nerwów. Dla dość niejasnym celów chce mnie zrobić swoim agentem. Całuj psa w nos! Nie będę się wysługiwał obcym. Niech pośle swoich wenuzjańskich szpiegów. Nie dosyć, że mnie bez pytania porwali z Ziemi, ale chcą jeszcze, bym dla nich karku nadstawiał.

Rzuciłem ostro:

— Czemu nie wyślecie swoich własnych agentów? Dla was, posiadających sekret niewidzialności, wszelka podziemna praca powinna być zabawką. Prowadzicie ją przecież nawet na Ziemi. Z jakiejż zresztą racji mam wam służyć, dla was wyciągać kasztany z ognia? Jakie są cele waszej polityki wobec nas, wobec Ziemi? Może nie mniej niebezpieczne od spisków jakiejś tam grupy przybyszów?

W oczach Łysego mignęło zdziwienie:

— Co pan może wiedzieć o niewidzialności?

Skąd panu przyszło na myśl, że znamy jej tajemnicę?

Opowiedziałem historię mego porwania z Ziemi. Łysy z zakłopotaniem stukał palcem w powierzchnię biurka.

— Jest pan niebezpieczny. Za dużo pan wie! — powiedział zimno, a mnie zaczął nieprzyjemny dreszczyk wędrować po stosie pacierzowym.

— Wiem, że to posiadacie, ale nie wiem, jak to się robi — odparłem tonem samoobrony.

Łysy machnął ręką:

— Mniejsza o to. Będę z panem zupełnie szczerzy. Wysłałem tam już dwu moich niewidzialnych agentów i żaden nie wrócił. Najwidoczniej tamci wiedzą już o naszej „niewidzialności“ i potrafią się przed nią zabezpieczyć. Więcej własnych wenuzjańskich agentów posłać nie mogę, a sprawa jest naprawdę ogromnej wagi. Nie ufając nam, popełnia pan niesprawiedliwość. Mając tak ogromną przewagę techniczną nad Ziemią, moglibyśmy bez trudu unicestwić na niej wszelkie życie, gdybyśmy chcieli. Niech pan to sobie rozważy. Nie mam innych środków do przekonania pana o naszych dobrych intencjach. Wiem, że żądam od pana niejako wiary na kredyt, lecz nic na to poradzić nie mogę. Serdecznie proszę, niech pan pomoże staremu człowiekowi, którego postawiono na czele „Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego“, a który nie ma dość ludzi, by zapobiec katastrofie, która naprawdę grozi.

Było coś w jego prośbie, w jego spojrzeniu, czemu nie mogłem się oprzeć. Wyczuwałem intuicyjnie, że mówi prawdę, że walczy o jakąś rzeczywiście dobrą sprawę. Powinienem był jeszcze pytać, jeszcze się bronić, przynajmniej odwlec decyzję, ale coś zniewalało mnie do dania natychmiastowej zgody. Powiedziałem:

— Może robię największe głupstwo w życiu, ale ufam panu i przyjmuję zadanie. Co mam czynić?

Łysy otworzył usta, by mi odpowiedzieć, gdy wtem na biurku odezwał się cichy brzęk, jakby szklanki uderzonej łyżeczką. Mój rozmówca przycisnął guziczek

i wpatrzył się w mały telewizor, odwrócony do mnie tyłem.

— Vaini! (Dzień dobry!) — powiedział po wenuzjańsku.

W odpowiedzi zabrzmiał głos o miłym brzmieniu i jakby znajomy. Popłynął wartki strumień słów, z których tylko coś niecoś mogłem zrozumieć — po swoim niewystarczającym lingwistycznym kursie. Wywnioskowałem tylko, że mówiono o mnie, bo padło parokrotnie słowo „Andra“, po czym Łysy rzucił uśmiechnięte spojrzenie na mnie. W ogóle po dziwnej miękkości, która złagodziła jego ascetyczne rysy. Widać było, że rozmawia z kimś bardzo sobie miłym. Wyraźnie przekomarzał się, czemuś się opierał, ale nie na serio. W końcu rzucił:

— I fegidu, kuori! (No dobrze, chodź!)

Łysy nie zdążył stłumić uśmiechu ani objaśnić mi treści rozmowy, gdy drzwi otwarły się i do pokoju wpadła jak bomba Lena. Kiwnawszy Łysemu puszysta główką, wyciągnęła ku mnie rękę w serdecznym powitaniu:

— A mówiłam ci, że się spotkamy nieza długo... tak bardzo się cieszę, że cię widzę... Jak ci się podoba u nas na Wenus?... Bardzo się zmartwiłam, gdy dowiedziałam się, że to Nara zajął się tobą... To mój wuj. ale okropny człowiek... — i zwracając się do Łysego:

Już na pewno powierzyłeś mu jakąś niebezpieczną misję?!...

Potem do mnie:

— Strzeż się go i nie daj się na nic namówić... Już lepiej ja się zajmę tobą... — wyrzuciła z siebie tę kaskadę słów jednym nieomal tchem.

Łysy Nara przysłuchiwał się jej z pobłażliwym uśmiechem, a potem zwrócił się do mnie:

— Nie wiem, czemu się ona tak robią interesuje, ale od paru dni nie daje mi spokoju. Nie tylko, że się wtrąca w sprawy państwowe, ale twierdzi, że należy ci się teraz odpoczynek i zaprasza cię do swego domu. Strzeż się jej bardziej niż starego Nary. i nie zaprósz sobie nią głowy. Pamiętaj! — dodał tonem nagle stwardniałym — przybyszom z Ziemi nie wolno się żenić z Wenuzjankami!

— Ależ, wuju, — zawołała zarumieniona Lena — nie gadaj głupstw! Ja po prostu chcę, żeby Andra miał o nas, Wenuzjanach, dobre pojęcie i... to tak trudno stawiać samemu pierwsze kroki w nowym świecie. A ponadto jesteśmy za niego odpowiedzialni z tatą i Palim, bo przecież to my zabraliśmy go z Ziemi.

— No, już dobrze, dobrze. Możesz dziś młodego człowieka zabrać, ale jutro rano przywieź go tutaj z powrotem.

— Wuju, jesteś okrutny. Dałbyś nam przynajmniej kilka dni wolnych.

— Niestety, sprawa jest bardzo pilna. Od jutra Andra musi zacząć przeszkolenie, ale nie martw się, dam ci w tym pewien udział. A teraz do widzenia, bawcie się dobrze.

Wyszliśmy.

— Musisz być na pewno głodny. Pojedziemy od razu do domu moją motorówką.

Mała łódź ruszyła cicho, gładko przecinając zielonkawe fale jeziora. Nie słyszałem dźwięku motoru. Lena uśmiechnęła się, widząc, jak usiłuję dociec, co nas właściwie porusza.

— Ściśle mówiąc, to nic jest motorówką, lecz raczej żaglówka. Popycha nas bowiem nieodczuwalny „wiatr”, którego istnienia wy, przybysze z Ziemi, nawet nie domyślacie się „żagiel” mieści się tu, w tej małej skrzynce obok koła sterowniczego.

— Co to jest? — zapytałem wskazując piramidę.

Poszybowaaliśmy wprost na złotą kulę, zatoczyliśmy wokół niej obszerne koło i znaleźliśmy się tuż nad dachami domów.

— Świątynia słońca — odparł pilot.

Lena wyglądała uroczo. Pęd powietrza rozwiewał jej złote włosy, stwarzając wokół głowy jasną mgławicę delikatnych blasków. Ciało jej obciskał ciemno-purpurowy sarag, odsłaniając zgrabne ramiona. Promieniowała od niej młodzieńcza radość, jakieś upojenie życiem, pogoda dziecka, które chyba w życiu nie zaznało żadnego smutku, nie przeszło przez to wszystko, czego my, mieszkańcy zlaną krwią i porytej bombami Ziemi, doświadczyć musieliśmy i to w latach często tak bardzo młodych.

— Jak te jest z tym twoim wiekiem? — zapytałem i zaraz przestraszyłem się, że moje pytanie może znowu wywołać obrazę,

Ale Lena z uśmiechem odparła.

— Mam 32 lata wenuzjańskie, a 20 lat ziemskich.*) Uciekłam wtedy od ciebie, ko czułam wstyd i byłam zła na siebie, że się zdradziłam. Ale tyś się chyba i tak nie zorientował. Mój ojciec pozwolił mi z tobą rozmawiać pod warunkiem, że niczym nie ujawnię naszego pochodzenia z Wenus. Bardzo ściśle tego przestrzegamy i nawet wobec groźby śmierci nie wolno nam odkryć na Ziemi, że jesteśmy przybyszami z przestrzeni. Zaklinałam się, że się nie zaradzę, a tymczasem „wypsnęło mi się“.

— A ja myślałam, żeś się na mnie pogniewała. Sądziłem, że może powiedziałem coś niestosownego.

— Ależ skąd? Co prawda, gdybym miała nawet i 32 lata ziemskie, nie wyglądałabym dużo starszej niż teraz. Tutaj na Wenus zachowujemy dłużej młodość i dłużej żyjemy. Czy uwierzysz, że mój wuj Nara ma obecnie około stu waszych lat?

— Niemożliwe. Nigdy bym nie uwierzył obecnie czynicie wielkie postępy w podbijaniu świata zewnętrznego — postępy, których zaczynamy się poważnie obawiać. Natomiast jeśli chodzi o poznanie siebie i kierowanie sobą, znajdujecie się jeszcze na bardzo prymitywnym stopniu wiedzy. Nawet wasza medycyna tak mało wie o człowieku. Wydaje wam się, że opanowujecie naturę, a tymczasem wewnątrz jesteście wciąż jej niewolnikami.

— Masz teraz okazję do zapalenia kilku świateł mądrości w głowie ciemnego przybysza z Ziemi.

— Oho! — pogroziła mi palcem — już chcesz ze mnie wyciągać wenuzjańskie tajemnice. Czy myślisz, że mam je prawo ci powierzyć? Nic ci nie powiem. Chyba tylko troszkę...

— Będę wdzięczny i za troszkę — odpowiedziałem, ale w sercu czułem wzbierającą złość na to zazdrosne strzeżenie tajemnic...

Łódź w trakcie rozmowy zbliżyła się ku miastu. Nagle Lena gwałtownym ruchem, który o mało nie wyrzucił mnie za burtę, skierowała ją w lewo. Płynęliśmy teraz wzdłuż brzegu. Minęliśmy wielkie kamienne schody prowadzące ku Wodzie oraz przystań z łodziami i znaleźliśmy się naprzeciw rozległej plaży. Na czerwonym, jakby z cegły ukruszonym piasku, bawiła się gromadka opalonych na jasny brąz dzieci.



Powitały nas głośnymi okrzykami i przyjaznym machaniem rąk. Odpowiedzieliśmy uśmiechem, przemykając szybko. obok nich i przybiliśmy do niewielkiego kamiennego mola. Zaraz za nim rozciągał się ogród, starannie utrzymany, pełen barwnych kwiatów i ocieniony rozłożystymi palmami.

Wewnątrz ogrodu, wśród soczystej zieleni murawy, stał dom parterowy, zbudowany z jakiejś błyskotliwej, białawej substancji. Miał on kształt litery X rozwartej ku jezioru: żadnych, okien, jedno tylko wejście na skrzyżowaniu osi, ozdobione graniastymi, ciemno-purpurowymi kolumnienkami.

Weszliśmy do wnętrza. Przywitało nas coś w rodzaju greckiego atrium z otworem w suficie i z basenem przejrzystej wody. Podłogę pokrywała wzorzysta masa uginająca się lekko pod naszymi bosymi stopami. Minęliśmy atrium i Lena wprowadziła mnie do obszernego pokoju.

— Taty i Palego nie ma — rzekła — będą dopiero wieczorem. Rozgość się tu i odpocznij, a ja przez ten czas przygotuję podwieczorek. — I zostawiła mnie samego.

Pokój nie posiadał okien, ale było w nim zupełnie jasno. Łagodne żółtawe światło promieniowało ze ścian, podłogi i sufitu. Powietrze było świeże, chłodniejsze niż na zewnątrz, ściany ozdabiały mozaikowe postacie tańczących dzieci, fosforyzujące różnobarwnym światłem. Meble były proste, niewielkie, w stylu powiedziałbym „nowoczesnym”, jeśli to pojęcie mogło

mieć zastosowanie do przedmiotów wenuziańskich. Pośrodku pokoju stała na czterech nóżkach metalowa rama elipsoidalnego kształtu.

— Co to? — zdziwiłem się. — Wygląda na łóżko, bo niczego innego do leżenia nie ma w pokoju, ale gdzie materac?

Rozsiadłem się wygodnie w miękkim fotelu i po chwili zapadłem w drzemkę.

— Czemuś się nie położył wygodnie na łóżku? — zabrzmiał nade mną głos Leny. — Wypocząłbyś lepiej.

— Chyba żartujesz? — odpowiedziałem zrywając się z fotela. — Jak miałem się kłaść, gdy nie ma materaca?

Lena spojrzała na mnie ze zdziwieniem, lecz zaraz błysk zrozumienia zapalił się w jej wielkich oczach. Zaśmiała się.

— W tym łóżku nie potrzeba niczego więcej. Spróbuj położyć się na nim.

Z niedowierzaniem podszedłem do elipsoidalnej ramy i zacząłem się na dziwne łoże gramolić, pewny, że z hukiem wyląduję na podłodze. Ale nie...

Zawisłem w powietrzu w płaszczyźnie ramy. Nie widziałem ani nie czułem niczego, co by mnie podtrzymywało, a przecież nie spadałem.

— Jesteś „odgrawitowany” — wyjaśniła Lena. — W ten sposób najlepiej się odpoczywa, bo nie uwiera, mięśnie się rozluźniają, a serce ma ułatwioną pracę.

Podziwiałem wynalazek, ale nie byłem nim zachwycony. Stanowczo wolę normalne, wygodne łóżko niż takie zawieszenie w powietrzu!

— Czy to światło wychodzi ze ścian? — zadałem retoryczne pytanie.

— Poczekaj, zaraz coś lepszego zobaczysz. — Lena podeszła do przełącznika na ścianie. Gdy zmieniała jego pozycję, światło w pokoju zmieniało kolory: od dziennego, białego, poprzez wszystkie barwy tęczy. Raz świecił tylko sufit, raz tylko podłoga, to znowu jedna lub druga ściana albo wszystkie razem. Wreszcie ściany stały się zupełnie przezroczyste, ujrzałem przez nie ogród i jezioro.

Nadzwyczajne! To było rzeczywiście coś!

— To nie jest oświetlenie elektryczne? — zapytałem.

— Nie. My tu w ogóle elektryczności prawie nie stosujemy. Pewien rodzaj fali przechodząc przez ścianę powoduje jej świecenie, względnie przejrzystość lub ciemność.

Przeszliśmy na podwieczorek przygotowany w ogrodzie, na małym stoliku pod palmą. Gdyśmy jedli, dziewczyna opowiedziała mi coś niecoś o sobie.

Jej życie nie było Usiane różami. Kiedy miała lat dziesięć, straciła matkę w wypadku. Wychowywała się z bratem w ochronce, potem w zakładzie dla dziewcząt. Nie zaznała więc wiele ciepła domu rodzinnego. Z bratem kochali się bardzo i rozumieli, ale z ojcem trudno jej było znaleźć wspólny język. Był to człowiek

dobry i szlachetny, ale zamknięty w sobie, nie okazujący łatwo uczuć, A przy tym nie było go najczęściej w domu, gdyż czas mu pochłaniały podróże i badania w przestrzeni, w których coraz częściej towarzyszył mu Pali. Obecnie — z zainteresowaniem śledzili postęp techniki na Ziemi. Wkradali się niewidzialnie do laboratoriów i na tereny wielkich doświadczeń. Kiedy spotkałem się z nimi w grocie, była to pierwsza wycieczka Leny na glob ziemski. Za parę tygodni Lena miała opuścić Wenus i udać się na odległą planetę w galaktyce Drogi Mlecznej. Czekały tam na nią wyższe studia.

Po podwieczorku wybraliśmy się na zwiedzanie miasta. Idąc małą alejką, nad którą malownicze krzewy z różowymi kwiatami tworzyły naturalny baldachim, doszliśmy do ulicy wiodącej ku centrum miasta. U wylotu alejki stał fotelik na dwie osoby, zrobiony z powyginanych odpowiednio metalowych rur, na których rozciągnięty był niebieski materiał. Usiedliśmy. Sądziłem, że będziemy czekać wygodnie na nadejście autobusu lub innego wenuzjańskiego środka lokomocji. Tymczasem ledwo zdążyłem rozsiaść się i założyć nogę na nogę, fotel uniósł się „sam” w powietrze na wysokość dwu metrów i począł rażno sunąć środkiem ulicy w kierunku śródmieścia.

Mijaliśmy wdzięczne, przeważnie parterowe domki, ukryte wśród cienistej zieleni. Minęliśmy w powietrzu kilka podobnych fotelików z pozdrawiającymi nas

pasażerami. Z daleka coraz lepiej widoczna była złota kula osadzona na piramidzie.

—To świątynia słońca — pochwaliłem się swoją wiedzą i chcąc wziąć odwet za dotychczasowe upokorzenia „jaskiniowego” przybysza z Ziemi, dodałem ironicznie:

— Dziwu mnie to, że znajdując się podobno na tak wysokim szczeblu rozwoju, jesteście poganami.

— Ja już jestem chrześcijanką — z powagą odpowiedziała moja towarzyszka – ale trudno moich rodaków nie – chrześcijan nazwać poganami. My Wenuzjanie wierzymy w jednego, niewidzialnego Boga, Stwórcę i Rządcę świata. Życiodajne słońce jest tylko jego Symbolem. Jest to ten sam Bóg, co chrześcijański chociaż nie wiedzieliśmy, że będąc jedynym jest również troisty w Osobach. Nie znaliśmy także faktu Wcielenia i Odkupienia i kochaliśmy Go mniej, nie przypuszczając, że jest tak dobry...Chrześcijaństwo jest najcenniejszą rzeczą, którą wy, przybysze z Ziemi, posiadacie...

— Jak się to stało, że zostałeś chrześcijanką? - zapytałem uradowany szczerze tym odkryciem.

--- Wieść o Chrystusie, który przecież i nas odkupił, przyszła do nas wraz z waszym pierwszy mi imigrantami. Parę lat temu, kiedy was tak dużo przywoziliśmy, pracowałem przy pojmowaniu Polaków. Wtedy nauczyłem się po polsku, a jedna starsza pani zaznajomiła mnie z podstawami wiary katolickiej i ochrzciła. Teraz chrześcijaństwo szerzy się dość szybko wśród

nas. Nara jest ochrzczony: Pali, mój brat, jest katechumenem, tylko mój ojciec wciąż się opiera przyjęciu nowej religii. Ileż bym dała, żeby przejrzał!

Znaleźliśmy się u stóp piramidy. Lena pomaniпуlowała guziczkami na poręczy "latającego fotela" i zaczęliśmy się wznosić w górę, aż wylądowaliśmy na ostatnim stopniu, na którym wspierała się złota kula. U jej podstawy czerniało wejście do świątyni. Zeszliśmy z fotela, ale nie weszliśmy do wnętrza. Lena odciągnęła mnie na bok chcąc dokończyć zaczęta rozmowę. Czoło jej przecinała teraz zmarszczka zatroskania:

— Wielu z nas przyjmuje chrześcijaństwo, ale też wielu je odrzuca. Sam gubernator Wenus. Daru, jest mu zdecydowanie przeciwny, ale wierzącym nie stania przeszkod...

— Jeśli znacie tak dobrze naturę ludzką, czy przez to samo nie jesteście doskonale przygotowani do przyjęcia chrześcijaństwa? Przecież ono najlepiej tę naturę rozwija i wzbogaca.

— To prawda, Andra. Ale mimo naszej wiedzy jesteśmy tylko ludźmi, co znaczy, że nie jesteśmy. pozbawieni pychy. Czytałam w Ewangelii, że jeden z tych, którzy się stali Apostołami, zapytał: „Czy może być coś dobrego z Nazaretu?” Czując się cywilizacyjnie i technicznie wyższymi od was, nie bardzo chcemy uznać, że może coś dobrego przyjść z Ziemi. A ponadto — nie gniewaj się — ale przyglądając się wam, waszym wojnom i postępowaniu, odległemu tak często od idea-

łu Chrystusowego, stawiamy sobie nieraz pytanie: „Cóż warta religia, której wyznawcy żyją tak niemoralnie?”

Weszliśmy do wnętrza gigantycznej kuli. Z jej ścian padało delikatne fosforyczne światło. Pośrodku podłogi wykładanej kamiennymi płytami przyciągał oczy biały kamień ofiarny. Dokładnie nad nim w zenicie kuli znajdowało się wypukłe szkło. Lena objaśniła mi cichym szeptem, że codziennie na tym kamieniu składa się ofiary. W południe, kiedy słońce znajdzie się w najwyższym punkcie (czasem nawet w zenicie, bo Kamiru leży w pobliżu równika), odpowie dnia urządzenie w górze skupia jego promienie i zapala ofiary. Wnętrze piramidy, na której wspierała się kula, służyło za mieszkanie kapłanom. Spotkaliśmy jednego: miał wygoloną zupełnie głowę i twarz, białą szatę ze złotym obramowaniem i złoty pas. Spojrzenie jego było łagodne, poważne, wyraz twarzy bardzo ujmujący.

Wokół piramidy z kulą rozsiadły się wielkie budynki o dachach płaskich lub kopulastych, krytych przezroczystą substancją. Zjechaliśmy w naszym foteliku do jednego z nich, który okazał się magazynem różnaitości. Lena zaopatrzyła mnie tam w różne, mniej lub więcej potrzebne przedmioty codziennego użytku, z nowymi ubraniami włącznie. Przebrałem się w długi niebieski sarong sięgający od pasa do kostek, i przepasałem szerokim srebrzystym pasem. Gdy Lena płaciła, należność za zakupy, zwróciły moja uwagę

pieniądze w jej torebce. Były to okrągłe monety z lekkiego, plastycznego materiału o rozmaitych barwach. Lena zapłacała za moje wydatki monetami niebieskimi różnej wielkości.

— Co oznaczają te kolory? — zapytałem.

— Za niebieską monetę możesz kupić tylko przedmioty „gospodarcze”: żywność, ubranie, narzędzia itp. „Kulturalne” pieniądze mają kolor czerwony — kupujesz za nie książki, wstęp do lokali rozrywkowych, wszystko, co ma służyć twojej radości i rozwojowi umysłowemu. Waluta żółta używana jest w komunikacji, itd. Każdy otrzymuje za swoją pracę taką różnokolorową pensję, której nie może w całości zużyć np. na jedzenie, ale musi też nabyć wartości wyższego rzędu. Ma to także inne dodatnie strony, ale za dużo byłoby na ten temat mówić.

Wyszliśmy na ulicę.

Plama słoneczna chyliła się powoli ku zachodowi nadając niebu tony czerwonawa. Od górskiej krawędzi spływał między rozpalone kamienie przyjemny chłodek, toteż coraz więcej mieszkańców Kamiru ukazywało się na ulicach. Należeli oni niewątpliwie wszyscy do rasy białej, ale jakby podpalonej bliskością wielbionego przez nich słońca, które nadawało ich twarzom charakterystyczną smagłość. Był to lud dorodny, wzrostu słusznego, o ciele zwinnym, sprężystym, zwężonym w talii. Rysy posiadali regularne, oczy okrągłe, wyraziste, bardzo różne w kolorze, tak samo jak i włosy. Spotykały mnie spojrzenia błękitne i szare i orze-

chowe; falowało na głowach płynne złoto miękkich splotów, ale też kędzierzawiła się granatowa czerń lub wyzywał rudy płomień miedzianej czupryny.

Widziałem wszędzie twarze pogodne, spoglądające ku sobie życzliwie i uprzejmie. W powietrzu drgała swobodna wesołość, odzywał się raz po raz szczery śmiech brzęczał jak w ulu gwar dziecięcych głosów. Dzieci były wszędzie — rozbawione, w gonitwie, pogodne jak dzisiejsze popołudnie. Ale w ich zabawie i radości uderzała dziwna powściągliwość: nie było niepochamowanej hałaśliwości naszych dzieci, nie było sprzeczek, bójek i skarg wybuchających z lada powodu.

Rozpoczynał się właśnie czas powrotu starszych od całodziennych zajęć; wysypywali się jak rój pszczół z podziemnego miasta pracy. Wybiegały im naprzeciw



dzieci zarzucając rodzicom ręce na szyję tak serdecznie, jakby nie z rana, ale wiele dni temu rozstały się z nimi. Podczas gdy jedna fala ludzka płynęła z centrum miasta ku domom, druga, stopniowo rosnąca, zaczęła krzyżować się z pierwszą i sunąć ku brzegom jeziora. Wkrótce czerwoną wstęgę plaży upstrzył brązowy tłum pięknych, opalonych ciał. W Kamiru nie było ciał brzydkich, zniszczonych chorobą, przygarbionych wiekiem. Moje oko z podziwem i uznaniem zatrzymywało się na tych kształtach zręcznych i gibkich, o proporcjach greckich posągowo lecz bez ich martwooty; tu wszystko wibrowało życiem, tryskało radosną energią. Te ciała rozgrzane pracą i skwarem, zanurzały się z widoczną radością w rześkich falach jeziora. Wenuzianie czczą słońce, ale kochają wodę — jest ona dla nich żywiołem, w którym czują się najlepiej.

Ubiór ludzki, rozmaity w barwie i deseni, był prawie jednakowy w kroju. Ciała kobiece opinała tak zwana „zela“, czyli szata z jednego kawałka wzorzystej materii, podobna do hawajskich czy tahitańskich sarongów. Mężczyźni nosili albo spadające od pasa do kostek fałdziste „zany“ lub krótsze mniej dostojne, lecz wygodniejsze „pople“, odsłaniające kolana i łydki. (Kapano się w tych samych ubraniach, które sporządzone z lekkiej materii, wysychały bardzo szybko w gorącym klimacie.) Na szyjach widziałem tu i ówdzie śliczne naszyjniki z pereł, drogich kamieni i muszli, złote łańcuchy z rzeźbionymi w metalu lub kości symbolami, na rękach kunsztowne bransolety. Nikt nie nosił kapelu-

sza, chociaż żar słoneczny, szczególnie w porze południowej, był wielki. Nie spostrzegłem też żadnego na modłę ziemską uczesania głowy. Większość kobiet miała długie włosy, bądź mister- nie upięte, bądź rozpuszczone, albo zaczesane gładko i ujęte z tyłu głowy w estetyczny węzeł. Czupryny męskie przeważnie krótkie, różnie przystrzyżone. Brody i wąsy występowały bardzo rzadko.

Kiedy wróciliśmy z miasta do domu Leny, zastaliśmy tam już jej ojca i brata. Pali przywitał mnie z dużą serdecznością, ojciec Leny grzecznie, ale z pewną rezerwą.

Po kolacji Pali zabrał mnie nad brzeg jeziora, gdzie usiedliśmy na wygodnej ławce. Było już ciemno. Na wenuzjańskim niebie nie paliła się ani jedna gwiazda. Za to miasto płonęło z daleka fosforycznymi blaskami swych samo-świecących ścian. Olbrzymia wieża pośrodku jeziora rozsiewała delikatne, srebrzyste światło. Jej migotliwe odbicie w drgających falach jeziora dochodziło niemal do naszych stóp.

— Cóż to za „Wieża Babel”? — zapytałem mego towarzysza po angielsku. — Czy to pomnik ku czci któregoś z waszych bohaterów wenuzjańskich?

— Nie pomnik, ale w rzeczy samej coś bardzo podobnego do Wieży Babel, o której wspominają i nasze stare kroniki. Tylko, że tamta była nieudanym przedsięwzięciem, ta. zaś działa bardzo sprawnie. Jest to rodzaj olbrzymiej anteny. Pod nią, w głębi ziemi, mieści się gigantyczna aparatura wysyłająca nieustannie

w przestrzeń fale nieznanego wam gatunku. Dzięki tej aparaturze kontrolujemy w dużej mierze życie i pogodę, na Wenus. W przeszłości wyniszczyliśmy dzięki tym falom wszystkie szkodliwe bakterie, owady, nie sposób zaczęło się plenić robactwo.

— Nasza historia notuje podobne wypadki przyznał Pali. — Obecnie jednak osiągnęliśmy możliwie doskonałą równowagę w przyrodzie i nadal ją kontrolujemy. Zwiększamy na przykład lub zmniejszamy rozrodność poszczególnych gatunków zwierząt i owadów, wpływamy na silniejszą lub słabszą wegetację drzew i roślin. Lecz, jak się sam na pewno przekonasz, musieliśmy iść na kompromis w pewnych wypadkach i pozostawić przy życiu niektóre stworzenia szkodliwe lub dokuczliwe pod jednym względem, ale pożyteczne pod innym. Parokrotnie też zastępowaliśmy pewne gatunki gatunkami pokrewnymi, sprowadzanymi z innych planet,

— A jak ma się sprawa, z człowiekiem? Czy i my jesteśmy poddawani działaniu tych fal?

— Oczywiście, Te fale regulują wiele dziedzin naszego życia lub, przynajmniej mają na nie wpływ. Jednakże nie można było pójść w tym za daleko. Na przykład, przez pewien okres czasu wysyłano w dni robocze fale nastrajające człowieka do wydajnej pracy, w dni zaś świąteczne do odpoczynku i pogodnej rozrywki. Powstał niestety kłopot z tymi, którzy muszą pracować i w dni wolne dla innych. Oczywiście to sztuczne oddziaływanie nie jest zdolne przełamać wol-

nej woli ludzkiej, i w nastroju świątecznym można się zmusić do pracy, ale nie idzie to łatwo. Ponadto taka kolektywna regulacja nastrojów sprawia że wszyscy stają się monotonicznie podobni do siebie. O tej samej godzinie nabierają dobrego humoru lub mają ochotę spać. Ma to swoje dobre strony, ale zarazem czyni życie nudnym i bezbarwnym. Chyba ciekawsze jest ścieranie się charakterów, to nawet, że jesteśmy różni w swoich nastrojach i chęciach, że musimy nawet czasem zrezygnować z rozrywki, ponieważ nasz bliźni ma właśnie ochotę przedrzeć się lub pracować.

— My na Ziemi nie obrazilibyśmy się, gdyby tak nagle wszyscy nabrali dobrego humoru i żywotnych uczuć dla swoich bliźnich, życie może stało-by się nieco nudniejsze, lecz możliwe do wytrzymania. Ale wyjaśnij mi jeszcze, co to było z tą wieżą Babel? Co o tym wiecie?

— Było to w początkach odkrycia tych fal, którymi się teraz posługujemy. Po kilku udanych próbach w mniejszym zakresie, postanowiono zastosować wyniki na skalę całego globu ziemskiego. Przystąpiono więc do budowy podobnej aparatury, jaką tu mamy przed sobą. Eksperyment dał katastrofalne wyniki. Upřednio bowiem ludzie porozumiewali się ze sobą przede wszystkim za pomocą telepatii. Dźwięki mowy miały drugorzędne znaczenie, tak jak obecnie gesty, wyrażały w sposób prymitywny takie uczucia, jak gniew, radość, zdziwienie. Ludzkość nie posiadała jeszcze tego kunsztownego aparatu językowego, jaki mamy dzisiaj.

Wskutek jakiegoś błędu, czy to w teorii czy w jej praktycznym zastosowaniu, zamiast uzyskać kontrolę nad Ziemią, spowodowano zakłócenia, które przekreśliły powszechną możliwość telepatycznego porozumiewania się między ludźmi. Pozostała ona tylko u jednostek wyjątkowych, wypadek jeden na milion czy na bilion. Ludzkość, pozbawiona precyzyjnego środka wymiany myśli, stoczyła się szybko w dół po szczeblach drabiny cywilizacyjnej.

— Takiej interpretacji Wieży Babel nie słyszałem jeszcze nigdy. To bardzo ciekawe. Ale jak sprawa telepatii przedstawia się tu na Wenus? Nara przecież czytał swobodnie w mojej myśli, natomiast ani u ciebie ani u Leny dotąd tego nie dostrzegłem...

— Pewien rodzaj intuicyjnego poznania jest u nas wyżej rozwinięty niż u wis. Dużo łatwiej porozumiewamy się bez słów, ale taka umiejętność, jaką posiada na przykład Nara, jest dostępna tylko niektórym jednostkom. Zdobywają ją długimi i trudnymi ćwiczeniami. Metoda nie znana ogółowi. Może to i lepiej. Pewnie, nieraz chciałbym wyczytać, co ktoś inny myśli, ale zarazem wcale sobie nie życzę, żeby moje własne idee i marzenia były znane innym osobom.

Rozmowa nasza przeciągnęła się do późna w nocy. Z kolei Pali zadawał mi pytania na tematy religijne, które go bardzo interesowały. Cieszyłem się, że mogę mu wiele spraw wyjaśnić. W czasie okupacji niemieckiej młodzież warszawską pasiono wały zagadnienia związane z wiarą. Ja sam posiadałem wcale pokaźną

biblioteczkę w tym zakresie i byłem nieźle odczytany. Przydało się to teras ogromnie. Pali chłonał wszelkie wiadomości jak gąbka wodę. Gawędzilibyśmy o wiele dłużej, gdyby nam nie przerwała Lena. wysyłając nas energicznie w objęcia snu.

Noc spędzona na wenuzjańskim łożu bez materaca okazała się wcale nienajgorsza, śniło mi się. że urosły mi skrzydła, i że fruwałem sobie lekko między chmurkami.

ROZDZIAŁ VI

SPOTKANIE Z TAKILĄ

Kiedy po pierwszej nocy spędzonej w Kamiru wstawałem rześki i wypoczęty, nie wiedziałem, że będzie to pamiętny na zawsze dzień spotkania z Takilą — Panną Wodną.

Wybieraliśmy się właśnie z Leną do Lary, gdy zjawiał się on najniespodziewaniej przed nami we własnej swej dostojnej osobie. Poprzedniego dnia, widząc ponad powierzchnią biurka jedynie jego wygoloną głowę i ramiona, wyobraziłem sobie nie wiem dlaczego, że musi mieć krótkie i krzywe nogi. Tymczasem stał oto przed nami wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, którego jeszcze uwysmukłała zielona „zana“ o złotym deseniu, opadająca od pasa do kostek. Przez boczne rozcięcie sukni dojrzałem kształtną, sprężystą nogę. Z całej postawy i z każdego ruchu biła godność i powaga, a zarazem wielka energia nie pasująca, zdawałoby się do jego sędziwego — według naszych ziemskich norm — wieku.

Powitał nas nieznacznym skinieniem głowy i wpił w moje oczy wzrok tak przenikliwy, że poczułem się nieswojo. Wytrzymałem jednak to spojrzenie i zapytałem:

— Cóż, szefie, rozkażesz?

Nara nic nie odpowiedział, lecz dał znak. byśmy szli za nim. Skierowaliśmy się ku jezioru, skąd przybył przed chwilą.

Tam właśnie, u kamiennego mola, ujrzałem Takile — niewielki, biały jacht o wdzięcznym, lecz raczej niezwykłym kształcie. Ten stateczek można by chyba najtrafniej określić jako zmodernizowaną, wenecką gondolę, tylko niewątpliwie o wiele większą. Takie skojarzenie przyszło mi natychmiast do głowy, a usprawiedliwiał je wysoko do góry zadarty dziób i rufa Takili zakończona poziomymi, krótkimi rurami, z których na obie strony wystawały metalowe pręty. Przód statku zaopatrzone był w jedną taką rurę, tył aż w trzy, lecz o mniejszych rozmiarach. Ponad pokładem widniał długi kasztel o opływowych liniach, zakończony po obu stronach okrągławymi, przezroczystymi kloszami. Ze środka kasztelu wyrastała oszklona wieżyczka o aerodynamicznym, podłużnym kształcie. Rząd podługowatych iluminatorów patrzył na nas z boków kasztelu, drugi szereg takich samych okienek wyzierał z boku jachtu, między pokładem a linią wody. Cały statek mógł mieć ze dwadzieścia pięć metrów długości.

Po stalowych schodkach weszliśmy na pokład wyłożony brązową gumiasto-gąbczastą masą, uginającą się lekko pod stopami. Przez otwarte drzwi w boku kasztelu Nara wprowadził nas do wnętrza.

— Lena nauczy cię kierować i obchodzić się z tym statkiem — powiedział. — Będzie to pierwszy punkt



Wewnątrz ogrodu stał dom parterowy, zbudowany z błyskotliwej białej substancji. Miał kształt litery X rozwartej ku jezioru; żadnych okien, jedno tylko wejście na skrzyżowaniu osł...

twego wykszolenia przed wyprawą. — Następnie zwrócił się do dziewczyny. — Odwieź mnie teraz do pałacu, a potem jedźcie na pełne morze; tu na jeziorze za ciasno na naukę.

Po stalowych schodkach Lena wspięła się do wnętrza wieżyczki, która zawierała przyrządy sterownicze. Nara natomiast oprowadził mnie pobieżnie po wnętrzu jachtu. Urządzone było prosto, wygodnie i ze smakiem: wszędzie aż lśniło czystością i ładem. Miłą atmosferę stwarzała kombinacja dwu kolorów: białego i niebieskiego, w których były utrzymane i pomieszczenia i urządzenia Takili. W przednim kasztelu mieściła się obszerna kajuta osobowa z wygodnym tapczanem, eleganckim biurkiem i nawet z małą biblioteczką podręczną. Podłogę kajuty krył puszysty, granatowy dywan. Z kajutą łączyła się łazienka z prysznicem. Jak mi Nara wyjaśnił, wodę słodką pobierał siatek przez chemiczną destylację prosto z morza. Przednia ściana kajuty była przezroczysta, zasuwana w razie potrzeby błękitną kotarą. Małe drzwiczki prowadziły do kabiny obserwacyjnej, całkowicie oszklonej, o półkloszowym kształcie. Widać stąd było dziób statku z owym podłużnym cylindrem, i iglicą, których przeznaczenia dotąd nie znałem.

Tylna część kasztelu kryła w sobie znowu obszerną kajutę, służącą — zależnie od potrzeby chwili — albo za salę jadalną, albo za stolik. Metamorfoza wnętrza dokonywała się za naciśnięciem guziczka: wielki stół pośrodku znikał wtedy w podłodze. Posuwając się

dalej ku rufie weszliśmy do drugiej z kolei kabiny obserwacyjnej o przejrzystych ścianach, które można było jednakże dowoli przyciemniać, przyciskając odpowiednie przełączniki na tabliczce rozdzielczej. Pod pokładem znajdowała się przede wszystkim elegancka kuchenka ze spiżarką konserwującą artykuły żywnościowe za pomocą specjalnych promieni. Poza kuchnią kadłub Takili zawierał w sobie osiem dwuosobowych, ciasnych nieco kabin, dwa magazyny sprzętowe oraz małą pustą komórkę. Na moje pytanie, do czego służy. Nara odpowiedział krótko:

— Dowiesz się później.

Lena doprowadziła Takilę do mola obok pałacu na wyspie. Mój łysy szef szykował się do wyjścia, gdy go znowu zagadnąłem:

— Nigdzie nie widziałem motoru; gdzież on się mieści?

— W ogóle go nie ma — padła odpowiedź. Nara skinąwszy nam głową na pożegnanie wyszedł na molo.

Cóż więc poruszało Takilę? Domyśliłem się, że podobnie jak motorówka, którą, jechałem poprzedniego dnia, tak i ten jacht poruszany jest tym samym niewidzialnym „prądem”.

Lena zawołała, bym przyszedł do wieżyczki. Siedziała tam na wygodnym foteliku, ręce opierając na kierownicy. Dała mi znak, bym zajął miejsce obok. Statek skierował się ku przeciwległemu brzegowi jeziora, gdzie widniało kilka tuneli wykutych w stromej skale. Wpłynęliśmy w jeden z nich i natychmiast za-

padliśmy się z całym jachtem w ciemną otchłań. Nim się zorientowałem co się stało, kołysaliśmy się już lekko na falach morskich u stóp wulkanu, który krył w swym kraterze stolicę planety. Ruszyliśmy w kierunku północno-wschodnim. Niebo wisiało nad nami pogodnie, seledynowe, taki sam kolor odbijająca w łagodnych tego dnia falach morskich.

Wielki dysk słońca, choć zamglony i niewyraźny jak zwykle na Wenus, palił jednak przez szybę bardzo mocno. Lena przycisnęła jeden z guzików na, tabliczce rozdzielczej i w tej samej chwili okienko ponad naszymi głowami zaciemniło się na ciemno-granatowy kolor zagradzając przepływ, palącym promieniom.

Pędziliśmy bardzo szybko, zaledwie muskając powierzchnię wody. Za nami ogromny masyw wulkanu malał w oczach. Przed nami rozciągał się pusty przestrzeń morski.

Lena zaczęła mnie powoli wtajemniczać w kierowanie statkiem. Pod frontową szybą wieżyczki, czy mostka kapitańskiego, jeśli kto woli, znajdowała się tabliczka rozdzielcza z przyrządami wskazującymi dane żeglugi, z różnokolorowymi przełącznikami i z czterema ekranami, podobnymi do ekranów telewizyjnych. Jeden z nich, najbliższy Kierownicy, działał właśnie. Widziałem na nim ruchomą mapę, z naznaczoną kołkiem naszą pozycją; wąska linijka wskazywała kierunek, w którym zdażaliśmy: była to grupa niewielkich wysp rozłożonych wachlarzowato, nazwy ich nie pamiętam.

Moja wdzięczna instruktorka kazała mi zamienię z nią miejsce. Usłuchałem. Przy kierownicy, po prawej stronie, znajdowała się mała rączka, podobna do tej, która w samochodzie przełącza biegi; przy jej to pomocy regulowało się szybkość statku.

— Rączki po lewej stronie nie ruszaj na razie — pouczała mnie Lena. — Jest ona teraz wychylona ku tobie, dzięki czemu Takila straciła większą część swego ciężaru i ledwie się zanurza; zmniejsza to opór wody a zwiększa szybkość jachtu. W środkowej pozycji tej rączki statek wraca do swego normalnego ciężaru i spoczywa ciężko na falach, w pozycji do przodu... to ci objaśnię później. Niech będzie to dla ciebie niespodzianką.

--- Może wzlecimy w powietrze?

-- Zobaczysz! Nie dotykaj też na razie przełączników i przyrządów naznaczonych zielonym i czerwonym kolorem. Używaj tylko niebieskich, które służą do normalnej żeglugi.

Po dwóch, godzinach przyjemnej jazdy i nie mniej przyjemnej pogawędki z Leną, na horyzoncie wykwitły najpierw fioletowe szczyty gór, a potem całe już zarysy zielonych wysp. Gdyśmy się zbliżyli bardziej do brzegu, Lena przycisnęła guziczek nad drugim z kolei ekranem, który ukazał nam głębokość dna i jego kształt. Wpłynęliśmy do obszernej zatoki o piaszczystych brzegach, na których nie widać było ani śladu ludzkiej obecności. Za plażą wyrastała w górę ściana dżungli, ponad którą wybijały się bardzo wysokie

drzewa o kształcie cyprysów i rdzawym zabarwieniu. Zatrzymaliśmy się przy prawym ramieniu zatoki i chciałem powiedzieć „opuściliśmy kotwicę”, ale byłoby to prawdą tylko w przenośni. Na Takili nie było kotwicy. Wystarczyło naciśnięcie małego guziczka, by statek znieruchomiał na niewidzialnej uwięzi.

— Te wyspy są bezludne — wyjaśniła Lena. — O ile dobrze pamiętam, tu w pobliżu powinna się znajdować starożytna świątynia. Chciałabym ci ją pokazać, bo warta widzenia. Ponadto Nara życzy sobie, żebym cię zaznajomiła z zachowaniem w wenuzjańskiej dżungli.

— Podziwiam twój zapał instruktorski, ale może byśmy przed tą nauką coś niecoś zjedli. Podróż morską wspaniale zaostrzyła mój apetyt.

— Spizarnia Takili jest co prawda świetnie zaopatrzona, ale dziś będziesz musiał sam sobie zdobyć pożywienie w puszczy. A teraz pamiętaj! pierwsza zasada przed wejściem w dziki las; nigdy nie zapuszczaj się w głąb nie mając przy sobie przynajmniej noża.

To mówiąc, wyjęła ze schowka duży nóż myśliwski w skórzanej pochwie i zawiesiła mi go na szyi na złotym łańcuszku.

— A teraz popłyniemy dc brzegu wpław!

— Czemu ty; szanowna instruktorko, dajesz sama zły przykład, i wbrew owej pierwszej zasadzie nie bierzesz ze sobą noża?

W odpowiedzi uśmiechnęła się tylko wdzięcznie i tak jak stała w swej błękitnej „zeli” skoczyła w prze-

zroczyście fale zatoki. Poszedłem za jej przykładem. Choć pływałem dobrze, Lena wyprzedziła mnie znacznie i czekała rozciągnawszy się wygodnie na czerwonym piasku wybrzeża.

Świątyni nie mogliśmy jakoś odnaleźć. Lena była tu tylko raz jeden i to latającym dyskiem, a teraz nie mogła się zorientować, w jakim kierunku należy iść. Wałęsaliśmy się więc czas jakiś po kwietnej dżungli, aż wyszliśmy na obszerną polanę. Musiała się tu kiedyś wznosić potężna budowla, bo między krzewami i wysoką trawą walały się bezładnie kamienne bloki, popękane od starości.

—Tu urządzimy sobie postój i wzmocnimy nadwątłone siły — zadecydowała Lena. — Czy widzisz tamto drzewo z czerwonymi owocami? Zerwij ich falka, ja zaś poszukam jeszcze czegoś innego do jedzenia.

Minęło już spore czasu od chwili, kiedy po raz ostatni wdrapywałem się na drzewa, dlatego wypełnienie polecenia nie szło mi łatwo. Owoce wisiały na zawrotnej — jak mi się zdawało — wysokości, a ponadto trzeba było przedzierać się do nich przez gęstwą gałęzi, które nie wykazywały nawet elementarnej gościnności dla głodnego przybysza z Ziemi. Mocno już podrapany, dotarłem najwyżej do połowy wysokości drzewa, gdy o uszy moje uderzył chrapliwy ryk i towarzyszący mu przeraźliwy krzyk Leny.

Zsunąłem się z drzewa jak mogłem najszybciej i rzuciłem się w kierunku krzyku, wyciągając po drodze nóż z pochwy, którego nigdy nie zapomnę na samym

skraju polany stała olbrzymia, włochata postać. W swoich potwornych ramionach trzymała wyrywającą się rozpaczliwie Lenę. Był to goryl, nie-goryl małpolud jakiś o żółtawej sierści, mięśniach giganta i nader złośliwym pysku. Rzucać się na niego z nożem jedynie w rękę było szaleństwem, ale wiedziałem, że muszę to szaleństwo popełnić.

Wydawszy okrzyk, który miał zabrzmieć dziko i przerażająco, a wypadł śmiesznie słabo, skoczyłem ku potworowi. Dopiero teraz zobaczyłem z jego gardła dobyło się groźne bulgotanie. Cisnął Leną o ziemię, aż jęknęła i począł się zbliżać ku mnie. Mnie tymczasem nogi wrosły w ziemię. "Atakuj pierwszy" — przemknęło mi przez głowę, ale nerwy i mięśnie nie posłuchały tego rozkazu.

Bulgot napastnika przeszedł w straszliwy ryk wściekłości, małpolud wyszczerzył zęby w potwornym grymasie gniewu, ale zbliżał się ostrożnie, jakby niepewny moich możliwości i zamiarów. Ja zaś miałem pustkę w głowie i takie uczucie, jakby moja dusza nagie oddaliła się od ciała, jakby wszystko działo się gdzieś bardzo daleko i dotyczyło kogoś innego. Wtem, niby światłe błyskawicy, olśniła mnie zbawcza myśl. Przypomniał mi się podstęp żołnierzy japońskich, wziętych do niewoli, o czym opowiadał mi Stanley.

Rzuciłem spojrzenie na ziemię, po czym ostrożnie, powolnym ruchem nachyliłem się i wyrwałem gęstą kępę zielska wraz z korzeniami. Małpolud zatrzymał się przez parę sekund, widać zdziwiony moim nieocze-

kiwanym schyleniem. Był teraz najwyżej trzy metry ode mnie. Czułem już wyraźnie nieprzyjemną woń ogromnego cielska. Nie otrzepując: z piasku trzymanej kępy cisnąłem mu ją prosto w ślepie. Zawył przeraźliwie i podniósł ogromne łapy do zaproszonych oczu. Na to czekały. Spreżyłem się w sobie i skoczyłem naprzód wbijając z całych sił nóż w podgardle olbrzyma. Ryk zamilkł, przechodząc w rżenie. Bijąc łapami powietrze małpolud zwałił się na trawę. Drgnął kilka razy i zmartwiał.

Stałem tak nad nim z nożem ociekającym krwią, zdumiony szczęśliwym wynikiem swej akcji, gdy nagle nogi zaczęły się trząść pode mną, na czoło wystąpił zimny pot. Zrobiło mi się słabo. Osunąłem się na ziemię obok mej ofiary. W tejże samej chwili uczułem, jak dwoje silnych, ramion oplata mi szyję i miękkie wargi Leny wyciskają serdeczny pocałunek na moim policzku.

— Dziękuję ci! — szepnęła. Widząc jednak moją słabość zerwała się natychmiast i pobiegła po żółte kwiaty rosnące na skraju polany. Kilka kropel nektaru tego kwiecica wróciło mi siły nieomal od razu. Drżenie członków ustało, poczułem przypływ nowej energii. Byłem dumny ze swego wyczynu, ale wstydziłem się trochę słabości, która nastąpiła po nim.

— Taki ze mnie rycerz na słomianych nogach — powiedziałem wstając.

Lena nic nie odpowiedziała, ale jej piękne oczy rzuciły mi takie ciepłe wejrzenie, że uczułem, jak mi

się od niego robi dziwnie przyjemnie koło serca. Ona sama miała jeszcze bladość na policzkach. Całe to przeżycie musiało nią mocno wstrząsnąć. Niebieska żela była poszarpana w kilku miejscach. Na ramionach widniały krwawe ślady po wielkich pazurach. Dziewczyna zerwała z rozłożystego krzewu kilka mięsistych liści o postrzępionych brzegach, ściągnęła zgrabnie delikatny naskórek, i ponaklejała te liście na zadrapania.

— Może ci w czym dopomóc? — zapytałem poniewczasie.

— Dziękuję, nic więcej nie potrzeba. To wszystko moja wina. Zapomniałam, zupełnie, że na tej wyspie żyją „Karabu“. Bardzo są sprytne i złośliwe. Niejeden człowiek zginął z ich ręki, a niejeden dostał się do ich upakarzającej niewoli.

— Czy są to jacyś pierwotni ludzie, ery zwierzę ta człekokształtne?

— Zwierzęta, choć wysoko rozwinięte. Liczna tego małopoluda wielu rzeczy nauczyć, nigdy jednak nie stanie się twórczym, Tu jest ich rezerwat, ale żyją i w paru innych miejscach. Nie likwidujemy ich, bo mimo wszystko szkoda.

— Słusznie, może to wasi praojcowie?

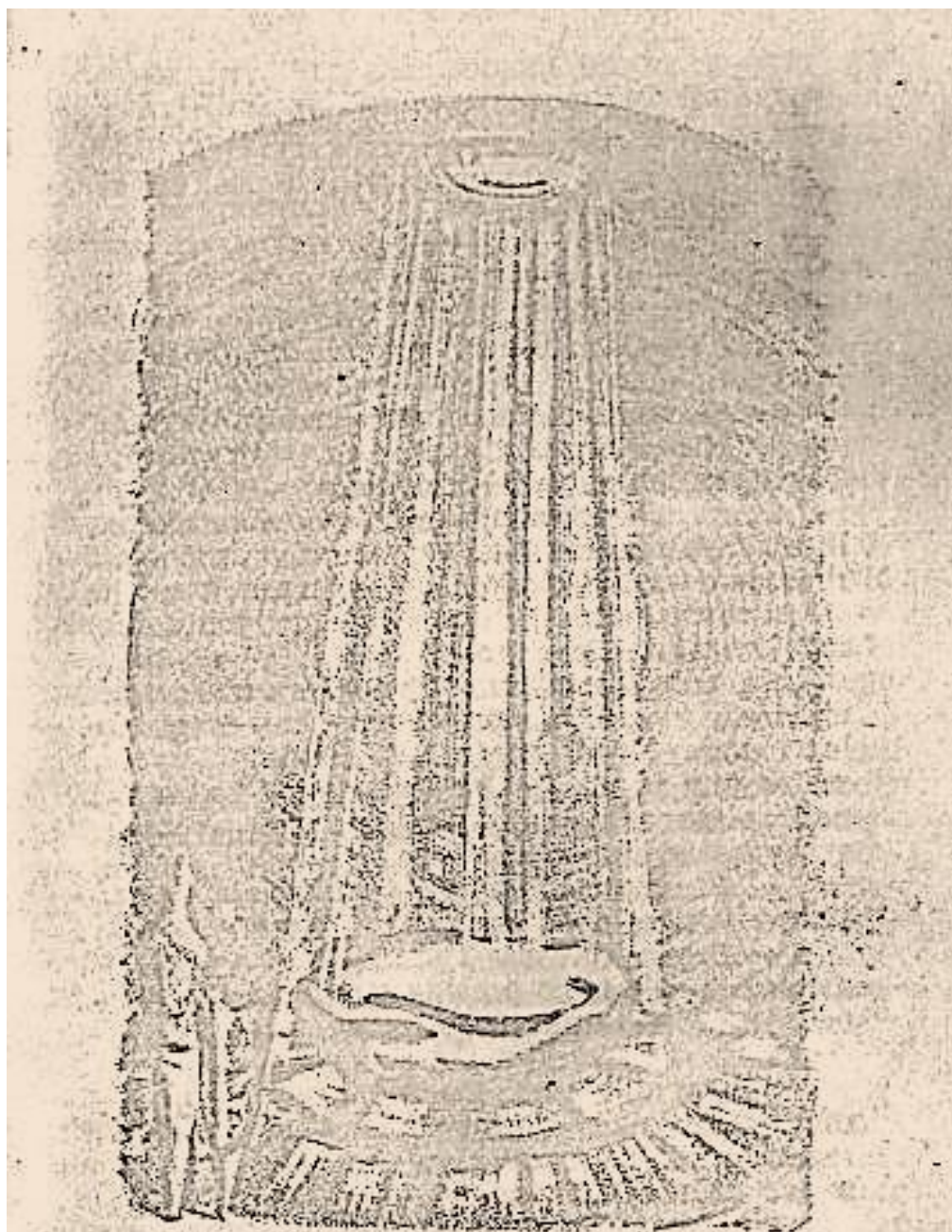
— Nie filozofuj teraz. Lepiej wracajmy do Takili, bo ich tu może być więcej.

Rada była słuszna, więc pospiesznie skierowali śmy się ku morzu. Lena zrywała po drodze różne rodzaje owoców, których było zatrzęsienie, a także grzy-

by jadalne. Bez dalszych przygód dotarliśmy szczęśliwie do zatoki.

Po krótkim posiłku płynęliśmy dalej wzdłuż wybrzeży wyspy. Ja sterowałem, Lena przez lunetę lustrowała teren, chcąc koniecznie odkryć ową starożytną świątynię. Po upływie pół godziny, ponad splątana zieleń, na tle nieba, ukazała się sylwetka wielkiego obelisku.

— To chyba tutaj — powiedziała Lena. — Mamy jeszcze dość czasu na nową wyprawę.



Weszliśmy do wnętrza gigantycznej kuli. Z jej ścian padało delikatne fosforyczne światło. Pośrodku przyciągał oczy biały kamień ofiarny. Na nim, w zenicie kuli, znajdowało się wypukłe szkło. Lens objasniła mi, że codziennie na tym kamieniu składa się ofiary.

— Czasu, to może i mamy dość — odpowiedziałem — ale ja co prawda straciłem już wszelką ochotę do wysiadania na brzeg tej uroczej wysepki.

— Wstyd, Andra. Duch odkrywczy nie powinien w nas nigdy zamierać. Lecz nie bój się, tym razem pojedziemy uzbrojeni nie tylko w nóż, ale w coś daleko lepszego.

To „coś lepszego” stanowiły wenuzjańskie pistolety promieniowe. Posiadały one zasadniczo kształt i części składowe naszych ziemskich pistoletową z tą różnicą, że z lufy wystawał na obie strony metalowy pręt zakończony ostro w kierunku strzału, a płasko od strony strzelca. Ponadto pistolet nie potrzebował żadnej amunicji, był niewyczerpany. Przy naciśnięciu języka spustowego wydawał trzaski, które przypominały terkot wielkotypodniowej kołatki. Na kolbie znajdowała się wskazówka, którą przesuwano się kciukiem. Miała ona trzy położenia. W pierwszym — promień obezwładniał przeciwnika na przeciąg mniej więcej trzech godzin; w drugim — na kilkanaście godzin; w trzecim: zabijał. Pistolet strzelał ciągłym „ogniem” tak jak nasza broń maszynowa.

Jak mnie Lena objaśniła, ten pistolet był jakby aparatem odbiorczym, który otrzymywał z owej „Wieży Babel” w Kamiru specjalną energię, i przekształcał ją na obezwładniające lub śmiertcionośne promienie. Póki wieża wysyłała odpowiednie fale, poty działał pistolet. Prostym ruchem wyłącznika w stolicy Wenus można było unieszkodliwić wszystkie bronie promieniowe na

całej planecie. Broń palna była zakazana, ale nie wszyscy przybysze z Ziemi stosowali się do tego zakazu.

Zatrzymaliśmy się u ujścia małej rzeczki. Tym razem Lena nie kazała mi skakać w wodę. Za pociśnięciem guziczka, z boku Takili wyskoczyła mała łódka, lekka i zwinna. Wiosłując popłynęliśmy w górę rzeczki, świątyni znowu nie znaleźliśmy. Obelisk, widziany z morza, stał samotnie na polanie ze śladami dawnych zabudowań. Małpoludów nie było wokół ani śladu, tak że wprawiałem się w strzelaniu z promieniowego pistoletu celując do ptaków i krzykliwych małpek. Przy tym Lena odsłoniła mi jeszcze jeden sekret: między kolbą a lufą pistoletu znajdowało się małe, zębate kółko — do nastawiania szerszej lub węższej wiązki promienia. Gdy cel jest dość bliski, a przy tym mały lub w ruchu, należy dać duże rozproszenie, to wtedy trafia się pewniej.

Ponieważ słońce chyliło się już ku zachodowi, zrezygnowaliśmy z dalszych poszukiwań świątyni. Wykąpaliśmy się tylko w rzece, pożywili orzechami wielkości kurzych jaj, o wspaniałym, o słodkawym miększu, i powróciliśmy na pokład Taili.

W drodze powrotnej zapadła noc - ciemna wenuzjańska noc bez księżyca, bez gwiazd, bez jakiegokolwiek światła. Nawet o krok nie było nic widać. Lecz do jazdy w ciemności Takila była świetnie wyposażona. Za pociśnięciem odpowiedniego guzika zajaśniał trzeci

ekran, na którym droga przed nami ukazała się jasno jak w dzień.

Sterowałem. Lena siedziała obok mnie milcząc. Mnie też nie bardzo chciało się rozmawiać. Było nam dobrze ze sobą w ciszy. Zdawałem sobie coraz lepiej sprawę z tego, że Lena zaczyna być dla mnie kimś bardzo drogim i bliskim, i że podobne uczucia i ją opanowują. Czytałem to w jej niebieskich, szczerych oczach. Miałem ochotę przygarnąć ją do siebie, ucałować te trochę leszcze dziecinne w wyrazie usta. Zalewało mnie wzruszenie tak dobrze znane z dawnych doświadczeń, ale zdawało się teraz być nowe i odmienne.

— Andrzejku — zwróciłem się w myśli sam do siebie — musisz sobie otwarcie powiedzieć, żeś się zakochał. Cóż z tym teraz zrobisz?

Nie tyle myślałem o komplikacjach grożących ze strony prawa, które jeśli Nara mówił serio, nie pozwalało na małżeństwo międzyplanetarne. Raczej buntował się we mnie przeciw temu nowe mu uczuciu jakiś instynkt wolności, niezależności. Zakochanie się jest bardzo miłe, trzeba to przyznać, ale zarazem czyni człowieka niewolnikiem, zwraca myśl i serce ku tej jednej osobie, usuwa wszystkich i wszystko inne z pola widzenia. Jest się niewolnikiem każdego uśmiechu czy zmarszczenia brwi kochanej istoty. Myśli się tylko, jak się jej przypodobać, jak wzbudzić czy utrzymać wzajemność. Przeszedłem przez to kilka razy, a raz bardzo boleśnie.

A ponadto... w tej chwili wydawało mi się, że jesteśmy dla siebie stworzeni, że się z Leną tak świetnie rozumiemy jak jeszcze nigdy z nikim...

Ale czy to prawda? Czy miłość potrafi pokryć przepaść dzielącą dwa odmienne środowiska, w których wyrosliśmy, rozdzielone już nie słupami granicznymi, morzem czy nawet oceanem, ale tysiącami mil przestrzeni międzyplanetarnej, tysiącami lat odmiennych tradycji? Chociaż, czy naprawdę istnieje między nami jakakolwiek przepaść? Czy nie jesteśmy przede wszystkim ludźmi, którym nic ludzkiego nie jest obce?

Takie podobne myśli tłukły mi się po głowie, przyprowadzając ją o zamęt. O czym w tej chwili myślała Lena? Pragnąłbym posiadać właściwości Nary i czytać w jej złotej główce.

— Wiesz, Leno — powiedziałem, żeby coś powiedzieć — wyczytałem kiedyś w książce, że jeśli młoda dziewczyna i młody człowiek mogą spędzić czas jakiś w milczeniu i to milczenie im nie ciąży, jest to znak, że są na drodze do prawdziwej przyjaźni.

Przyjaźń? Zwykle w takich razach deklamuje się o „przyjaźni”, gdy z całej duszy chciałoby się wołać: „Kocham!”.

Lena nic nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko takim trochę melancholijnym półuśmiechem i wskazała na ekran, na który już od dziesięciu minut zapomniałem patrzeć. Zbliżaliśmy się do wyspy-wulkanu, na którego szczycie leżało Kamiru.

Następnego ranka zerwałem się wcześniej ze swego odgrawitowanego łoża. Miałem ochotę przed śniadaniem wykąpać się w basenie, dlatego skierowałem swe kroki ku atrium. Wchodząc tam zobaczyłem Lenę. Była odwrócona ode mnie. Stała tuż nad zwierciadłem wody, która odbijała jej jasną postać. Poranne światło, padając przez otwór w dachu, obejmowało różowym blaskiem jej włosy i ciało. Ręce wyciągnęła ku niebu w jakimś niemym błaganiu czy hołdzie. Trwała nieruchomo jakby wykuta z alabastru.

Zatrzymałem się onieśmielony i spoglądałem z zachwytem na ten wdzięczny widok. Lena uczuła zapewne mój wzrok na sobie, bo nagle drgnęła, opuściła ręce i zwróciła ku mnie swoją twarz okoloną złotą falą włosów. W spojrzeniu jej dojrzałem coś niezwykłego. Ta figlarna zazwyczaj twarz, tak pełna wesołości i nawet trzpiotowatości, była teraz jakoś dziwnie poważna, nieziemska, ogarnięta jakby nieskończonością. Zdawało mi się, że jej oczy nie zatrzymują się na powierzchni mego oblicza, ale że przenikają mi w duszę, w jej głębie nieznane nawet mnie samemu.

— Modliłaś się? — spytałem, i nie wiem dlaczego dodałem z przekorą: — do słońca? jak pogańska kapłanka?

Odpowiedziała z powagą:

— Nie do słońca, ale do Boga. My zawsze rano wyciągamy do Niego ręce, by Jego światło i moc spłynęły

w nas, w naszą duszę i nasze ciało, we wszystkie jego komórki aż do koniuszków palców u nóg i w tę ziemię, która nas nosi i żywi. I wiesz? Czasem czuję, jakby coś potężnego i słodkiego, jakaś fala rozkoszna spływała z moich wyciągniętych rąk na mnie całą, niosąc siłę i pokój. Może to złudzenie? Myślę jednak, że nie, bo zawsze potem jestem lepsza i radośniejsza.

— Wy się nieco inaczej modlicie — ciągnęła dalej — w innej postawie i raczej ustami. To może w zasadzie wszystko jedno, ale mnie się wydaje, że jednak nie umiecie czerpać codziennej energii tak bezpośrednio od Boga, z Jego własnej mocy i odwiecznej, nigdy się nie kończącej młodości. Proście Go często o zdrowie i to zwykle dopiero wtedy, gdy się popsuje. My zaś chłonimy je z Boga bezpośrednio całym ciałem; wdychamy Jego łaskę tak jak się wdycha powietrze w płuca. Nawet w Komunii św. zanudzacie Go prośbami.

Westchnęła głęboko i jakby otrząsając się z modlitewnego nastroju powiedziała:

— Chodźmy na śniadanie, bo musimy zaraz ruszać znowu na morze. Mam cię dziś nauczyć czegoś nowego.

Za chwilę Lena stała się taką, jaką znałem ją co dzień. Jej srebrzysty śmiech i wesołe gaworzenie wypełniło cały dom. Ja jednak byłem bardziej zamyślony niż zwykle, wydało mi się bowiem, że przypadkiem przeniknąłem tajemnicę źródła jej nieustannej pogody ducha i nieodpartego wdzięku.

Tego dnia, na Takili, gdyśmy z szybkością strzały przemierzali migotliwą przestrzeń oceanu, Lena rzekła:

— Ustaw teraz tę rączkę przy kierownicy w pozycji "do przodu", ale stopniowo, powoli.

Wypełniłem polecenie. Usłyszałem w całym statku trzask zamykanych samoczynnie drzwi i iluminatorów i poczułem, że Takila zanurza się w wodę. Nie upłynęła i minuta, a zamiast rozległego widoku przestrzeni morskiej miałem przed sobą zielonkawą toń wodną, w której śmigły spłoszone o barwnych łuskach ryby.

— Ta rączka, zależnie od tego, jak ją wychylish. reguluje głębokość zanurzenia. Takila nie może się opuścić niżej niż jakieś dwadzieścia metrów. Naciśnij teraz ten zielony guzik przy czwartym ekranie... Widzisz? Możesz na nim śledzić, co się dzieje na powierzchni.

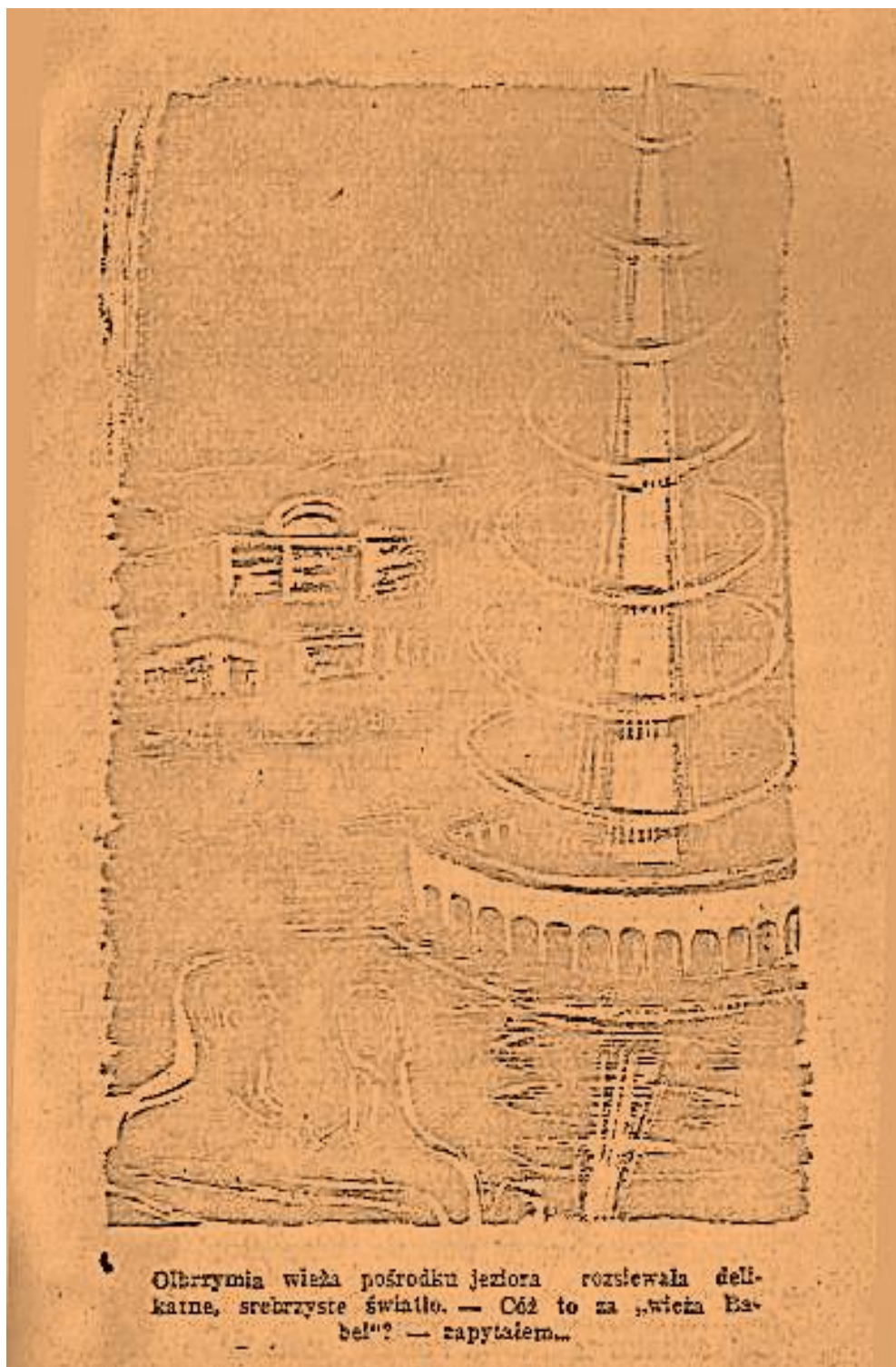
— Zastępuje peryskop.

— „Peryskop”? Nigdy nie słyszałam tego słowa i nie wiem co to jest, ale zatrzymaj teraz statek i chodź za mną!

Zeszliśmy na spód statku, gdzie Lena wyjęła z magazynu sprzęt do nurkowania. Był on bardzo prosty. Maską przypominała, maskę przeciwgazową, z tym, że miejsce pochłaniacza zajmowała puszka w kształcie półksiężyca z otworkami. Było to urządzenie pobierające tlen bezpośrednio z wody. Maską zawierała ponadto mikroskopijne radio umożliwiające swobodne porozumiewanie się między samymi nurkami i statkiem.

Lena, po założeniu na mą głowę maski nurka, kazała mi przypasać nóż i wziąć mały kompas wskazujący stale kierunek, gdzie znajdował się statek. Założyliśmy jeszcze na nogi „żabie płetwy“ i weszliśmy do pustej komórki na rufie, której przeznaczenie intrygowało mnie uprzednio. Za pociśnięciem przełącznika w ścianie, komora wypełniła się całkowicie wodą, a następnie otwarło się przejście w boku statku. Wyłynęliśmy.

Jakaż rozkoszą było tak płynąć w seledynowej poświacie bez poczucia ciężkości, niby w jakimś nierealnym świecie baśni. Towarzyszyło nam czas jakiś stado ciekawych purpurowych rybek. Mignął pary razy cień większej ryby o nerwowych skrętach okazałego ogona. Zniżaliśmy się ku co raz większej głębi i zaczą-



Ołbrzymia wieża pośrodku jeziora rozświecała deli-
kainę, srebrzyste światło. — Cóż to za „wieża Ba-
bel”? — zapytałem...

łem odczuwać ciężar spiętrzonych nade mną masy wodnej. Lena ostrzegła, żeby się nie zapuszczać niżej. Poszybowaaliśmy ku powierzchni. Długowłosa, tęczowa meduza musnęła moje ramię — uczułem nieprzyjemne swędzenie, które trwało jeszcze później parę godzin.

Kiedy wróciliśmy do wnętrza Takili, Lena odkryła mi jeszcze jedną tajemnicę statku. Ten cylinder z iglicą, na przodzie jachtu — było to działo promieniowe. Przy odpowiednim nastawieniu „czerwonych przyrządów” w wieżycie sterowniczej promienie tego działka kruszyły na proszek wszystko, na co padły, wywołując przy tym potężną eksplozję. Można je było nastawić na słabsze działanie, wywołujące jedynie obezwładnienie przeciwnika. Trzy rurki na zadartym w górę ogonie Takili stanowiły także broń promieniową, a odpowiadały w przybliżeniu naszym ciężkim karabinom maszynowym. Łatwo było nimi operować z dużą precyzją z mostka kapitańskiego. Przeszedłem przeszkolenie i w tym zakresie.

Wyraziłem zdziwienie, skąd Lena zna tak świetnie wszystkie tajniki tego wdzięcznego statku, z użyciem broni włącznie.

— Niejedną podróż już odbyłam na Takili — odpowiedziała. — Prawie w każde wakacje udawałam się nią, z członkami rodziny lub ze znajomymi, na bliższą lub dalszą wyprawę. Niejedną tu przeżyliśmy przygodę...

ROZDZIAŁ VI

WYPRAWA NA LEJLĘ

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy moje przeszkolenie uznano za wystarczające.

Nara zawezwał mnie do siebie i naszkicował plan działania. Podeszliśmy do ogromnej mapy przedstawiającej obie półkule planety Wenus. Pokrywa ją w większości morze, na którym rozsiane są tysiącami wyspy. Nie ma tutaj takich wielkich kontynentów, jak Azja czy Ameryka, są dwa tylko większe obszary lądowe, które nie przekraczają rozmiarami Australii. Rozłożenie wysp na powierzchni globu jest bardzo dziwne: tworzą one niezmiernie długie archipelagi pozakrzywiane spiralnie, wyglądają jakby je rozrzucił po oceanach jakiś potworny wir wulkaniczny, który raptownie zastygł.

Kolonistów z Ziemi nie pomieszano ze sobą, jak się to stało np. w Stanach Zjednoczonych Ameryki, ale poszczególne narodowości otrzymały tu ściśle rozgraniczone obszary. Polakom przypadł jeden większy ląd o kształcie ostrego trójkąta, pękniętego w połowie, oraz długi łańcuch niezliczonych wysp i wysepek, które rozciągają się wzdłuż równika na przestrzeni wielu tysięcy mil. Od zachodu ta „Nowa Polska” posiadała za sąsiadów Francuzów, od północy Skandynawów, od

południa Portugalczyków i Anglików, od wschodu zaś Żydów i Niemców. Najbardziej wysuniętą na wschód polską posiadłością był niewielki kolisty archipelag z główną wyspą o nazwie Lejla, na której znajdowało się tak samo nazwane miasto. Na tę wyspę wskazał palcem Nara.

— Lejla, to cel twojej wyprawy — oświadczył Nara. — Rozgraniczając obszary kolonizacyjne przydzielili śmy wara ten niewielki archipelag położony na samym równiku. Jednakże Niemcy, którzy, jak widzisz, podchodzą swymi posiadłościami w pobliże Lejli. opanowali te wyspy trzy lata temu. Nie zareagowaliśmy na to, bo z zasady nie mieszamy się w wasze sprawy — mamy dość własnych zmartwień. Twoi współrodacy nie zdołali przeszkodzić inwazji. Nic dziwnego zresztą. Największe skupisko Polaków leży daleko na zachodzie. Tam też znajduje się wasza stolica "Nowa Warszawa", której wszakże faktyczna władza rozciąga się zaledwie na połowę całego polskiego obszaru. Drugim polskim ośrodkiem, ale o wiele słabszym, jest na wschodzie „Nowy Kraków”, leżący na wyspie Er. Te wyspy wokół niego, na ogół słabo zaludnione, tworzą z nim rodzaj luźnej federacji. Oba te ośrodki polskie, rozdzielone "tysiącami mil, utrzymują ze sobą przyjazne stosunki, ale są właściwie dwoma odrębnymi państwami. Jako rekom-pensatę za wasze polityczne klęski na Ziemi daliśmy wam tak rozległe terytorium, ale przez to samo mimowolnie osłabiliśmy was: jesteście

nazbyt rozproszeni... Ale to wszystko jest dla mnie nieistotne... nie dlatego cię wezwałem.

Powrócił do swego biurka i wskazał mi fotel naprzeciw siebie.

— To, co mnie niepokoi, to fakt, że Niemcy przygotowują coś niedobrego w głębi zajętej wyspy. Znajduje się tam stary, wygasły wulkan. W jego wnętrzu przeprowadzają pewne prace, co do których mam uzasadnione podejrzenia, że mogą zagrozić bezpieczeństwo całej planety. Wysłałem dwóch moich niewidzialnych agentów dla zbadania sprawy... Nie wrócili...

— Jeśli macie takie poważne podejrzenia — przerwałem mu — to dlaczego nie zażądacie od Niemców wyjaśnień, albo nie poślecie im po prostu silnej eskadry latających dysków, by zmusić ich do odsłonięcia kart.

— Bardzo logicznie rozumujesz — odpowiedział z pewną niecierpliwością w głosie Nara — ale powinienś też trochę zaufać mojej inteligencji. Gdybym mógł zrobić to, o czym mówisz, zrobiłbym już dawno. Lecz nie mogę i nie będę ci wyjaśniał, dlaczego. Muszę przede wszystkim koniecznie wiedzieć, co się tam knuje i po to wysyłam tam ciebie, młody człowieku. Pojedziesz do Lejli Takilą zupełnie otwarcie pod banderą „Wenuzjańskiego Towarzystwa Geograficznego”. Spotkasz tam pewną osobę i według informacji otrzymanych od niej zorientujesz się, jak działać dalej. Podam ci zaraz szczegóły tego kontaktu...

Spojrzałem na mapę.

— Ile czasu mi zajmie samo dopłynięcie Takilą do Lejli? Będę musiał opłynąć ni mniej ni więcej tylko prawie pół kuli ziemskiej... wenuzjańskiej — poprawiłem się.

— Nie, nie odbędziesz całej podróży Takilą. Wsadzimy cię jutro wraz ze statkiem do „latającego talerzyka”, jak to nazywasz, i podwieziemy tuż pod Lejlę.

Po otrzymaniu rozlicznych szczegółowych instrukcji, które tu pominię, opuściłem gabinet Nary ze ściśniętym sercem. Miałem wielką treść przed oczekującym mnie zadaniem. Musiałem mieć, minę bardzo niewyraźną, bo czekająca na mnie Lena poznała od razu, że coś mnie trapi. Wzięła mnie serdecznie za rękę i powiedziała.

— Nie myśl, Andra, o jutrze. Całe popołudnie mamy jeszcze dla siebie. Zastanów się lepiej, jak je spędzimy.

Lecz ja i o tym myślałem ze smutkiem, bo miało to być nasze ostatnie popołudnie. Dotąd nie wyznałem Lenie mych uczuć. Powstrzymywał mnie od tego nie tyle brak odwagi, co raczej rozsądek. Udawałem się na wyprawę, z której mogłem nie wrócić. Lena miała wkrótce odlecieć na kilka lat na odległą planetę. Drogi nasze rozchodziły się więc. Czyż nie lepiej było, że rozstajemy się bez niepotrzebnych nadziei lub obopólnych zobowiązań? Trudno jest zaniknąć w sercu nagromadzone uczucia — to prawda — lecz jeszcze trudniej okiełznać już wyznane i rozżarzone do białości.

Lena nadrabiała miną i starała się mnie rozweselić, ale łatwo było poznać, że i jej nie jest wesoło.

Jechaliśmy motorówką, kierując się ku miastu. Opuściłem w przygnębieniu głowę i wzrok mój padł na bose stopy Leny.

— Może mi wyjaśnisz — zapytałem, żeby jakoś podtrzymać rozmowę — dlaczego chodzicie wszyscy bez obuwia?

— To dlatego, żeby nie trzymać głowy w obłokach, ale pamiętać, że mamy ziemię pod stopami — uśmiechnęła się.

— Nie żartuj. Musi być jakiś poważniejszy powód.

— To nie żart. Chodzenie boso ma dodatnie znaczenie dla ludzkiej psychiki. To taki piorunochron uziemiający niepożądane napięcia. Trudno mi to teraz tłumaczyć. Musiałbyś, żeby to w pełni zrozumieć, przejść kurs psychologii wenuzjańskiej.

— U nas na Ziemi — zauważyłem — takie powszechne chodzenie bez obuwia byłoby niemożliwe chociażby ze względów klimatycznych...

— To prawda, lecz wiedz, że w dużej mierze wy sami odpowiadacie za to, iż wasz klimat jest taki nieprzyjemny w porównaniu z wenuzjańskim.

— Co ty opowiadasz za bajki? To przecież nie nasza wina, że nie posiadamy takiej ."Wieży Babel" do regulowania pogody...

— Nie o to chodzi. Czy wiesz, że psychika ludzka wpływa na pogodę, na urodzaje, że wiele klęsk żywio-

łowych, należy przypisać nieporządkowi duchowemu w człowieku?

— I ty chcesz, droga Leno, żebym uwierzył w takie banialuki? Wielu naszych uczonych zaprzecza nawet wpływowi bomby atomowej na pogodę, a ty twierdzisz, że nasza myśl może tego wszystkie go, o czym mówisz, dokonać?

Nie zrażona moim protestem Lena ciągnęła dalej:

—Wcale nie trzeba silnego bodźca, żeby uruchomić działanie wielkich sił. Jeden nieopatrzny okrzyk może spowodować lawinę w górach, jedna iskra — podpalić las. Człowiek promieniuje na zewnątrz zawartością swej duszy: harmonią lub dysharmonią. A weź teraz miliony ludzi żyjących źle, ślących w przestrzeń swój moralny nieporządek. Wcale o tym nie wiedząc, powodują zakłócenia w ładzie przyrody i prowadzą na siebie samych klęski różnego rodzaju. To nie bajka, Andra, to rzeczywistość.

— A wy — zapytałem z mimowolną ironią — jesteście tacy doskonali, że promieniujecie na zewnątrz tylko dobro i harmonię? W takim razie po co ta wieża?

— Nigdy nie twierdziłam, że jesteśmy doskonali. Posiadamy tę samą naturę co wy i jest w nas też wiele złego. Dlatego i wieża jest potrzebna. Jednak, trzeba przyznać, nie prowadzimy ze sobą wojen i żyjemy zgodniej niż wy. Może sprawiają to lepsze warunki naszej egzystencji, dokładniejsza znajomość psychologii, opanowanie pewnych sił natury. I ty teraz, po miesiącu leżenia inkubatorze, chyba czujesz się zdrowszy,

mniej nerwowy, pogodniej i życzliwiej nastawiony do świata i ludzi?

-- To prawda. Jeszcze nigdy nie czułem się tak dobrze psychicznie i fizycznie. Tylko teraz ta misja... i rozstanie z tobą psują mi humor.

-- Przypomnij sobie tylko, Andra, że rządzi nami

Opatrzność Boża, która wszystko układa dla naszego większego dobra, a zaraz ci się robi lżej na duszy. Lecz teraz, dla poprawienia ci humoru w sposób bardziej doczesny, proponuję pójście do kina.

To "kino" wenuzjańskie zupełnie inaczej wyglądało niż nasze. Nazwałbym to raczej nie kinem, ale „psychoramą”. Była to duża, okrągła sala o ciemnych ścianach bez żadnego ekranu, w której ustawiono kołki wygodne, miękkie fotele. Zasiadało się w nich w pozycji półleżącej. Przy wejściu do sali każdy otrzymywał pastylkę, którą popijał żółtawym płynem o smaku oranżady.

Kiedy zasiedliśmy wygodnie w fotelach, światła przygasły z wyjątkiem jednej kulistej lampy świecącej dalej pośrodku sali. Dochodziły od niej spokojne tony muzyki. Po paru minutach pastylka zaczęła działać. Wydało mi się nagle, że sala rozbłysła jaskrawym czerwonym światłem; ujrzałem dziwne postacie spacerujące po suficie. W kima chwil później i ja uniosłem się w powietrze; ściany się rozstały. leciałem swobodnie nad jakimś krajem baśni z tysiąca i jednej nocy, o niezwykle intensywnych barwach, nie widzia-

nych nigdy na jawie. Czuję się wolny, swobodny, niezależny od ciała, od czasu i przestrzeni.

To widzenie, początkowo bezładne, zaczęło się porządkować, układać w historię, którą jak gdyby obserwowałem z dala biorąc w niej jednocześnie udział najbardziej osobisty. To była pełna napięcia opowieść, której każdy szczegół zachowałem do dziś, tyle że barwy już zszarzały mi w pamięci.

Był to jakby sen, lecz niezwykle wyraźny, wyraźniejszy chyba niż może być jawa, i to sen kierowany. Pod żarzącą się bowiem pośrodku lampą siedział człowiek, który nam opowiada tę historię sposobem telepatycznym.

Miała ona i szczęśliwe zakończenie, tak że oboje wyszliśmy z „psychoramy“ w doskonałym nastroju. Rzeczywistość wydała się nam nieważna, a nawet mdła wobec tego, czego doznaliśmy w czasie filmu. Czy te pastylki były narkotykiem? Lena zapewniła mnie, że nie. Nie odczuwałem też żadnych ponarkotycznych konsekwencji, a szczególnie owej depresji psychicznej, która tak zawsze dokucza, gdy narkotyk przestaje działać.

£ £ £

Następnego dnia rano udaliśmy się z Leną na podziemne lotnisko. Wyszedł naprzeciw nas Nara w towarzystwie młodego człowieka, w którym rozpoznałem Zbyszka Oleśnickiego, znajomego z obozu przej-

ściowego. Obok niego szła młoda dziewczyna o długich ciemnoblond warkoczach i przyjemnym wejrzeniu siwych oczu.

Uścisnąłem serdecznie prawicę Zbyszka.

— Prawda, że wy się dotychczas nie znacie z moją żoną... To jest, Magdusiu, Andrzej, o którym ci opowiadałem.

— A co ty tutaj robisz? — zapytałem.

— Jak to? nie wiesz? Ruszamy oboje z tobą na tę wyprawę jako załoga statku. Magda będzie nam gotowała.

— Nara mówił, że doda mi kogoś do pomocy w kierowaniu Takilą, ale nie wiedziałem, że to będziesz ty i twoja małżonka. Ogromnie się cieszę. Życzę też wszystkiego najlepszego z okazji ślubu.



Tam właśnie ujrzałem Taklę, niewielki biały jacht
o wdzięcznym, lecz raczej niezwykłym kształcie...

Wsiedliśmy wszyscy do latającego dysku, w którym znajdowała się już Takila. Nara i Lena mieli nas odprowadzić aż na miejsce. Zamknęły się klapy wejściowe i nasz napowietrzny statek wzniósł się w powietrze.

Siedzieliśmy w małym, wygodnym, saloniku. Czekaliśmy na zaledwie godzinę jazdy, którą chciałem wykorzystać na ostatnią rozmowę z Leną. Niestety Zbyszek był tego dnia w niezwykle gadatliwym nastroju. Zarzucał nas pytaniami lub opowiadał rozwlekłe o swych pierwszych doświadczeniach na Wenus. Gdy wreszcie przerwał się na chwilę potok jego wymowy, zdołałem zapytać Lenę:

— Wspomniałaś mi raz, że planeta, na którą udasz się niezadługo, nie należy do systemu słonecznego. W takim razie, ile czasu będziesz tam jechać? O ile dobrze pamiętam, najbliższa gwiazda, Proxima Centauri, znajduje się od nas w odległości czterech i pół lat świetlnych...

— Podróż zabierze mi dwa, do trzech dni.

— Będziesz posuwać się szybciej niż światło!

— Mój drogi Andra, niewątpliwie znajdę się u celu szybciej niż mógłby tego dokonać promień światła, lecz po prostu dlatego, że polecę „inną drogą”, jakby na przelaj. Wyobraź sobie, że dwa punkty, A i B, leżą tuż koło siebie, ale oddziela je mur ciągnący się na długość, powiedzmy, kilometra. Chcąc dostać się z punktu A do B puszczasz się biegiem wzdłuż muru. Ja tymczasem, nie spiesząc się wcale, przeskoczę przez

mur lub przepcham się przez znaną mi dziurę. Będę w punkcie B wcześniej od ciebie, i bez żadnego zmęczenia. My znamy takie „przeskoki”, względnie „otwory”, w nieprzebytych na pozór ścianach trójwymiarowego kosmosu... Tak, prawdziwa struktura wszechświata wygląda nieco inaczej niż ów model, który wasi uczeni stworzyli w swoich umysłach. Nie są jednak ważne takie czy inne odległości. Przestrzeń nic nie znaczy dla ducha i serca, a my będziemy często myśleć o sobie. Nieprawdaż?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo Zbyszek znowu wtrącił swoje trzy grosze. Choć na ogół nie posiadam morderczych instynktów, miałem w tej chwili ochotę go udusić. Godzina jazdy minęła w mgnieniu oka. Zatrzymaliśmy się tuż nad powierzchnią morza. Obszar wodny był wokół zupełnie pusty, ani śladu lądu lub statku. Potężne szczypcy stalowe umieściły Takilę na falach. Zobaczyłem, że zdjęto z niej działą promieniowe i że promieniowe także ciężkie karabiny też schowane zostały wewnątrz statku. Zbyszek i Magda zeszli na pokład, żegnałem się dość chłodno z Nara. Byłem zły na niego za całą sprawę; denerwowało mnie też to, że za mało mi udzielił informacji puszczając niemal, na oślep w nieznane. A byłem pewny, że wie lub domyśla się o wiele więcej niż chciał mi powiedzieć.

On jednak okazał mi dużo serdeczności przy rozstaniu. Ujął mocno moje ręce i spojrzał mi głęboko w oczy:

— Nie martw się -- powiedział — wyprawa twoja powiedzie się. Wiem dobrze, że może niezupełnie nadajesz się do tego zadania, ale za to masz w sobie coś, nazwijmy to szczęściem... Sprawia ono, że twoja wyprawa odniesie właściwy skutek. Do widzenia! Głowa do góry!

Nadeszła chwila pożegnania z Leną Nara oddalił się dyskretnie. Zostaliśmy sami w korytarzu prowadzącym do zejścia. Staliśmy przed sobą bez słowa. Wreszcie Lena gwałtownym ruchem zarzuciła mi ręce na szyję i przywarła wargami do mej twarzy. Oddałem jej serdeczny pocałunek.

— Wracaj szczęśliwie! — wyszeptała. — Niech cię Bóg prowadzi!

— Do zobaczenia! — odpowiedziałem.

— Do zobaczenia! — padły ledwo dosłyszalne słowa. W wielkich oczach Leny pokazały się łzy. Zszedłem po schodkach na pokład Takili. Usłyszałem za sobą trzask zamykanej klapy wejściowej. Napowietrzny statek w jednej sekundzie zniknął nam z oczu. Zostaliśmy sami we trójkę na pełnym morzu. Zbyszek i Magda zeszli do wnętrza Takili. ja stanąłem przy kole sterowym. Z pełną szybkością, ledwie muskając powierzchnię morza, jacht pędził ku Lejli. Godzina była wczesna, pogoda piękna, bezchmurna i gorąca. Wiatr lekko marszczył powierzchnię zielonkawej wody.

Koło drugiej po południu wpływaliśmy już do portu Lejli. Leżał on w malowniczej, szeroko otwartej zatoce. Ponad urządzeniami portowymi na łagodnej po-

chyłości góry rozpościerało się miasto złożone z niewielkich, ale ślicznych białych domków, ocienionych zielenią tropikalnych drzew. Miasto i port nie były duże. Ruchu nie widziało się prawie żadnego, bo była to wczesna godzina popołudniowa, gdy największy żar spływał z równikowego nieba i gdy wszystko co żyło kryło się w cień. Na redzie stał niewielki odrapany kuter z na pół zatartym, napisem „Dolphin”. W porcie widać było parę niewielkich statków, większości żaglowych. Gdy wjeżdżaliśmy w zatokę, na wysokim maszcie portowym ukazała się chorągiewka nakazująca nam zatrzymanie się na redzie.

Przyglądałem się z ciekawością wybrzeżu zatoki, ale — poza miastem — nie było na co patrzeć dłużej. Gdzie się kończyły domy, tam zaraz wyrastała nieprzenikniona równikowa dżungla. W głębi wyspy widniały z dala błękitnawe zarysy gór. Już wiedziałem, że większość z nich, jak prawie wszędzie na Wenus, to kratery wygasłych wulkanów, niezbyt wysokich, lecz o wielkiej średnicy. Gdyby nagie wszelka roślinność tu zanikła i wody wyparowały, krajobraz wenuzjański przypominałby powierzchnię ziemskiego księżyca.

Czekaliśmy z godzinę, coraz bardziej niecierpliwając się i niepokojąc, aż wreszcie od mola portowego odbiła czerwona motorówka. Siedzieli niej dwaj urzędnicy ubrani w białe mundury i także okrągłe czapki. Motorówka zatrzymała się u burty Takili przy stalowych schodkach. Jeden z urzędników portowych wdrapał się na pokład. Wyszedł mu naprzeciw Zby-

szek, który świetnie znał język niemiecki. Magda i ja stanęliśmy dalej opierając się na pozór obojętnie o balustradę, choć serca były nam przyspieszonym tętnem. Zbyszek pokazał okrętowe papiery, które wykazywały, że przybyliśmy do Lejli ze wschodu, a nie z terenów polskich.

(Na dokumentach przybite były pieczętki wszystkich portów, które rzekomo odwiedziliśmy po drodze). Prosił o pozwolenie zatrzymania się kilka dni dla uzupełnienia naszych zapasów żywności i dla obejrzenia (byliśmy przecież oficjalnie członkami Wenuzjańskiego Towarzystwa Geograficznego) ruin starożytnego miasta leżącego w pobliżu nowoczesnej Lejli. Urzędnik rzucił pobieżnie okiem na nas i na papiery, zadał kilka prostych pytań, po czym nie postawił żadnych ograniczeń naszemu pobytowi na wyspie. Jak dotąd, szło wszystko pomyślnie.

Gdy łódź z urzędnikami odpłynęła, ruszyliśmy i my za nią. Takila zatrzymała się przy kamiennym molo. Wyrosły skądś jak spod ziemi brązowy wyrostek o rozwichrzonej kruczej czuprynie i oczach jak dwa węgle dał nam znak, by mu rzucić linę z pokładu. Umocował ją do kamiennej, pięknie rzeźbionej kolumnienki. Poza nim na molo nie było nikogo prócz małego psa o brudnej białawej sierści, który obwąchał nas nieufnie, gdyśmy we trójkę zeszli z pokładu na ląd.

Podszedłem do chłopca. Mógł mieć jakieś trzy-ście lat. Wyglądał na bardzo bystrego. Wskazując na usta zapytałem go po wenuzjańsku:

— Ga mo niamini? (Gdzie można by coś zjeść?) — Wiedziałem zresztą od Nary, że w Lejli jest tylko jedna restauracja, w której właśnie miałem spotkać się z moim „kontaktem”. Miałem nadzieję, że mnie tam chłopak zaprowadzi. Ale on rozpoznał widocznie w jakim języku rozmawialiśmy ze sobą, bo usiłował odpowiedzieć mi po polsku. Zabrzmiało to dosyć zabawnie:

— Chce jeść? Idzie ze mną! — Po czym dodał coś jeszcze, czego już nie zrozumiałem. Na wyspie Lejli i w ogóle w tym rejonie tubylcy należą do wielkiej grupy językowej Kuwili. Jest to odmiana tego samego języka, którego używają Wenuzjanie w Kamiru. Krajowcy na Lejli, wskutek dziesięcio letnich rządów polskich, znali też trochę mowę polską.

Nasz przewodnik zaprowadził mnie do nie - wielkiej, ze smakiem urządzonej restauracji. Była ona w budynku zawieszonym nad urwiskiem, skąd rozciągał się rozległy widok na zatokę i morze. Wspinając się pod górę i rozglądając w drodze dokoła, miałem okazję stwierdzić, że całe miasto zbudowane jest z dużym wyczuciem estetyki. Nie było to zasługą polskich kolonistów. Przybysze z ziemi nie potrzebowali się kłopotać na Wenus o budowę pomieszczeń, gdyż zastali je gotowe. Po katastrofie, która nawiedziła tę planetę, setki lat pozostawała ona w stanie dzikim, słabo zaludniona przez zdziczałych niedobitków kłeski. Dopiero jakieś dwieście lat temu potomkowie tych Wenuzjan, którzy w czas uciekli, zaczęli na nowo zaludniać

swoją dawną ojczyznę. Ten proces został przerwany 50 lat temu z powodów, których nie znam. ówcześni mieszkańcy Wenus wynieśli się stąd w szybkim tempie pozostawiając swoje siedziby dla imigrantów z Ziemi. Pozamykane hermetycznie domy były gotowe w każdym szczególe na przyjęcie nowej ludności. Z zewnątrz podsuwała się pod nie dżungla. Bluszcze oplotły ściany. Na płaskich dachach, na które wiatr naniósł ziemię, rozsiały się dzikie ogrody. Ale ta inwazja puszczy nie przenikała do wnętrza domostw, zbudowanych ze specjalnej masy, którą w stanie płynnym wlewano w przygotowane formy. Zastygała ona w monolit, którego żadna mechaniczna siła nie mogła skruszyć. Lejla była właśnie takim miastem, które obroniło się przed zaborczością dżungli.

Mały dzikus otrzymał ode mnie monetę i zniknął zaraz uszczęśliwiony. Wszedłem do wnętrza restauracji sam. Zbyszek i Magda „zgubili się“ planowo po drodze. Magdę zainteresowały nagle wielkie słomiane kapelusze i maty o pysznych jaskrawych deseniach. Obje byli przydzieleni jedynie do pomocy w kierowaniu Takilą. Swoje zadanie na łodzi miałem wykonać sam. Obrzuciłem niespokojnym wzrokiem wewnątrz lokalu. Po lewej stronie wejścia siedziało przy stoliku czterech marynarzy w obdartym i brudnym odzieniu; rozmawiali głośno po angielsku (nie wiedziałem wtedy, że należeli oni do załogi Dolphina stojącego na redzie; miałem się z nimi kiedyś jeszcze spotkać w niezbyt przyjemnych okolicznościach). Jeden z nich, o obrzę-

kłej twarzy opoja, musiał opowiadać jakieś bardzo zabawne historie, bo całe towarzystwo wybuchało raz po raz rechotliwym śmiechem. O dwa stoliki dalej siedział samotnie starszawy jegomość o wydatnym brzuszku, w nieskazitelnie białym, ubraniu tropikalnym. Czytał niemiecką gazetę, spod której rzucił na mnie krótkie badawcze spojrzenie. Za ładą stała młoda dziewczyna, Kuwilinka, o ciemno śniadej cerze i czarnych włosach. Ubrana była w jaskrawo czerwoną „zele“.

Zasiadłem do stolika, który był najbliżej lady, a najdalej od stolików innych gości. Ogarniał mnie niepokój. Miałem skontaktować się z właścicielem restauracji, a tymczasem nie było go widać, i kto wie, czy w ogóle się pojawi. Bałem się wprost pytać o niego, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Tubylcza, dziewczyna najprawdopodobniej nie była wtajemniczona. Gdy usiadłem, podeszła do mnie i z uprzejmym uśmiechem zapytała łamaną niemczyzną, czego sobie życzę. Umówionym hasłem było specjalne menu ułożone ze specyficznie wenuzjańskich potraw, które tu pod każdą szerokością i długością geograficzną nosiły te same nazwy. Znałem je dobrze, nauczyłem się jak szyfru na pamięć, i teraz powtórzyłem bez zająknięcia, ale też bez przekonania, że podaję je pod właściwym adresem. Powierzyła zamówienie w sposób, który był umówionym odezwe. Był to tylko przypadek, czy istotnie należała do sprzysiężenia?

Dziewczyna odeszła poza ladę po zamówione danie. Przygotowała napój, zniknęła za drzwiami, poka-

zała się znowu. Odczułem na sobie powtórne spojrzenie jegomościa z gazetą. Staralem się przybrać minę jak najbardziej obojętną, ale byłem w strachu, czy na mojej twarzy nie maluje się napięcie i podniecenie. Często mi mówiono, że mam twarz, która niczego nie potrafi ukryć. Takiego to agenta wziął sobie Łysy...! Kelnerka podeszła do mego stolika, niosąc orzeźwiający napój z owoców „anu“ i zimnego kraba z sałatką z liści „arba“. Ustawiając potrawy na stoliku zapytała:

— Deutsch? Polak? Kamiraib? (Wenuzjanin z Kamiru?)

— Polak — odpowiedziałem.

— Pierwszy raz cię tu widzę, skąd przyjechałeś? — pytała dalej wcale niezłą polszczyzną.

— Jestem podróżnikiem, a przyjechałem zwiedzić ruiny starożytnego miasta. Słyszałem, że znajdują się one stąd niedaleko.

— O tak, w pobliżu nowego miasta. Może potrzebujesz przewodnika?

— Przydałby się bardzo. Dziś jest już za późno, ale jutro rano chciałbym tam od razu wyruszyć.

W tej chwili ukazał się za ladą niski, gruby mężczyzna, o podłysiałych szpakowatych włosach i wypukłych oczach, nadających mu rybi wygląd. Był to najprawdopodobniej właściciel restauracji. Coś tam szperał przy ladzie, raz po raz rzucając spojrzenie to mnie to na jegomościa z gazetą. Robił wrażenie podenerwowanego. Jadłem powoli, w nadziei, że grubas z gazetą wyniesie się wreszcie. Marynarze nie przeszkadzali mi

wcale, a nawet ich obecność była raczej pożądana, gdyż ich krzyki mogły zagłuszyć rozmowę, którą chciałem przeprowadzić z właścicielem restauracji. Człowiek z gazetą tkwił jednakże na miejscu jak przynitywany. Ociągając się, musiałem jednak skończyć obiad. Dziewczyna wskazała bym zapłacił przy ladzie.

—Bardzo smaczny obiad — pochwaliłem jedzenie.

—Dziękuję — odpowiedział człowiek-ryba, poczym dodał:

— Imla mówiła mi, że wybiera się pan jutro na zwiedzenie ruin starego miasta. Jeśli pan jej dobrze zapłaci, Imla może pana tam zaprowadzić. Zna tu doskonale każdy zakątek, a u mnie ma jutro wolne.

— Zdaje mi się, że tam można dojechać morzem? Mam mały jacht, wolałbym na nim pojechać, tym bardziej, że jestem nie sam, ale z kolegą i jego żoną.



Maimofud zatrzymał się. Był teraz najwyżej trzy metry
ode mnie.

— Dobrze. Imla będzie w takim razie czekać na miejscu. Jak wyjedzie pan z portu, to proszę skierować się na lewo. Stare miasto leży w głębi następnej zatoki. Ruiny widać z morza; nie można pobrać.

— Dziękuję bardzo. Do widzenia.

— Do widzenia.

Opuściłem lokal. Jegomość z gazetą pozostał. Wychoząc złapałem raz jeszcze jego spojrzenie. Nie wiem, czy słyszał naszą rozmowę. Mógł. Roz mawialiśmy umyślnie normalnie, a nawet dość głośno. Kontakt został więc. nawiązany. Czy rzeczywiście? Okaże się to jutro w ruinach.

Następny ranek wstał pochmurny, duszny, bezwietrzny. Mimo wczesnej godziny panował już nieznośny upał, dobrze więc było płynąć w lekkim powiewie, wywoływanym przez ruch Takili. Posuwa liśmy się wzdłuż piaszczystej plaży, za którą od razu zaczynała się dżungla, wznosząc się coraz wyżej po łagodnych stokach wzgórz. Zatoka, nad którą leżały ruiny starego miasta, miała wąski wjazd, strzeżony po obu stronach przez wielkie białe skały; za tym przesmykiem otwierała się szeroko i malowniczo. Ponad nią, na obszernych tarasach skalnych widniały ruiny miasta. Jego popękane mury, potrzaskane kolumny i pogryzione zębem wieków posągi zachowały w sobie jednak coś z dawnego majestatu i piękna. Pośród ruin dojrzeliliśmy z dala czerwony punkcik, który się poruszał. Imia czekała na nas.

Widząc nas nadjeżdżających, zbliżyła się do samego brzegu, który w tym miejscu tworzył wielką piaszczystą plażę. Na plaży widniały tu i ówdzie wielkie formne głązy. Ongiś stanowiły one mury dumnego miasta, dziś leżały w piachu i urodzie jak rozpaczliwe płaczki bolejące nad utraconą chwałą. Nie można, było dobić do samego brzegu ze względu na płycizny i głązy. Wobec tego wsiedliśmy w trójkę w małą łódeczkę należąca do Takili i w parę minut później znaleźliśmy się na piaszczystym brzegu. Przez ramię miałem, przewieszoną na rzemieniu torbę z pistoletem promieniowym, zabranym... od wypadku. Zbyszek i Magda chcieli zażyć kąpieli więc odeszli na bok. Imia i ja usiedliśmy na wielkim kamieniu otoczonym wilgotnym piaskiem. Tu nas nikt nie mógł podsłuchać.

Imia mówiła niezłe po polsku; nie darmo chodziła swego czasu do szkoły polskiej w Lejli. Dowiedziałem się od niej przede wszystkim tego, że sytuacja na wyspie była silnie naprężona. Bezwzględność rządów wywoływała coraz większy opór przeciw okupantom. W lasach działała partyzantka, prowadzona przez Polaka o pseudonimie "Sieger" (Zwycięzca). O wulkanie, w którym odbywały się tajemnicze prace, Imia niewiele mi umiała powiedzieć. Dostać się do niego można było jedynie przez sztucznie zrobiony tunel, pilnie strzeżony i osłaniany gniazdami karabinów maszynowych. Co parę tygodni do portu w Lejli przebywał okręt z tajemniczym ładunkiem, który Niemcy przewozili pod strażą do wnętrza krateru. Ponadto, połapali kilkuset kra-

jowców i siłą zabrali ich do środka wulkanu, jako przymusowych robotników. Nikt z nich dotąd nie wrócił, a był też między nimi brat Imli, imieniem Kini. Obje byli dziećmi wodza plemienia Oremangów zamieszkującego lasy w pobliżu miasta Leili. Ucierpiało ono najbardziej od łapanek, a teraz to, co pozostało, stanowiło trzon partyzantki Siegera. Ci, którzy nie mogli wziąć udziału w walce, kryli się na obszernych rozlewiskach dzikiej rzeki Gru. Właściciel restauracji był członkiem organizacji podziemnej w mieście. linia — łącznikiem między nim a Siegerem; bystry mały chłopak, który ranie przyprowadził do restauracji, miał imię Aba i był także bratem Imli. Stale wałęsał się koło portu i donosił, co się tam działo.

— On tam siedzi w tej chwili na górze w ruinach i uważa, czy ktoś nas nie siedzi. W razie czego, da nam znak.

— A niech śledzą — odpowiedziałem. — Niech nas wyśledzą, jeśli mają ochotę. Najważniejsze, że nas nie mogą podsłuchać tu na plaży.

Siedzieliśmy zwrócenii twarzami ku morzu. Ody dziewczyna wspomniała swego małego brata, obejrzałem się, mimo woli szukając go wzrokiem pomiędzy ruinami, Ale chłopak skrył się dobrze.

Miałem już odwrócić głowę, kiedy ślady na piasku za nami przykuły moją uwagę. Odciski stóp Imli w wilgotnym piasku szły z głębi ładu. Widziałem je wyraźnie. Nie był to zresztą ślad nóg dziewczęcych, lecz odbicie dużej, męskiej stopy. Spojrzałem ze zdumie-

niem na nóżkę Imli — była bosa, drobna. Prowadząc dalej rozmowę obejrzałem się znowu, niby od niechcienia. Zorientowałem się teraz, że ktoś niewidzialny wszedł w ślady Imli, ale tu i tam postawił nogę nie dość zgrabnie i nie przykrył dokładnie mniejszego odbicia.

Tu przy kamieniach tkwiły dwa wyraźniejsze odciski męskich, bosych stóp. Jeden z nich w moich oczach poruszył się, rozszerzył. Tak, nie miałem już wątpliwości, co się działo.

Nadal spokojnie rozmawiając z Imlą, otworzyłem torbę i wyjąłem pistolet.

— Imla — spytałem — czy używacie w partyzantce tego rodzaju pistoletów?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wysunąłem lufę w kierunku śladów i puściłem długą serię obezwładniających promieni.

Usłyszeliśmy za sobą miękki stukot. Coś upadło. Na piasku odbił się wyraźny ślad leżącego ciała. Podbiegłem, wymacałem rękami niewidzialny pas, naciśnąłem guziczek. Ujrzeliśmy grubego mężczyznę w znanym mi hełmie na głowie. Z białych, nienagannie wyprasowanych spodni sterczały bosa stopy. Za pasem tkwił pistolet. Zdarłem mu z twarzy hełm i od razu rozpoznałem wczorajszego jegomościa z gazetą.

Imla była tak zdumiona, wydarzeniem, jakby zobaczyła cud. Nadbiegli też ociekający wodą Zbyszek i Magda zwabieni terkotem promieniowego pistoletu.

— Bierzmy go na Takilę!

Niełatwo było dźwignąć grubasa, ale daliśmy radę. Na statku zwiążaliśmy mu ręce i nogi i rzuciliśmy go na kanapkę w saloniku. Sami zaś radziliśmy, co czynić dalej. Jedno wydawało się pewne. Jeśli niewidzialny agent nie wróci na czas ze swojej wyprawy, ci którzy go wysłali, będą pewni, że to my maczaliśmy w tym palce. Ani Takila nie ma się po co pokazywać w porcie, ani Imla nie powinna wracać do miasta. Z pewnością zagrożony był też właściciel restauracji, którego trzeba było natychmiast powiadomić o zaszłych wypadkach.

Wobec tego Imla popłynęła z powrotem do brzegu, żeby porozumieć się ze swym małym bratem Abą. Ja tymczasem skontaktowałem się natychmiast drogą radiową z Narą. Urządzenie telekomunikacyjne nazywane radiem, ale trzeba pamiętać, że działało ono na innej zasadzie niż fale elektromagnetyczne. Dzięki temu nie obawialiśmy się podsłuchu ze strony nieprzyjaciela. Zdałem Narze raport z sytuacji. Zamyślił się przez chwilę, potem usłyszałem:

— Odpłyńcie teraz od wyspy. W nocy wyśle latający dysk po więźnia i jego pas i hełm. Pamiętajcie, że mają oni jeszcze drugi zestaw niewidzialny, uważajcie więc! Postaraj się, Amara, o jak najszybsze skontaktowanie się z tym „Siegerem”. Jak się jeniec ocknie, może uda się wam coś od niego wyciągnąć. Jeśli nie, to my tu z niego wydobędziemy wszystko, co potrzeba i wyślemy ci odpowiednie informacje. Pamiętaj nastawić wieczorem sygnał, żeby latający dysk nie miał

trudności ze znalezieniem Takili, A teraz „kanari"! (Do widzenia!)

Imla wróciła wkrótce. Aba miał zawiadomić właściciela restauracji o niebezpieczeństwie, a następnie czekać na nas w nocy w małej, doskonale ukrytej zatoczce. Poleciała mu postarać się dla mnie o ubiór tubylczy. Nie mogłem już więcej udawać archeologa, pozostawała tylko wdzięczna rola dzikusa.

Odplynęliśmy od brzegu i skierowaliśmy się na pełne morze. Takila zatrzymała się dopiero wtedy, gdy zarysy lądu zniknęły nam z oczu.

Pierwszą naszą czynnością było założenie na nowo promieniowej broni na przód i też na rufę statku. Zostaliśmy odkryci, niechaj więc Takila szczyrzy swe zęby na nieprzyjaciela... Weszliśmy następnie do kasztele i rozsiedliśmy się wygodnie w automatycznie chłodzonym saloniku. Na straży statku pozostał na mostku kapitańskim specjalny „radar", który dawał natychmiastowy sygnał głośnym brzęczeniem, gdy w promieniu widoczności statku ukazywał się obcy okręt lub łódź. Nic jednak nie przerwało nam pogawędki. Imla opowiadała nam o niedoli swego ludu, o walkach partyzanckich. Słuchaliśmy z zapartym oddechem, chociaż czasem trudno było dziewczynę zrozumieć, bo wtrącała dużo kuwilińskich wyrazów. Ale te niedobory językowe uzupełniała żywymi gestami rąk i wyrazistą mimiką twarzy. Mówiła z ogromnym przejęciem, z oczu jej biła nieprzeciętna, wrodzona inteligencja; sposób mówienia, zachowanie zdradzały wysoką rasę. Nie

czyniła wrażenia kogoś, kto się wychował w dzikiej dżungli. Nic dziwnego; Kuwilińczycy byli przecież potomkami rasy, która wzniosła się kiedyś na bardzo wysoki poziom cywilizacji.

Imla opowiadała właśnie o porwaniu jej starszego brata Kiniego, którego serdecznie kochała, gdy nasz jeniec drgnął, otworzył oczy i powiódł zdumionym spojrzeniem po nas i otoczeniu.

— Haben Sie gut geschlafen? (Czy dobrze pan spał?) — zapytał go ironicznie Zbyszek.

Niemiec nie miał jednak chęci do rozmowy. Patrzył na nas swymi złymi, żółtymi oczami i milczał. Na próżno, prośbą i groźbą usiłowaliśmy wyciągnąć z niego jakieś informacje o pracach wewnątrz wulkanu. Nie otworzył ust z wyjątkiem jednego razu, gdy poprosił: „Etwas zu trinken“. Zbyszek odpowiedział mu, że dostanie pić, gdy odpowie na nasze pytania. Wtedy znowu zapadł w milczenie. Litościwa Magda dała mu jednak soku do ugaszenia pragnienia. Dostał też coś na kolację.

Gdy tylko słońce zaszło za horyzont, pojawił się nad pokładem latający dysk. Miałem nadzieję, że może Lena skorzysta z okazji i przyjedzie. Niestety przybyło tylko dwóch nieznanym mi Wenuzjanów, którzy zabrali Niemca. Poszedł posłuszna, nie opierając się. Gdy wchodził na opuszczone z powietrznego statku schodki, odwrócił się ku nam i rzekł:

— Danke schon. (Dziękuję pięknie).

Zrobiło nam się przyjemnie że potraktowaliśmy go po ludzku.

Po odlocie dysku zostałem na pokładzie. Zapadła noc. Chociaż chmury rozproszyły się zupełnie, na firmamencie niebieskim nie zabłysła ani jedna gwiazda. Uczułem smutek. Nawet z daleka nie mogę zobaczyć Ziemi, gdzie pozostało wszystko, co miałem drogiego na świecie: rodzina, ojczyzna. Niedługo też w tej bezkresnej przestrzeni rozwieje się Lena.

— Cóż tak patrzysz w niebo? — zapytał nagle z boku Zbyszek. — Nie wypatrzysz gwiazd na wenuzjańskim niebie.

— Chociaż nie widać gwiazd, ale przecież w jakiś inny niż na Ziemi sposób wznosimy teras głowy w górę. Wtedy patrzyliśmy w pustkę upstrzoną zimnym światłem dziwacznych konstelacji, piękną, ale martwą, A teraz wiem, że ta ciemna przestrzeń nade mną nie jest pusta, ale że w niej gdzieś tam biją ludzkie serca, snują się człowiecze radości i smutki.

Zbyszek nic nie odpowiedział. W tej chwili z niebem zaczęło się dziać coś dziwnego. Od horyzontu ku zenitowi sunęły zamglone światła niby zwiewne postacie duchów. Robiło się coraz widniej. Jedna połącz nieba rozgorzała teraz purpurową łuną, w drugiej drgały niewyraźne srebrne błyski. Potem jasny seledyn zalał całe niebo i ustąpił znowu białawej delikatnej poświacie.

— Zorza polarna tu na równiku? — zapytałem w zdumieniu mego towarzysza.

— Nie wiesz, że tu po nocach całe niebo płonie od wyładowań magnetycznych? Dzięki większej bliskości słońca, zorza bardzo często dochodzi aż po równik. Nie widziałeś dotąd żadnej? Było ich już chyba z dziesięć od twego przyjazdu.

— W obozie przejściowym kładłem się wcześniej i spałem jak zabity... Jednakże natura dała nam coś w zamian za księżyc. Co za wspaniały widok!

Rozkoszą było płynąć w seledynowej poświacie bez poczucia ciężkości.

Towarzyszyło nam czas jakiś stadko ciekawych purpurowych, rybek...



Rozkoszą było płynąć w seledynowej poźwiacie bez
poczucia ciężkości. Towarzyszyło nam czas jakiś
stadko ciekawych purpurowych rybek...

Podziwiałem jeszcze kilkanaście minut śliczne zjawisko, zanim poszedłem spać. Przez Imlę umówiłem się z Abą, że nad ranem, ruszymy przez dżunglę na poszukiwanie Siegera. Trzeba więc było wypocząć przed wyprawą.

ROZDZIAŁ VII W KRATERZE

Zaledwie świtało, kiedy zbudził mnie Zbyszek mówiąc, że czas na mnie. Wstałem i wyszedłem na pokład. W szarych tonach poranka dojrzałem po obu stronach jachtu błękitnawe zarysy palm. Byliśmy w umówionej zatoczce. Magda jeszcze spała, ale Zbyszek i linia znajdowali się już na pokładzie. Dziewczyna złożyła ręce w trąbkę i wydawała z siebie zabawne, przeciągłe pohukiwania: „Aaaaaaaaahuu!" Nadeszła natychmiast odpowiedź. Po stronie prawej burty dał się słyszeć plusk wody i za chwilę na pokład wdrapał się mokry Aba. Na głowie trzymał niezamoczony węzełek.

Właściciel restauracji nie chciał uciekać. Powiedział, że w razie czego wszystko zwali na Imlę, Jemu niczego, nie udowodnią. Nie znał Niemców, naiwny. Czy im potrzeba jakichkolwiek dowodów, żeby zlikwidować człowieka? Zmartwiła mnie ta wiadomość. Aba rozwinął węzełek i wyjął zeń strój kuwiliński przeznaczony dla mnie. Trzeba przyznać, mało był skomplikowany. Trawiasta spódniczka naokoło bioder, koraliki na szyję, na głowę czapka skórzana ze zwierzęcą paszczą, która szczyrzyła kły i błyszczała złowrogo sztucznymi oczami. Na Ziemi trudno by mi było uchodzić za dzikusa, choćbym umalował włosy i ciało na

ciemny kolor, pozostałby jeszcze problem słowiańskich rysów. Z upodobnieniem się do Kuwilińczyka nie było jednak takiego kłopotu, gdyż to rasa zbliżona do naszej. I Aba, mieli co prawda czarne włosy i czarne oczy, ja zaś jestem ciemnym blondynem, o oczach szarych, ale zapewnili mnie, że w ich plemienu, i w ogóle pośród tubylców na Lejli, jest wielu blondynów różnych odcieni, a nawet zdarzają się i rudzi, co uchodzi tu za wyraz największej urody. Opalony byłem dostatecznie, tylko moje włosy zaczesane na bok (z loczką) nie pasowały do tutejszej mody. Wobec tego Imla zsunęła mi je na oczy i przystrzygła równo ze dwa centymetry ponad brwiami.

— Tak ujdzie — powiedziała. — Będziesz miał zresztą, czapkę. Najprawdopodobniej w ogóle nie spotkacie się z Niemcami, bo się dżungli boją jak ognia, i posuwają się tylko utartymi szlakami.

Miałem ogromną pokusę wziąć ze sobą pistolet promieniowy, ale odebrałoby to maskaradzie wszelkie przekonywujące cechy. Jedynie pod spódniczką zawiesiłem mikroskopijny aparacik radiowy do porozumiewania się z Takilą. Pożegnałem serdecznym uściskiem dłoni Zbyszka. Imla odwiozła Abę i mnie na brzeg łódeczka i powróciła na pokład. Umówiliśmy się, że Takila będzie krążyć w pobliżu i czekać na wyniki mojej wyprawy.

Na brzegu Aba podał mi łuk, kołczan ze strzałami i nóż. Sam był podobnie uzbrojony. Strzały posiadały ostrza z rybiej ości i choć wyglądały bardzo niewinnie

były nasycone trucizną, która za najmniejszym nawet skaleczeniem dawała ten sam skutek, co broń promieniowa: porażenie na kilka godzin.

Ruszyliśmy rażno naprzód. W dżungli było jeszcze zupełnie ciemno, z trudem dostrzegałem przed sobą ledwo co majaczącą sylwetkę Aby. Pod nogami wyczułem ścieżkę. Całe szczęście, bo przedzierać się na przełaj przez dżunglę byłoby rzeczą niesłychanie ciężką. W lesie panowała cisza. Czasem tylko rozległ się z nagle przerażony krzyk ptaka zbudzonego naszym przejściem. Wtem w ciemnościach przed nami dojrzałem nieruchome światełko o fosforycznym zimnym blasku. Dotknąłem dłonią pleców Aby.

— Co to? — spytałem.

— „Narajki” — odpowiedział. — Kwiaty, które świecą.

Za chwilę znaleźliśmy się przy nich. Na wysokości twarzy miałem jedną taką „świeciuszkę”. jak ją nazywają, tu po polsku. Olbrzymi biały kielich kształtu tulipana rozwarto był szeroko, gruby pręcik świecił tak mocnym światłem, że można by czytać przy nim. Kawalkiem gałązki Aba dotknął świecącego pręcika. Kielich natychmiast się zamknął, światełko zgasło.

— To światło przyciąga owady. Gdy zwabiony owad dotknie pręcika, kielich się zamyka i zatrzymuje swą zdobycz.

Pełno było teraz w dżungli tych podstępnych blasków, które i ludzkie urzeکاły oczy.

Już i w lesie zaczynało się rozwidniać. Wkrótce promienie słoneczne zaróżowiły wierzchołki drzew. Dżungla rozbrzmiewała śpiewem, nawoływaniem, tu i tam ozwał się ostry gwizd — budziło się życie. Pod bosymi nogami wyczułem silną rosę. Pośliznąłem się parę razy. Minęliśmy małe zapleśniałe jeziorko, nad którym unosił się białawy płat oparów. Jakiś ptak wodny poderwał się z przeraźliwym kwileniem, mącąc gładką powierzchnię stawu.

Po godzinie marszu stało się już zupełnie jasno. Dla miłośnika przyrody był tu raj prawdziwy. Nie wiadomo było, co pierwszej oglądać i podziwiać: czy bogactwo kwiatów, czy obfitość wszelkiego rodzaju ptactwa i zwierząt czy różnorodność grzybów, które dochodziły do takich rozmiarów, że pod niejednym grzybem kapeluszem mogłoby kilka osób naraz schować się przed deszczem. Niestety, nie mogłem się zbytnio rozglądać, bo całą uwagę musiałem skupiać na ścieżce, którą przecinały tutaj raz po raz zwalone pnie drzew i inne czyhające szkody. Kiedy zapatrzyłem się przez chwilę na wspaniałą, złocistość kwiatu giganta o purpurowym sercu, zaraz zaczępiłem stopą o wystający korzeń i omal nie złamałem nogi przy upadku.

— Niedługo przetniemy drogę — poinformował mnie Aba. — Będzie trzeba szybko przez nią przeskoczyć. Zazwyczaj jest one pusta, ale nigdy nie wiadomo...

Puuuuuuuuuufff ! -- Rozerwał nagle powietrze huk wystrzału karabinowego. Potem drugi trzeci, czwarty i... cisza.

Zatrzymaliśmy się. Aba miał tym razem minę zaniepokojoną.

— Poczekaj tu, Andra — powiedział. — Pójdę zobaczyć, co się tam dzieje.

Zniknął w zaroślach. Minęło piętnaście minut które dłużyły mi się nieznośnie. Znowu zabrzmiały strzały karabinową. Krótką serię wypluł z siebie pistolet maszynowy. W tej chwili Aa wynurzył się z Goszcza.

— Nie możemy tedy iść. Pełno żołnierzy sto: na drodze i dwa samochody pancerne. Raz po raz strzelają do lasu po drugiej stronie drogi. Nie wiem po co, bo z lasu nikt nie odpowiada. Może to obława na Siegera?

— To co zrobimy? — zapytałem bezradnie.

— Pójdziemy w prawo, aż dojdziemy do brzegu rzeki. Mam tam schowaną łódkę. Popłyniemy nią do naszej wioski ukrytej na bagnach. Tam będą wiedzieli, co się dzieje z Siegerem.

Ruszyliśmy. Dżungla dawała mi teraz dobrą szkołę. Nie było żadnej ścieżki. Musieliśmy przedzierać się przez zarośla, skakać przez pnienie, miejscami czołgać się po ziemi pod kolczastymi krzewami „abry“. Grunt stawał się coraz wilgotniejszy. Przekroczyliśmy kilka strumieni. W pewnej chwili zapadłem po pas w bagnistą topiel, źle odmierzywszy skok z kępy na kępę.

— Już niedaleko — dodał mi otuchy Aba spoglądając ze słabo tajonym uśmiechem na moją obłożoną i mocno podrapaną figurę.

W następnym strumyku doprowadziłem się do porządku. Grunt się podniósł, szliśmy teraz między skałami. Otworzyło się przed nami wejście do głębokiego wąwozu, w który Aba szybko się zapaścił. Ja za nim. W dziesięć minut później wąwóz, początkowo wąski, rozszerzył się. Ujrzeliśmy z daleka biały piasek plaży rzecznej, kilka łodzi i dzikich siedzących lub leżących przy nich.

— Abranga! (świetnie!) — wykrzyknął Aba. — To są rybacy z naszego plemienia. Lecz po czym oni odpoczywają? Na co czekają? Powinni być już dawno na morzu.

— Zaraz się dowiemy — odpowiedziałem z nieprzewidywaną trafnością. Za chwilę mieliśmy znaleźć wyjaśnienie, którego nie spodziewaliśmy się wcale.

Zadowoleni ze spotkania, pobiegliśmy klusem w dół wąwozu i wypadliśmy na otwartą plażę, by tu oko w oko stanąć przed wymierzonymi ku nam karabinami niemieckimi. Cofnąć się nie było już sposobu.

Patrol niemiecki zatrzymał rybaków, dlatego siedzieli beczynnie na piasku, podczas gdy kilku żołnierzy z bronią w ręku odcinało im drogę ewentualnej ucieczki w dżunglę. Niemcy zadowolę ni, że im jeszcze dwa ptaszki wpadły prosto w sidła, odebrali nam łuki i noże i nakazali usiąść razem z innymi na ziemi. Co za

szczęście, że wzięli mnie za tubylca i nie przeprowadzili ścisłej rewizji!

Żołnierze mieli na głowach białe tropikalne hełmy z czarnym orłem na przedzie, ubiór ich stanowiła biała bluza i szorty tegoż koloru; na nogach mieli długie zielone skarpetki i czarne buty. W rękach trzymali krótkie karabinki. Była to normalna broń palna, a nie promieniowa. Chociaż Wenuzianie zakazali fabrykacji broni prochowej i jej użycia, przybysze z Ziemi nie przejmowali się zbytnio tym zakazem, bo nie było go komu egzekwować.

Rybacy siedzieli zrezygnowani i przygnębieni. Aba objaśniał im po cichu, kim ja jestem. Położyłem się na piasku tyłem do wartowników i wyciągnąłem ostrożnie aparacik radiowy. Dzicy zaczęli umyślnie głośno rozmawiać, dwóch wszczęło gorącą sprzeczkę, dzięki czemu udało mi się wysłać na Takile do Zbyszka wiadomość: „Wpadłem w ręce niemieckie. Znajdujemy się na prawym brzegu rzeki Ora tuż koło ujścia. Podjedźcie pod wodą, wychylcie się nagle i od razu otwierajcie ogień do Niemców. Nastawcie na ogłuszenie tylko, bo może i nam się dostać!“ „Rozkaz! Już się robi — usłyszałem w odpowiedzi.

Odetchnąłem z ulgą. Jeśli Niemcy nie zabiorą nas stąd zbyt szybko, to istnieje szansa ocalenia. Na co czekają?

Niemal od razu otrzymałem odpowiedź. Posłyszeliśmy terkot łodzi motorowej i w chwilę później od strony ujścia rzeki ukazała się kanonierka. Dopłynęła do

nas. Dwóch marynarzy wyniosło z niej na brzeg łańcuchy.

— Takila nie zdąży — stwierdziłem. — Zakują nas w dyby i zaraz stąd zabiorą.

Wahałem się, co zrobić z aparacikiem radiowym: zakopać go w piasek czy zatrzymać przy sobie? To ostatnie było bardzo ryzykowne. W razie rewizji znajdą go natychmiast i zorientują się kim jestem, a wtedy tortury i kula w łeb. Z drugiej strony, gdyby do rewizji nie doszło, możliwość kontaktu radiowego z Takilą byłaby bezcenną korzyścią. Zatrzymałem aparat na razie przy sobie.

Jeńców było dokładnie dwudziestu. Ustawiono nas w czwórki i założono na ręce kajdanki połączone ze sobą łańcuchem. O nagłym pryśnięciu w dżungłę nie było mowy. Trzeba by uciekać w czwórkę, z kajdanami na rękach. Jednemu tylko Abie udało się uciec. Korzystając z pewnego zamieszania spowodowanego przybyciem kanonierki, sprytny chłopak przysunął się nieznacznie do łodzi, wsunął pomiędzy dwa kadłuby, a następnie nie zauważony, skrył się w wodzie pod pochylą rufą, z której zwieszał się gęsty splot rybackich sieci. Dopiero kiedy ustawiliśmy się w czwórki, żołnierze zauważyli to zniknięcie. Kilku bez przekonania przetrząsnęło pobliskie zarośla, jeden pobiegł do łodzi i zrewidował ich wnętrza, ale nie przyszło mu na myśl szukać małego zbiega w wodzie. Szybko zrezygnowano z poszukiwań. Ruszyliśmy.

Ze dwadzieścia, minut prowadzono nas plażą w górę rzeki, aż doszliśmy do drogi. Musiała być rzadko używana, bo porastała ją wysoka trawa i chwasty utrudniały nam marsz. Po godzinie dotarliśmy do miejsca, gdzie uprzednio Aba widział żołnierzy i samochody. Stała tam obecnie pod strażą grupka dziesięciu dzikich powiązanych tak jak my. Połączono nas razem w jedną kolumnę marszową i kazano iść. Przed nami i za nami jechało auto pancerne z karabinami maszynowymi, gotowymi do strzału.

Łańcuchy poobcierały mi prędko ręce; pokaleczyłem nogi maszerując przez ostre trawy, a do tego pić mi się chciało bardzo, bo wszystką wodę wypociłem z siebie, jako że skwar był potworny. Wściekły byłem, że mogłem tak głupio wpaść. A Nara mówił, że mam szczęście... W głębi duszy jednakże odczuwałem spokój i jakąś intuicyjną pewność, że się to wszystko dobrze skończy. Ostatecznie, mam przed sobą najlepszą okazję stwierdzenia, co się dzieje w kraterze. Po to przecież przybyłem na Lejlę.



Przyglądałem się spod oka współtowarzyszom niedoli. Znosili swój los z rezygnacją, ale w spojrzeniach rzuconych na otaczającą nas eskortę czaił się gniew. Byli to dorodni mężczyźni o wspaniałej muskulaturze ciała, szlachetnych rysach i dumnej postawie. Wyczytałem w ich wzroku życzliwość. Sąsiedzi po obu stronach zagadali parę razy coś do mnie po kuwilińsku, czego jednak nie zrozumiałem.

Po paru godzinach marszu w samo południe dotarliśmy do miejsca przeznaczenia. Przed nami na tle srebrno-ametystowego nieba, rysowały się ostre kontury ogromnego krateru. Szara, ponura skała odbijała niemiłym kontrastem od wesołej zieleni dżungli. Ściany wulkanu wznosiły się tak stromo w górę, że chyba tylko biegły alpinista mógłby tu zaryzykować wspinaczkę.

Nas wprowadzono do wnętrza przez tunel wykuty w skale. Wejścia do niego strzegły dwa silne bunkry; z ich oczodołów sterczały lufy ciężkich karabinów maszynowych. Potężna stalowa krata otworzyła się przed nami z podstępną gościnnością. Chłodną czeluść tunelu oświetlały liczne lampy. Wychodząc z tunelu natknęliśmy się na jeszcze jeden bunkier, z którego wyszczerzało się ku nam groźnie działo średniego kalibru.

Całe wnętrze wulkanu porastała tropikalna roślinność. Po tej stronie ściany krateru były mniej strome, ale wokół nich biegły druty, w których moje oko niedoszłego inżyniera-elektryka dopatrzyło się

obecności wysokiego napięcia. Prowadzono nas teraz po drodze ocienionej wielkimi drzewami. Nie przyniosło to wielkiej ulgi, gdyż powietrze było tu bardzo duszne, o wiele duszniejsze niż na zewnątrz. Po półgodzinnym marszu minęliśmy podłużne zabudowania pomalowane na kolory ochronne. Nad nimi zawieszono między drzewami sieci maskujące dla uniemożliwienia obserwacji z powietrza. Jak się dowiedziałem później, pierwszy budynek, nieco elegantszy i większy od innych, zajmowała ekipauczonych i oficerowie, następne dwa baraki stanowiły koszary żołnierskie. Po piętnastu minutach dalszego marszu wyrosły po obu stronach drogi nowe baraki otoczone drutami kolczastymi. Strzegli ich żołnierze z karabinami.

--- Magazyny – pomyślałem.

Uszliśmy jeszcze ze dwieście metrów. Po prawej stronie drogi las urwał się raptownie. Ujrzeliśmy olbrzymi dół o średnicy przynajmniej 100 metrów, o pionowych ścianach, których wysokość oceniłem na 15 metrów. Nakryty był siecią maskującą, a okalał go wysoki płot z drutu kolczastego. Zatrzymaliśmy się przy bramie, którą otworzyło dwu wartowników. Parę metrów za nią zaczynał się ów dół. Na dno jego prowadziła otwarta winda, którą zjechaliśmy. Dno dołu było równie, ubite jak klepisko. Z lewej strony okrątowana brama wiodła gdzieś w głąb ziemi. Na wprost dojrzałem wielką grootę o 5-metrowej wysokości pułapu, 50 metrów szeroką i tak chyba głęboką. Dno jej, pokryte przegniłym mchem, służyło za posłanie nie-

wolni- kom. W tej chwili poza nami. nie było tu niko- go. Sieć maskującą ponad dołem podpierały metalowe maszty; na wysokości 10 metrów od ziemi dostrzegłem na nich szklane izolatory. Najwidoczniej wierzchołki masztów znajdowały się pod wysokim napięciem, uniemożliwiającym ucieczkę tą drogą.

Gdy tak jednym okiem rozglądałem się po miej- scu, dokąd nas przyprowadzono, drugim z niepokojem śledziłem zachowanie się wartowników. Co zrobić z ukrytym aparacikiem radiowym?

Drżałem na myśl o możliwości rewizji, która w każdej chwili mogła nastąpić. Zdjęto nam kajdany. Strażnicy wsiedli z powrotem do windy i odjechali. Zo- staliśmy zupełnie sami. Wargi moje wyszeptały dzięk- czynną modlitwę.

Tubylcy, zmęczeni długim marszem, rzucili się od razu na mech w grocie. Wybrałem najbardziej zaciszny kącik i położyłem się także. Wyjąłem aparat i natych- miast skontaktowałem się z Takilą. Bałem się przez chwilę, czy w tym dole otrzymam połączenie, ale na szczęście strach był płonny. Z jakąż radością usłysza- łem głos Zbyszka. a potem Magdy, Imlu i Aby, którzy po kolei pytali, jak się czuję i starali się dodać mi otu- chy. Poleciałem Zbyszkowi natychmiast zawiadomić Narę o mojej "wpadce". Takila miała nadal krążyć w pobliżu wyspy w oczekiwaniu na moje raporty i dalszy rozwój sytuacji. Imlę i Abę poprosiłem o skontakto- wanie się z Siegerem.

Po skończonej rozmowie ukryłem aparat pod mchem w niewielkiej skalistej szczelinie. Teraz dopiero poczułem, jak potwornie jestem znużony. Zamknąłem oczy i na pewno zaraz bym zasnął, gdyby nie to, że w tej chwili zazgrzytała winda. Zjechała nią grupa żołnierzy uzbrojonych po zęby. Brutalnym krzykiem zwołano nas na plac i kazano zrzucić wszystko, cośmy mieli na sobie. Za parę minut ujrzałem, jak moja trawiasta spódniczka płonie z trzaskiem w ogniu. W zamian za spalone ubrania otrzymaliśmy skąpe opaski koloru khaki na biodra. Ponadto wymalowano każdemu na piersiach i na plecach czerwony numer. Stałem się niewolnikiem Nr 505. Po pobieżnych oględzinach wymalowano nam na prawym ramieniu kolorową plamę. Zostałem oznaczony na żółto. Jak się dowiedziałem później, przydzielano nas w ten sposób do różnych kolumn roboczych, zależnie od domniemanej siły i wytrzymałości fizycznej.

Całym tym rytuałem kierował młody oficer o typowo nordyckich rysach. Był to przystojny, postawny mężczyzna, ale miał w twarzy okrucieństwo i bezlitosną pogardę dla nas, niewolników. W nerwowych dłoniach trzymał pejcz, gotów do rozdzielania razów. Kontrastem oficera wydawał się okrągły sierżant o pucołowatej, różowej twarzy, na której malowała się dobroduszość. Ale i on, widać z narodowego zwyczaju, nie szczędził nam wymyślań, wykrzykując je bardzo komicznym dyszkantem.

Z wymiany zdań między oficerem a sierżantem, wywnioskowałem, że brak rewizji przed wpuszczeniem nas do dołu był karygodnym przeoczeniem. Oficer obawiał się, że poukrywaliśmy w mchu noże lub inne przedmioty mogące zagrażać integralności germańskiego władztwa. Padł rozkaz przeszukania groty. Uczułem, że serce idzie mi do gardła, żołnierze ściągnęli buty i bosymi nogami rozrzucali mech. Patrzyłem z najwyższym niepokojem na wysokiego żołdaka, który zbliżał się nieubłaganie do miejsca, gdzie schowałem aparat. Zdawało mi się, że szuka dużo dokładniej niż inni, wprost pedantycznie. Zamknąłem oczy: nie miałem siły dalej patrzeć. W tej chwili dobiegło mnie głośne przekleństwo. Otworzyłem oczy: to rewidujący dryblas wrzasnął i gwałtownie pochylił się nad mchem.

— Znalazł, stało się! — pomyślałem i nogi ugięły się pode mną.

Żołnierz rzeczywiście znalazł, ale ostry nóż, który skaleczył mu nogę. Utykając, zaniósł swoją zdobycz oficerowi, w którego oczach zajaśniało coś na kształt tryumfu.

— Teraz się nam dostanie! — pomyślałem. Oficer dopadł do naszej gromady jak tygrys do ofiary, pinił się. wrzeszczał i walił po nas pejczem, gdzie popadło. Oberwałem silny cios w twarz. Wyrosła na niej krwawa pręga, którą szczyłem się potem dłuższy czas. Z tubylców nikt nawet nie drgnął ani nie syknął z bólu. Przy innej okazji pewnie by mnie dusiła bezsilna

wściekłość, ale teraz, mimo bólu, rozsadzała mnie radość, że nie odkryto aparatu ani nie rozpoznano we mnie przybysza z Ziemi.

Gdy oficer wyładował dostatecznie na nas swój teutoński temperament, wygłosił potem dłuższe przemówienie w języku, który mu się zapewne wydawał kuwilińskim. Ani ja, ani moi towarzysze nie zrozumieliśmy z tej przemowy nic poza jednym wyrazem: „Keffanga“, co znaczy śmierć. To jedno nam wystarczyło. Po tym przemówieniu dano nam spokój. Oddział odjechał windą w górę, my zaś rzuciliśmy się z powrotem na posłanie, Zasnąłem momentalnie.

Kiedy ocknąłem się, słońce już zaszło. Plac przed grota oświetlały reflektory rzucające niebieskie przyćmione światło. Okratowana brama otworzyła się. Weszli przez nią czwórkami niewolnicy. Roboczy beziemienny tłum, który miał i mnie pochłonać. Jednocześnie z ich przybyciem zjechały windą wielkie kosze z żywnością i stągwie z wodą. Nie opuszczając szeregów niewolnicy zbliżali się po odbiór żywności. Dołączyliśmy się do nich. Wszystko odbywało się w największym porządku; nikt się nie pchał ani nie usiłował ubiec innych. Nad tłumem unosił się gwar zmieszanych głosów, opanowanych i spokojnych.

Trzymając w jednym ręku gliniany garnuszek z wodą a w drugim miseczkę z kilkoma grzybami i owocami, odszedłem na bok i usiadłem w kucki na ziemi. Kończyłem już prawie swoją porcję, gdy stanął przede mną młody, ślicznie zbudowany dziki. Kiedy bez słowa

przysiadł się do mnie, podziwiałem jego szlachetną, młodzieńczą twarz okoloną czupryną czarnych kędzierzawych włosów, które spadały aż na ramiona. Z twarzy tej patrzyły na mnie z życzliwą ciekawością wielkie czarne oczy.

— Vajni, Andra! — pozdrowił mnie i mówił dalej po polsku wtrącając jednak często wyrazy kuwilińskie. — Jestem Kini. Syn szefa plemienia Oremangów. Moi ludzie, którzy dostali się dziś z tobą do niewoli, powiedzieli mi kim ty jesteś. Wielka nadzieja w nas wstąpiła...

Uścisnąłem mu prawicę.

— Z tą nadzieją to gorzej — odparłem. — Popadliśmy w te same tarapaty i doprawdy nie wiem, jak z nich wybrniemy. Ale mniejsza o to na razie... O tobie, Kini, słyszałem już od twojej siostry Imli i brata Aby. Jeszcze dziś rano z nimi rozmawiałem, a za chwilę może i ty będziesz mógł z nimi pogawędzić.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Mam tu ukryty mały aparacik radiowy, którym mogę porozumiewać się z moim statkiem Takilą. Ale czy ty wiesz, co to jest radio?

Kini wiedział. Chodził przez parę lat do szkółki polskiej w Lejli. Zrobił na ranie bardzo dodatnie wrażenie. Siedmiomiesięczna niewola nie zabiła w nim ducha. Marzył o wyrwaniu się stąd. Dotąd nikomu się to nie udało. Kilku, którzy usiłowali się wyśliznąć z dołu, zginęli rażeni prądem wysokiego napięcia lub od kuli strażnika. Zapytałem Kiniego, co Niemcy robią w

kraterze. Objął mnie, że wykuli w skale bardzo głęboką okrągłą, studnię i ustawiają w niej coś w rodzaju wieży. Naokoło studni zaś, w grotach, zakładają jakieś instalacje i ustawiają aparaty.

Wstaliśmy właśnie, żeby odnieść nasze kubki i miski, gdy zjawiała się przede mną postać, na której widok wzdrygnąłem się cały. Ujrzałem twarz tak szpetną jakiej chyba nigdy w życiu nie widziałem. Pomarszczona i płaska, z maleńkim, szpiczastym nosem, ogromną, nieomal końską szczęką, oczami wycierającymi z głębokich oczodołów, robiła wrażenie upiorne. Wykrzywił ją do tego potworny grymas: czy to potępieńczego śmiechu, czy szatańskiego szyderstwa, nie wiedziałem. Upiór wyciągnął do mnie suchą, kościstą dłoń i zagadał coś po kuwilińsku. Głos jego brzmiał jak skrzypienie zardzewiałych wrót.

— Czego on chce ode mnie? — zapytałem Kiniego niespokojnie.

— Chce się przywitać — odpowiedział Kini, w którego głosie dosłyszałem nutę rozbawienia. — To jest Araru, nasz były „Amga” (czarownik), obecnie dobry chrześcijanin i mój przyjaciel.

Podąłem rękę upiorowi, którą ten potrząsał kilka razy z wyraźną serdecznością.

— To czemu on się tak wykrzywia, jakby mnie chciał ugryźć? — zapytałem Kaniego, niezbyt jeszcze przekonany o nieszkodliwości straszdyła, któremu niebieskie światło reflektorów dodawało jeszcze charakteru cmentarnej zjawy.

— Po prostu uśmiecha się życzliwie do ciebie. Araru wygląda strasznie, ale to jest bardzo dobry człowiek. Zobaczysz, jak go polubisz.

Araru zabrał nasze kubki i miseczki. Udaliśmy się z Kinim do groty, gdzie był schowany aparat. Jeńcy kładli się na posłaniu z mchu, ale nie zasypiali od razu. W pułap groty uderzał stłumiony pogwar kilku setek głosów.

— Araru był naszym czarownikiem przez wiele, wiele lat — odezwał się Kini. — Wszyscy go bardzo szanowali i bali się. chociaż nikomu nic złego nie wyrządził. Ot, ta jego okropna twarz nappełniała wszystkich lękiem. Kiedy wielu z naszego plemienia zaczęło przyjmować chrześcijaństwo, dobrego dotąd Araru ogarnęła furia gniewu i nienawiści do nowej religii, która zagroziła jego pozycji. Dowiedzieliśmy się później, że nawet postanowił zamordować ojca Piotra, który był głównym motorem nawróceń. Zakradł się do niego w nocy i... nikt nie wie, co tam wtedy nastąpiło. Wrócił odmieniony. Spalił wszystkie oznaki swej godności i stał się najgorliwszym apostołem Chrystusa. Już tu w tym obozie nawrócił i ochrzcił wielu. Dla mnie jest zawsze dobry, specjalnie dobry. Może dlatego... — Tu Kini zatrzymał się. — O, nie warto tego wspominać!

Mnie też podczas naszej wspólnej niewoli. Araru okazywał dużo życzliwości. Ja jednak nie mogłem się jakoś do niego przekonać. Ta potworna twarz, ta chuda pierś pokryta pergaminową, suchą skórą — odrzu-

cały mnie ciągle od niego. Jakżeż bardzo w naszych sympatiach czy antypatiach jesteśmy zależni od zewnętrznego wyglądu człowieka!

Ale wróćmy do mego pierwszego wieczoru w niewoli. Wyciągnąłem z ukrycia aparat radiowy, połączyłem się ze Zbyszkiem. i na podstawie tego, co słyszałem od Kiniego, podałem mu raport dla Nary. Następnie zapytałem, czy Imla jest jeszcze na Tikili. Była. Dopiero rano miała ruszyć z Abą do Siegera. Poprosiłem, by podeszła i oddałem aparacik Kiniemu. Rozmawiali bardzo długo. W ciemnościach nie widziałem oczu mego towarzysza, ale musiały chyba zwilgotnieć; w jego cichym szepcie wyczuwało się wielkie wzruszenie. Rodzeństwo kochało się bardzo. Potem przyszła kolej na rozmowę z Abą.

Ukryłem aparat w poprzednim miejscu. Kini odraźał wielką ochotę do rozmowy ze mną, ja jednak byłem tak zmęczony, że chciałem zasnąć jak najprędzej.



Rano, skoro świt, zerwano nas do pracy. Dostaliśmy znowu wodę, owoce i grzybki. Policzano nas. Następnie ustawiliśmy się w kolumny zależnie od koloru łaty na ramieniu. Ucieszyłem się stwierdziwszy, że Kiego też żółtą naznaczono plamą. Nasza "żółta kolumna" przeznaczona była nie do robót stałych, lecz do różnych przygodnych prac, które nasuwała potrzeba chwili. Tego dnia wywoziliśmy odłamki skał z tunelu, który przebijali jeńcy z kolumny „czerwonej”, tj. najsilniejszej.

Po trzech dniach wywołano nas na powierzchnię ziemi, gdzie rozładowaliśmy samochody ciężarowe, które przywoziły wielkie paki starannie opakowane. Kazano nam je znosić z jak największą ostrożnością.

— Mniej więcej co piętnaście dni nadchodzi taki transport — objaśnił Kini.

Tajemnicze skrzynie przewieźliśmy na wózkach do windy, która je zabrała a także i nas pod ziemię. Rozwoziliśmy paki podziemnymi tunelami do miejsc przeznaczenia. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem podziemną studnię i wieżę. Jeden rzut oka wystarczył, by zrozumieć, co się tu szykowało i jak bardzo obawy Nary były uzasadnione.

Była to taka sama wieża, jaką widziałem w stolicy Wenus, z tą różnicą, że tamta sterczała ponad powierzchnią ziemi, ta zaś kryła się w jej wnętrzu. Była ona jednak przygotowana do wysunięcia, na zewnątrz zaraz po całkowitym jej ukończeniu. Brakowała jeszcze jednej trzeciej licząc pobieżnie. W jakim stadium

znajdowały się urządzenia, porozmieszczane w grotach, tego naturalnie nie mogłem stwierdzić. Niemcy szykowali więc konkurencyjną wieżę, która niewątpliwie mogła zagrozić panowaniu Wenusjan nad tą planetą.

— Wieżę będzie można zniszczyć — pomyślałem — ale znajomości sekretów naukowych, które Niemcy najoczywiściej posiadli, nikt z ich głów nie usunie.

Miałem zatem dziś w nocy sensacyjny raport do przesłania Narze za pośrednictwem Takili, ale wahałem się długo, zanim nacisnąłem w aparaciku radiowym guziczek sygnałowy. Jak się teraz zachowa mój łysy szef? Czy nie wyśle natychmiast latającego dysku z bombą atomową lub z jakimś innym jej wenuzjańskim ekwiwalentem? Zmiotłoby wtedy wieżę i Niemców, ale i nas. Na miejscu Nary wysłałbym natychmiast desant powietrzny do opanowania tego podziemnego laboratorium. Przy użyciu latających dysków i broni promieniowej, byłaby to zupełnie prosta operacja. Postanowiłem ją od razu zasugerować w moim raporcie.

Zbyszek aż zaniemówił z wrażenia, gdy mu zakomunikowałem swoje obserwacje. Obiecał je natychmiast przekazać Narze. Sam miał też dla mnie wiadomość, na którą niecierpliwie czekałem. Imla dotarła do Siegiera. Miał on za kilka dni zjawić się na Takili i porozumieć się ze mną osobiście. Ułożył podobne plan zdobycia krateru i uwolnienia nas. Potrzebne mu były dane, których tylko ktoś od wewnątrz mógł mu do-

starczyć. Prosił, żeby zorganizować jeńców i przegotować się do ewentualnego ataku od tyła. „Uzbrójcie się jak możecie” — powtórzyła mi jego słowa Imla.

— Zwariował — pomyślałem. — Skąd tu znaleźć jakąkolwiek broń, choćby noże? To nie warszawa pod okupacją; nie kupię rozpylaczy na Kercelaku.

Podzieliłem się wiadomością z Kinim. Wzruszył ramionami:

— Skądże tu broń?

Jednakże wiadomość o planach Regera poruszyła go bardzo. Dzicy dawno byli zorganizowani w oczekiwaniu na okazję, która się nigdy dotąd nie pojawiła. Byli to ludzie mężni, zdecydowani na wszystko, bardzo solidarni, ale zarazem cechował ich zdrowy rozsądek. Nie byli skłonni porywać się z motyką na słońce. Jakikolwiek, choćby tylko pozór buntu byłby stłumiony natychmiast i krwawo. Mieliśmy tego próbkę w dwa tygodnie później.

W czerwonej kolumnie znajdował się olbrzym imieniem Gama z plemienia Kaniego. Był to wspaniały okaz męskiej siły. Wydawało się, że składa się cały ze skłębionych, napiętych mięśni — prawdziwy Ursus wenuzjański. Było to dobroduszne chłopisko, ale o wielce zapalnym temperamencie. Jeden z nadzorców czerwonej kolumny sierżant Hans wziął się na poczciwego Game. Może działał tu kompleks niższości, bo Hans był drobny i słabowity. Gama dzięki gigantycznej sile wykonywał pracę za pięciu, ale często psuł narzędzia; po prostu rozpadały się w jego rękach.

Hans wykorzystywał to zawsze, dając ujście swoim sadystycznym instynktom. Okładał plecy olbrzyma biczem, z którym się nigdy nie rozstawał. Garna przyjmował razy z pozornym spokojem, ale wewnątrz wszystko w nim wrzało.

Dnia tego tłumiona od dawna gorycz wybuchła. Gdy za jakieś przewinienie. Hans znowu wznosił bicz do ciosu, Gama rzucił się na niego, wyrwał mu bicz, a Hansem cisnął z całej siły o ścianę, ściana okazała się zbyt twarda dla Hansowej głowy, wskutek czego jego dusza musiała w pośpiechu opuścić wenuzjańską powłokę. Tylko jakimś cudem dusza Gamy nie powędrowała natychmiast w ślad za nią. Za swój postępek, siłacz powinien był od razu zginać, przeszyły kulami innych strażników. Jednak najbliższy dozorca, rudy Wilhelm, nie był człowiekiem krwiożerczym. Ponadto nie cierpiał Hansa, a czuł dużą słabość do Gamy. Nie celował więc w ciało olbrzyma, ale w górę. Gama jednak sam oprzytomniał prawie natychmiast; furia znikła mu z twarzy, a na jej miejsce pojawiło się przerażenie. Dziki miał duszę prawą i szlachetną i zabicie człowieka, choćby to był nikczemny Hans, wstrząsnęło nim do głębi. Podszedł do zwłok, podniósł je i trzymając na rękach przemawiał coś cicho, łagodnie do nieżywego — jakby prosząc o przebaczenie. I tak z trupem swej ofiary na rękach, zniknął w podziemnym korytarzu eskortowany przez dwóch żołnierzy z bronią gotową do strzału. Nie zobaczyliśmy go więcej, lecz na tym sprawa się nie zakończyła.

Następnego dnia rano po apelu, kiedy powinniśmy byli odmaszerować do pracy, przemówił do nas oficer o nordyckich rysach. Posłużył się tym razem tłumaczem. Za czyn Gamy nie tylko on sam, ale dzie więciu innych niewolników będzie rozstrzelanych. Zmartwieliśmy.

Oficer z premedytowaną powolnością przechodził przed szeregami.

— Ein — wskazał na pierwszą ofiarę — zwei — i drugi nieszczęśnik wystąpił naprzód.

Stałem w pierwszym szeregu, obok mnie Araru, i Kini. Serce biło mi jak młotem. Oficer był tuż.

Wstrzymałem oddech. Niemiec wyraźnie rozkoszował się tragicznym napięciem chwili. Przystawał, przyglądał się poszczególnym jeńcom, którzy drętwieli od tego wejrzenia. Nikt nie chciał ginąć. Oficer minął Araru. Patrzał teraz na mnie. Starąłem się oddać mu spojrzenie jak najbardziej obojętne. Bałem się, że mnie wybierze, gdy dostrzeże w moich oczach to rozpaczliwe pragnienie życia, które mnie w tej chwili przejmowało na wskroś. Minał...

Zatrzymał się przed Kinim. Wskazał na niego palcem: — Drei.

Kini wystąpił. Nie obejrzał się. Widziałem, jednak że ramiona mu drżą.

W tej chwili uprzytomniłem sobie, jak przez tych niewiele dni wspólnej pracy chłopak stał mi się drogi. Podbiła mnie jego rycerskość, dobroć przyjacielska, pomoc, którą mi na każdym kroku bez cienia intere-

sowności okazywał. I oto ten szlachetny piękny chłopak, w którym wszystko wyrywało się ku życiu, miał teraz zginąć. Powstał we mnie bunt, a jednocześnie głos jakiś odezwał się w sercu:

— Zgłoś się za mego... jak Ojciec Kolbe.

Nie, nie. Nie dorosłem do takiej miłości. Nie mogłem tego uczynić. Zjawily się usłużnie obronne myśli: "Jesteś tu z misją ważniejszą niż życie Kiniego. Ty musisz żyć!" Ale głos znów się odezwał ze zdwojoną siłą: „Masz w tej chwili jedyną w życiu sposobność do prawdziwej wielkości... nie ma większej rzeczy, niż dać życie za braci... jak Chrystus...” Nie mogłem. Błagałem głos, by mię zostawił w spokoju, nie męczył. Nie wyjde przed szereg. Nie!

Araru trącił mnie w bok. Spojrzałem na niego.

Twarz jego stała się w tej chwili nieomal piękna.

— Ja idę — powiedział z uśmiechem, który po raz pierwszy był nie grymasem, ale uśmiechem prawdziwym, choć smutnym.

Wystąpił przed szereg. Oficer tymczasem skompletował już dziewiątkę i ze zdziwieniem obrócił wzrok na byłego czarownika Oremangów.

— Was wills du?

Araru przez tłumacza wyjaśnił, że chce ginać zamiast Kiniego.

Oficer patrzył na niego przez dłuższy czas jakby nie rozumiejąc. Przesunął wzrok na Kiniego, potem znów na czarownika. Coś w jego typowo pruskiej twarzy drgnęło. Wreszcie bez słowa dał Kiniemu znak, że-

by wrócił do szeregu. Młody człowiek zaprotestował. Ale oficer skoczył ku niemu, trzasnął go pejcem po warzy i kopnął w brzuch tak silnie, że Kini zwinął się i padł na ziemię jęcząc z bólu. Potem obolały i zgięty w pół powrócił do szeregu.

Dziwięciu skazańców odjechało windą. My odeszliśmy do normalnej pracy.

Przeżyłem to wydarzenie głęboko. Może jedyny raz w życiu przeszedłem koło takiego stopnia poświęcenia. Wstydzilem się własnej małości, ale zarazem byłem tak serdecznie wdzięczny Araru, że podjął ten bohaterski czyn za mnie i uratował mi przyjaciela. Tak bardzo chciałem żyć i tak bardzo żał by mi było Kiniego.

Chłopak przez długi czas milczał, miał często łzy w oczach, gryzł się w sobie i bolał. Nie przerywałem tego milczenia. Jakoś mi było nijako pocieszać przyjaciela, dla którego nie byłem gotów umrzeć. Kini sam wreszcie przerwał milczenie. Długo w noc mówił mi o Araru. Opowiedział mi powtórnie historię jego nawrócenia i podał pewien szczegół ze swego dzieciństwa, który mocno wyrył mu się w pamięci.

Wrócił właśnie ze szkoły w Lejli, dokąd go posłał ojciec, szef szczepu Gremangów. Chłopiec z dumą nosił na szyi złoty krzyżyk ofiarowany mu przez księdza Piotra. Na widok tego krzyżyka czarownik Araru wpadł w szał gniewu: zerwał go z szyi dziecka i rzucił do rzeki, a malca zbił i skopał w brutalny sposób. Zdaje się, że to wkrótce po tym wydarzeniu powziął zamiar zabi-

cia ojca Piotra. Po nawróceniu, starał się Kiniemu wynagrodzić swój postępek: okazywał mu szczególną dobroć i względy. a teraz oddał za niego życie. Dług został spłacony stokrotnie.

Po tym opowiadaniu wyznałem Kiniemu ze wstydem, co w mojej duszy zaszło podczas dramatycznej sceny na placu apelowym. Uścisnął mi serdecznie rękę.

— Ty, Andra, nie miałeś prawa tego zrobić. Zbyt jesteś potrzebny.

Czy rzeczywiście? Wcale o tym nie byłem przekonany.

Czekaliśmy teraz na decyzję Nary po przekazanym raporcie, ale na próżno. Nawet jeśli ją już podjął, nie raczył nam jej zakomunikować.

Tymczasem naszą żółta kolumna otrzymała nową pracę, która otworzyła przed nami pewne możliwości. Rąbaliśmy teraz w lesie drzewo do kuchni.

Ponieważ nigdy nie czułem zbytnej miłości do siekiery i piły pragnąłem, żeby mnie z Kinim przeznaczono do wożenia kłód drzewnych. Na szczęście tak się stało. Przypadł nam w udziale wspólny wózek, dzięki czemu mogliśmy swobodnie gawędzić. Umówiliśmy się, że będziemy jednego dnia rozmawiać po polsku, a drugiego po kuwilińsku. Kini miał umysł chłonny, otwarty, ciekawy wiedzy. Zarzucał mnie pytaniami z rozmaitych dziedzin i byłem nieraz zdumiony, jak świetnie zapamiętywał nawet drugorzędne szczegóły.

Chłopak przywiązał się do mnie bardzo i ja nawzajem serdecznie go pokochałem.

Strzegło nas przy pracy niewielu strażników. Komendę nad nimi dzierżył gruby sierżant o cienkim głosiku, ten sam, o którym wspomniałem opisując rewizję po przybyciu do krateru. Krzyczał dużo i udawał groźnego, ale był to człowiek dobry i patrzył przez palce na wiele rzeczy. Zdradziłem się raz niebacznie ze znajomością języka niemieckiego. Była to z mej strony gruba nieroztropność. Zwracałem bowiem w ten sposób uwagę na siebie, co zawsze groziło odkryciem mego ziemskiego pochodzenia. Na szczęście poczciwy sierżant nie powziął żadnych podejrzeń, natomiast używał mnie teraz często jako tłumacza i dawał lżejszą pracę. Udawało mi się zwykle wkręcić do niej i Kiningo.

Już drugi dzień pracowaliśmy w lesie. Popychaaliśmy właśnie wózek naładowany kłodami, gdy Kini niespodzianie skoczył między drzewa i zaczął bić coś zawzięcie, kawałkiem kija.

Sierżant narobił krzyku wołając: „zuruck, zuruck!“ i wymachując ostrzegawczo lufą pistoletu. Kini nie dał na siebie długo czekać. Zaraz wyszedł z gąszczy trzymając na kiju ogromnego pająka wielkości talerza. Położył go ostrożnie jak drogocenny skarb na stercie kłód. Kiedy sierżant z wyrazem wielkiego obrzydzenia kazał mu go wyrzucić precz, Kini błagalnie patrząc wskazał na usta i klepał się po brzuchu. Sierżant wzdrygnął się na samą myśl, że ktoś może uważać za

przysmak podobne paskudztwo, ale machnięciem ręki wyraził swoje przyzwolenie.

— Będiesz to jadł? — zapytałem wykrzywiając usta z niesmakiem.

— Skądże znowu — odparł z uśmiechem Kini — zaraz zobaczysz do czego mi on jest potrzebny.

Kiedy zdejmowaliśmy kłody i układaliśmy je pod daszkiem w pobliżu kuchni żołnierskiej, Kini wyciągnął z wnętrzości pająka niewielki biały pęcherzyk, zawiązał trawą i schował pod opaską.

— To jest jad pająka, którego używamy do zatrucia naszych strzał. Ten jad nie zabija, ale oszalamia natychmiast, gdy przeniknie do krwi. To jest lepsza broń niż nóż czy kij.



Podczas gdy ładowaliśmy znowu drzewo, Kini nieznacznie urwał kilka kolców z rośliny zwanej „apsa“ przypominającej trochę kaktusy.

— Będzie na ostrza do strzałek — szepnął. — Porobię takie małe do rzucania ręką. Na bliską odległość są niezawodne.

Kiedy po raz czwarty tego rano znaleźliśmy się z transportem drzewa w pobliżu kuchni, w jej drzwiach ukazał się kucharz i skinął na naszego sierżanta:

— Słuchaj no Franz — powiedział — kiedy przyjdiesz na kolację, to przyprowadź z sobą ze dwóch tych „gefangenen“, niech powylewają kubły z odpadkami, bo nam ich się nie chce nosić; za dużo roboty. Ja ci za to dołożę większą porcję na talerz.

— Sehr gern (bardzo chętnie) — odpowiedział sierżant, któremu wyłupiaste oczy pojaśniały na wzmiankę o większej porcji — tylko się muszę wpierw zapytać Herr Leutenant, czy mogę.

Herr Leutenant pozwolił i łaskawy wybór Franza padł na nas obu, ku naszemu wielkiemu, jak się okazało, pożytkowi. Przecie wszystkim nie tylko sierżant dostał większą porcję, ale i nam coś niecoś ze stołu pańskiego spadło, co nie było do pogardzenia. Na te grzybki bowiem, którymi nas karmiono w dole, nie mogłem już patrzeć, chociaż były pożywne i możliwe w smaku. Ale poza Chlebem powszednim każda potrawa jedzona co dzień sprzykrzy się w końcu.

Najważniejszą jednak korzyścią była możliwość dokonywania obserwacji, które nasunęły mi pomysł ucieczki z krateru.

Kuchnia żołnierska oddzielona była tylko małym placikiem od kuchni oficerskiej, dzięki czemu mogły wspólnie korzystać z tych samych zapasów drzewa i podręcznego, magazynu prowiantowego. Obie też znajdowały się na tyłach zabudowań, poza którymi nieomal od razu zaczynała się tropikalna gęstwina drzew, krzaków i wszelkiego rodzaju leśnego podszycia.

Przy kuchni zjawialiśmy się punktualnie na kolację. Kiedy wracaliśmy do naszej „wilczej jamy”, jak ją w duchu nazywałem, było już prawie zupełnie ciemno. W czasie kolacji sierżant wchodził do środka kuchni, my zaś siadaliśmy na ławeczce na zewnątrz, czekając czy nam nie rzuca, jakiegoś ochłapu. W tym samym czasie przed drzwi kuchni zajeżdżała mała ciężarówka prowiantowa. Jak wywnioskowałem, przyjeżdżała ona codziennie rano z miasta Lejli przywożąc świeży prowiant dla obu kuchni. Nad wieczorem kierowca zajeżdżał znowu, jadł kolację i zabierał do Lejli puste paki po prowiancie, które Kini i ja wstawialiśmy mu do samochodu. Zwykle, gdy po wyrzuceniu odpadków wracaliśmy pod opieką sierżanta do naszego dołu, ciężarówka jeszcze stała przed kuchnią. Szofer nie spieszył się.

Gdyby się tak ukryć w wozie i wyjechać nie zauważonym poza obręb krateru? Wyglądało to aż zbyt prosto, przy założeniu, że przed wyjazdem nie rewidu-

ją samochodu. Jeśli chodzi o Franza, to teraz kiedy mieliśmy zatrute strzałki, można by go bez trudu unieszkodliwić. Dół z odpadkami znajdował się na uboczu, był zakryty wysokimi krzewami. Kiedyśmy tam odnosili wiadra, jedynie sierżant nam towarzyszył. Opracowaliśmy z Ki-nim plan ze wszystkimi szczegółami i postanowiliśmy zaryzykować.

Zawiadomiłem Zbyszka przez radio o moim projekcie ucieczki. Przyklasnął mu z entuzjazmem. Prosił tylko, bym zaczekał z realizacją do czasu porozumienia się z Siegerem.

Przywódca partyzantów skontaktował się ze mną następnej nocy. Nosił się z zamiarem zdobycia krateru. Plan jego był szalony, ale może właśnie dlatego mógł się udać. Wiadomość o mojej chęci ucieczki ucieszyła go. Ktoś, kto znał wnętrze krateru, mógł być świetną pomocą w planowanej operacji.

Z kolei Zbyszek powiadomił o wszystkim Narę. Mój łysy szef przyjął z wyraźną radością projekt Siegera. Za wszelką cenę chciał uniknąć konieczności bezpośredniej interwencji wenuzjańskiej. Wolał, by całą rzecz przeprowadzono miejscowemu siłami. Obiecał jednak pomoc przez dostawę broni promieniowej dla partyzantów. Jeśli chodzi o moją ucieczkę, Nara nie postawił żadnych zastrzeżeń. Wobec tego postanowiliśmy z Kinim uciekać nazajutrz wieczorem. Tymczasem zaszło nowe wydarzenie, zupełnie nieoczekiwane.

Od samego rana zabrano naszą grupę do pracy przy głównym budynku, do którego dostawiono przy-

budówkę. Zwoziliśmy z magazynu drewniane słupy i deski. Koło południa przed głównym wejściem ukazała się grupa ludzi. Kilku oficerów, paru cywilów w tropikalnych ubraniach.

Pośród nich ujrzałem postać, której widok przypawił mi o brak tchu i najwyższe osłupienie. Czy to halucynacja? W grupie cywilów szedł w swoim wenuzjańskim stroju... Nara. Łysa głowa lśniła w blasku promieni słonecznych. Rozmawiał swobodnie po niemiecku z chudym starszym jegomościem, o ostrej szpakowatej bródce.

Nadzorujący nas sierżant wykrzyknął:

— Achtung!

Wyprostowaliśmy się jak struny. Łysy przechodząc mimo rzucił mi obojętne, roztargnione spojrzenie. Nappełniło mnie ono wątpliwością. To nie było spojrzenie Nary. Ta sama obsada i ten sam kolor oczu, ale w wyrazie ich czaiło się coś odpychającego, złego, podczas gdy Nara, mimo że często patrzył surowo i przenikliwie, miał spojrzenie jasne i dobre.

Był to Nara, czy ktoś zdumiewająco do niego podobny? Co Nara mógłby tu robić? Płozę wreszcie zdecydował się na bezpośrednią interwencję i przybył na Lejlę, by żądać wyjaśnień w imieniu swego rządu? Niemożliwe chyba, żeby prowadził podwójną grę: był jednocześnie szefem bezpieczeństwa wenuzjańskiego i spiskował z Niemcami? Dlaczego jednak postępował wielokroć tak niezrozumiale? Dlaczego od dawna nie rozpoczął zdecydowanej akcji, gdy miał po temu

wszelkie (możliwości? Nie potrafiłem rozwiązać zagadki. Postanowiłem wobec tego poczekać parę dni z ucieczką. Może Niemcy zaprzestaną budowy wieży i nas zwolnią. Nonsensem byłoby w takim wypadku narażać się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo.

Minęły dwa dni. Nic się nie zmieniło, ani nie wskazywało na możliwość zmiany. Harowaliśmy jak dawniej. Wieża rosła. Od Nary nie było żadnej wiadomości, a ja bałem się prosić go o wyjaśnienia. Zdecydowałem, że nie ma co czekać dłużej, ale trzeba wiać jak najprędzej.

ROZDZIAŁ VIII

UCIEKAMY

Nad wieczorem, jak zwykle, Franz zaprowadził nas pod kuchnię. Dostały się nam tego dnia wyjątkowo duże kawały mięsa, cośmy przyjęli za dobry omen. Kiedy kończyliśmy jeść, zajechała wyczekiwana z najwyższym napięciem półciężarówka. Szofer wszedł do kuchni. Wynieśliśmy z niej puste paki po prowiancie i ustawiliśmy je w samochodzie. Jedna paka była tak obszerna, że człowiek mógł się w niej schować bez trudu.

Usiedliśmy z powrotem na ławeczce czekając na Franza. Kiedy wyrzucaliśmy odpadki do dołu ze śmieciami, zawsze nam towarzyszył. Tak było i dzisiaj. Wszedł z kuchni i ocierając ręką zathuszczzone wargi skinął na nas. Podźwignęliśmy ciężkie kubły, ścieżka nasza prowadziła przez wysokie zarośla, mijała prymitywne żołnierskie ustępy i kończyła się przy ogromnym dole na śmieci. Wrzuciliśmy zawartość wiader. Obróciliśmy drugi raz. Nadszedł moment działania. Szybki rzut oka na otoczenie, na które zaczynała spływać wieczorna szarość, upewnił nas, że nikogo poza Franzem nie ma w pobliżu. Po opróżnieniu moich dwóch kubłów zatrzymałem się i podnieconymi gestami wskazałem coś Franzowi w dole na śmieci. Gruby sierżant zbliżył się do mnie odwracając się plecami

do Kiniego, który na to tylko czekał. Wyciągnął spoza opaski przygotowane zawczasu strzałki zatrute jadem pajęczym i jedną z nich wysłał celnie w plecy Franza. Ten padł bez czucia na ziemię; nawet nie jęknął. Odpiąłem mu szybko pas z pistoletem i nożem i ukryłem te przedmioty w wiadrze. Do latryny żołnierskiej było kilkanaście kroków. Zanieśliśmy tam grubasa i umieścili w jednej z ubikacji. Za pomocą patyczka zamknąłem ją od wewnątrz na haczyk tak samo, jak to czyniłem nieraz w dzieciństwie na wsi dla żartów. Wróciliśmy kłusem po nasze kubły. Oprócz nich zabraliśmy ze sobą wielką pustą beczkę wyrzuconą przed paru dniami na śmietnisko.

W powrotnej drodze do kuchni przechodząc obok ciężarówki wstawiliśmy do niej beczkę, w której umieściłem pas i pistolet. Następnie odnieśliśmy na miejsce puste wiadra.

— Gdzie jest Franz? — zabrzmiał nagle nad nami groźny bas kucharza.

Dałem mu do zrozumienia, że pozostał w latrynie. W odpowiedzi kucharz mruknął coś niewyraźnie pod nosem. Zobaczyliśmy z przerażeniem, że kieruje się w stronę ustępów. Co będzie, jeśli zacznie tam wołać Franz i nie otrzyma odpowiedzi? Usiedliśmy na ławeczce, która wydała nam się w tej chwili nabita gwoździami. Kiedy się oddalił, chcieliśmy się poderwać i skryć w budzie samochodowej, a tu, jak na złość, tym razem z kuchni oficcerskiej wyszedł z fajką w zębach pomocnik kucharza: stanął przed drzwiami i

rozglądał się wokół pykając beztrosko dym z cybucha. Na jego oczach nie mogliśmy wskoczyć do ciężarówki. Unieszkodliwić go strzałą, jak to w tej chwili sugerował szeptem Kini, było zbyt ryzykowne. Chociaż robiło się coraz ciemniej, mógłby ktoś zauważyć jego upadek. Na szczęście Niemiec odwrócił się i wszedł z powrotem do kuchni.

Choć nerwy kazały nam działać szybko, podnieśliśmy się powoli z ławki, przyszła nam bowiem myśl, że mógł nas ktoś obserwować z okien baraków lub kasyna. Ciężarówka stała frontem do zabudowań, tak że znajdując się za nią, nie powinniśmy być widziani. Manipulowaliśmy chwilę przy samochodzie, udając, że poprawiamy brezentową płachtę na budzie. Spojrzenie w prawo, spojrzenie w lewo i już byliśmy w wozie. Zsunęliśmy brezentową klapę za sobą. Wpakowałem Kuniego do pustej skrzyni i przykryłem plandeką. Zaniknąłem wieko. Sam wlażem do beczki i nakryłem się z góry brudną szmatą. Była to wielka beczka po piwie — od samego zapachu można było się upić.

Zaczęły się teraz tortury czekania. Słyszałem kroki kucharza wracającego z latryny — wydały mi się przyspieszone. Czy odkrył, że nie ma tam Franza? A może go znalazł i zaraz wznieci alarm? Ale nie, przeszedł obok: ciężarówkę i wszedł do kuchni. Co za ulga! Niech teraz szofer szybko się zjawia. Modliłem się rozpaczliwie o powodzenie. Teraz dopiero uprzytomniłem sobie, że dzięki radiu mogłem lepiej przygotować ucieczkę. Czemuż nie poprosiłem Siegera o rozpoznanie, kiedy

dokładnie ciężarówka odjeżdża do Lejli? A może moje założenie było mylne i prowiant przywożą nie z Lejli, ale z magazynu wewnątrz krateru? O Boże, czemu ten kierowca nie nadchodzi?



Wreszcie słyhać jego kroki. Zagląda do wnętrza. Oby nie zwrócił uwagi na beczkę. Jest za ciemno, by ją zobaczyć, ale może poświecić latarką. Po cóż wzięliśmy tę beczkę, mogłem się ukryć po prostu pod plan-deką? Nie zaświecił. Siada do kierownicy. Wóz rusza. Jego motor nie warczy jak w samochodach na Ziemi. Wenuszanie dostarczali imigrantom gotowe motory ze swoich fabryk w Kamiru. Były to tajemnicze silniki bez paliwa. Inne części samochodowe wyrabiali sobie koloniści sami. Nafty nie odkryto dotąd, na Wenus, lecz tę motory były lepsze niż benzynowe, bo niewyczerpane. Tajemnicy ich nikt na razie nie potrafił odkryć, mimo drobiazgowych badań i dociekań. Szły poruszane niewidzialną siłą.

Nasza półciężarówka ujechała kilkanaście metrów. Staęła. Po co? Ktoś uchylił klapę z tyłu. Wrzucono dodatkowe skrzynie. Z przodu z szoferki dochodziły odgłosy rozmowy: prócz kierowcy jeszcze ktoś inny wsiadł do samochodu. Ruszyliśmy. Teraz ważyły się nasze losy. Będą rewidować wnętrze czy nie będą? Trzymałem w dłoni pistolet Franza gotowy do strzału. Ale na cóż mógł się on teraz przydać? Lepiej go nie używać. Zdołałbym zastrzelić jednego strażnika, dwóch... i co dalej? Za zabicie Niemca rozstrzelano by nas. Za samo tylko usiłowanie ucieczki może darowano by nam życie. Postanowiłem więc nie używać broni nieroztropnie.

Jedziemy. Po głuchym dudnieniu orientuję się, że wjechaliśmy w tunel. Zatrzymujemy się. To musi być

brama. Słysząc rozmowę. Ktoś podchodzi z tyłu do auta, odchyła klapę brezentową, świeci — widzę odblask latarki ponad sobą. Wstrzymuję oddech. Wejdzie do wnętrza, czy nie? Słysząc chrobotanie — tak jakby się wdrapywał. Nie! Zeskoczył. Chwała Ci, Panie! Chciał pewnie tylko lepiej zobaczyć. Paki i beczka nie wzbudziły podejrzeń.

Ruszamy znowu. Co za ulga! Udało się, udało! Chcę krzyknąć z radości. Pozostaje nam teraz tylko zeskoczyć w biegu i w las. Wysuwam głowę z beczki. Co to? Poprzez szpary w budzie przenika światło. Za nami jedzie drugie auto. Masz babo placek! Jak teraz skakać? Wygramoliliśmy się z naszych schowków. Patrząc przez szpary przekonaaliśmy się, że w kolumnie aut zajmujemy miejsce przedostatnie. Można było z góry przewidywać, że Niemcy nie wysłaliby po nocy samotnego wozu narażonego w każdej chwili na atak partyzantów. Nie pomyślałem o tym wcześniej. Na domiar złego ten ostatni samochód za nami. To auto pancerne. Z wieżyczki groźnie sterczy lufa karabinu maszynowego. W tych warunkach skakać nie można, ale i pozostać nie można. Kiedy przyjedziemy do Lejii, to nas odkryją. Mogą nas odkryć nawet w czasie drogi. Jeżeli w obozie powstanie alarm, na pewno przez radio wyślą rozkaz do kolumny, by przeszukano wszystkie samochody.

— Nie ma innej rady, Ilia: — szeptałem do przyjaciela — tylko musimy unieszkodliwić w biegu kierowcę

i jego towarzysza, a potem uciekać z całym samochodem, w las. Wyciągaj swoje strzałki!

— Niezadługo będzie droga w lewo w dżungłę — odpowiedział szeptem Kini. — Znam ją dobrze. Wystarczy, żebyśmy ujechali nią kilkaset metrów, a potem można zostawić wóz i dać nura w gąszcz. Tam nas nie znajdą.

— Trzeba teraz tak unieszkodliwić kierowcę i tego drugiego "szkopa", żeby ci z tyłu nie zorientowali się, co się dzieje.

Od szoferki oddzielała nas brezentowa ściana z wyciętym małym okienkiem bez szyby. Podąłem Kiniemu nóż Franza, sam trzymałem w ręku gotowy pistolet. Kini zasunął nóż za opaskę... wyciągnął strzałkę i przez okienko cisnął ją w szyję towarzysza kierowcy, oficera. Temu momentalnie głowa opadła w dół: stuknął nią w szybę — nie pękła — po czym osunął się na podłogę. W tej samej chwili podsunąłem pistolet pod nos przerażonemu szoferowi,

— Jedź dalej! — zakomenderowałem po niemiecku. Posłuchał bez sprzeciwu. Kierownica ani mu drgnęła w rękę.

Kini tymczasem rozciął brezent nożem i wciągnął oficera do środka wozu. Odpiął mu pas z pistoletem i przypasał sobie. Wsunąłem się do szoferki na miejsce oficera trzymając stale pistolet skierowany w stronę kierowcy. Porozumiałem się z Kinim. Stał on teraz z tyłu za szoferem z gotową, strzałką w rękę.

— Kłuj go! — zawołałem i w tym samym momencie chwyciłem kierownicę lewą ręką.

Szofer ukłuty w szyję opadł bezwładnie na kierownicę. Trzymałem ją teraz mocno obiema rękami, jednakże samochód zatoczył się po szosie. Jadący za nami samochód pancerny zatrąbił. Wyrównałem bieg naszej ciężarówki. Kini wyciągnął szofera do tyłu. Przesunąłem się na jego miejsce, przy tym samochód nasz znowu zatoczył się jak pijany, ale po raz ostatni. Siedziałem już pewnie przy kierownicy. Szybkość wozu regulowało się specjalną rączką — odmiennie niż w samochodach o napędzie spalinowym. Nie było też zmiany biegów. Kini wwindował się na sąsiednie siedzenie. Zaczął się teraz rozglądać w terenie.

— Czy się orientujesz, gdzie jesteśmy? — zapytałem go.

— Za tą skałą na lewo (na niebie świeciła zorza i potężny kontur skały, wyglądającej jak modlący się mnich, wyraźnie odbijał się od nieba) zaraz będzie mostek i tuż za nim droga w las... Ale, wiesz? Mam świetny pomysł, żeby trochę wstrzymać tę pancerkę za nami.

Nie mówiąc, jaki to pomysł przyszedł mu do głowy, bo nie było już na to czasu, skoczył do tyłu. Rozluźnił w tyle ciężarówki brezent i zaczął powoli wysuwać jedną z pak w ten sposób, żeby wyglądało, że sama straciła równowagę wskutek ruchu samochodu. Auto za nami zaczęło trąbić ostrzegawczo. Dojeżdżaliśmy do mostku. Zwolniłem. Paka spadła. Słysząc by-

ło z tyłu głośne hamowanie i przeraźliwe trąbienie. Przestraszyłem się, ponieważ wskutek tego trąbienia cała kolumna mogła się zatrzymać i zatarasować nam drogę ucieczki. Na szczęście byliśmy już na mostku. Z samochodów przed nami wychyliły się głowy, 164 patrząc, co się dzieje. Kolumna zwolniła biegu. Już koniec mostku, droga w lewo. Kiru nachylił się nade mną.

— Skręcaj! — krzyknął.

Skręciłem i przycisnąłem aż do końca rączkę szybkościową. Samochód wyrwał naprzód jak szalony, trząsł się i podskakiwał na wyboistej drodze, która biegła zakrętami, szczęśliwie niezbyt ostrymi. Przejechaliśmy ze sto metrów i znaleźliśmy się w lesie. Nie słychać było strzałów, nikt nas na razie nie gonił. Widocznie Niemcy nie zorientowali się, co się właściwie stało, dlatego jeden z ich samochodów opuścił w pośpiechu kolumnę. Ta cisza niedługo trwała, przerwał ją jazgot serii z karabinu maszynowego. Pociski ze świstem poszły na oślep w gąszcz. Zasłaniały nas już drzewa, ale Kini widząc między nimi migotliwe błyski reflektorów samochodowych wykrzyknął:

— Panczerka jedzie za nami! Zaraz rzucę im coś, co ich wstrzyma... powinno wstrzymać...

Wyrzucił na drogę oficera, a po chwili szofera.

— Zatrzymali się — wykrzyknął tryumfalnie.

Parliśmy dalej w las.

— Możemy się już zatrzymać i uciekać w las. Stań tak, żeby zatarasować im drogę!

Zakręt. Stałem w poprzek drogi i zgasilem światła. Wskoczyliśmy i zanurzyliśmy się w puszcę po prawej stronie. Kini biegł przede mną. Widziałem wyraźnie jego sylwetkę dzięki blaskowi zorzy i kwiatom „świeciuszkom”, które tu rosły w obfitości.

Kini, dziecko lasu, sunął jak wąż między uniami, przeskakiwał krzaki lub zginał się i przechodził pod nimi. Ja już parę razy leżałem jak długi, podrapałem się, pokaleczyłem, ale parłem za nim. Stawką naszego biegu była przecież wolność, co więcej: było życie! Seria za serią z karabinów maszynowych; kule prały po gałęziach i pniach niby gęsty deszcz, lecz Niemcy strzelali na oślep. Wątpiliśmy, żeby odważyli się puścić za nami w pogoń na piechotę. Usiłowanie znalezienia nas po ciemku w dżungli byłoby szukaniem igły w stogu siana. Kini zwolnił biegu, a potem zatrzymał się. Łapałem piersiami powietrze. Mój towarzysz też oddychał ciężko.

— Możemy się zatrzymać na chwilę — rzekł.

— Już nas nie złapią. Jesteśmy bezpieczni.

Nie miałem z sobą aparatu radiowego, by naszych przyjaciół zawiadomić o pomyślnej ucieczce. Zostałem go w kraterze pod opieką Zolbu, rozgarniętego młodego Oremanga. Wobec planowanego ataku chcieliśmy mieć stałe połączenie z obozem jeńców.

Po krótkotrwałym odpoczynku posuwaliśmy się teraz wolniej i wygodniej, bo Kini wynalazł jakąś ścieżkę. Strzały ucichły. Widocznie Niemcy uprzytomnili sobie bezcelowość pościgu i strzelania na oślep

w dżungłę. Czuję się radosny i szczęśliwy. Dziękowałem Bogu z serca za Jego opiekę nad nami. Niepokoiłem się tylko, czy Niemcy za naszą ucieczkę nie rozstrzelają kilku niewolników.

Szliśmy jeszcze ze dwie godziny, aż Kini doprowadził mnie do miejsca dobrze sobie znanego.

W wąwozie leśnym, którego dnem płynął strumień, dobrze zamaskowana z zewnątrz krzakami znajdowała się niewielka jaskinia. W niej często partyzanci szukali schronienia tym chętniej, że miała ona dwa wyjścia, co umożliwiało wycofanie się w razie zaskoczenia. Przed samą ucieczką daliśmy znać Siegerowi, że tam się udamy. Spodziewaliśmy się, że może ktoś na nas będzie już czekał, ale grota była pusta. Pożywiliśmy się grzybkami, które rosły w pobliżu, napiiliśmy się wody ze strumienia i zasnęliśmy na posłaniach z mchu.

Spąłem tak mocno, że przebudzenie następowało powoli. Nie mogłem zorientować się w pierwszej chwili gdzie jestem, a kiedy przypomniałem sobie, że to jaskinia, nie mogłem zrozumieć od razu, co się stało. Gdy wreszcie pojąłem, ogarnęła mnie rozpacz. Wokół Kiniego i mnie stało kilka olbrzymich psów wenuzjańskich. Najmniejsze poruszenie groziło naszym gardłom... Zaraz się bestie rozwarczą... Psy gończe! Tego nie przewidzieliśmy. Nie wiedzieliśmy, że Niemcy je mają. nigdy ich nie pokazywali. Pewnie sprowadzili je niedawno do tropienia nowych robotników, a może do wykrywania kryjówek partyzanckich... Ale czyżby Sie-

ger tę ważną rzecz przeoczył? Dlaczego nas nie uprzedził? Cóż za sytuacja! Pistolety tuż koło nas, ale nim zdążylibyśmy po nie sięgnąć, psy by nas rozerwały... Jeden z nich (a może i nie jeden, bo trudno było się zorientować pod wpływem strachu i w półmroku groty) miał na sobie jakiś aparat. (Jak się dowiedziałem później, był to nadawczy aparat radiowy, który rejestrował wszelkie dźwięki, co miało zorientować Niemców w odkryciu ofiar przez psy. Podobno też, przy użyciu dwu aparatów odbiorczych kierunkowych, mogli w każdej chwili ustalić pozycję psów.

Oszczędzało im to biegania po gąszczu leśnym. Jeździli w pobliżu po drogach i dopiero gdy psy odkryły poszukiwanych, wysyłali po nich patrol.)

W śmiertelnym strachu, leżeliśmy znieruchomiali, półżywi. Nie upłynęło i pół godziny, gdy do groty wpadli żołnierze. Nie było mowy o żadnym oporze, chyba żebyśmy z rozpaczyci chcieli ginąć na miejscu.

Psy poszły na smyczę. Zabrano nam pistolety i noże, związano z tyłu ręce. Traktowano nas brutalnie nie szcędząc razów. Patrol liczył dziesięciu żołnierzy uzbrojonych w jeden ręczny karabin maszynowy i zwykłe karabiny. Schodziliśmy w dół wąwozu, brzegiem strumienia.

— Jakoś nie mam szczęścia do wąwozów — westchnąłem. Spojrzałem na Kiniego. Miał minę tragiczną. Sytuacja w rzeczy samej nie była wesoła.

— Tak Ci, Panie Boże, dziękowałem za udanie się ucieczki — powiedziałem w myśli z wymówką — a tu

taka makabryczna niespodzianka. Ratuj nas, bo się to może teraz skończyć fatalnie. Będzie cud, jeśli nas nie zarąbia.

Wymówki wobec Pana Boga, które, z zasady, nigdy nie są na miejscu, teraz w każdym razie były przedwczesne. Nie odeszliśmy jeszcze i stu metrów od groty, gdy powietrze przeszył świst kilkunastu pierzastych strzał. Prowadzący nas żołnierze zwalili się na ziemię jakby rażeni piorunem. Psy ze wściekłym ujadaniem rzuciły się na ściany wąwozu, ale wnet padły pod strzałami. Stało się to wszystko tak niespodzianie, że nie chciałem wierzyć własnymi oczom.

Tymczasem na dno wąwozu zsunęli się śniadzi wojownicy z łukami lub dmuchawkami w rękach. Niektórzy posiadali też broń palną. Jeden z nich, który robił wrażenie dowódcy, wysoki blondyn o lekko falującej czuprynie, trzymał w ręku pistolet promieniowy. Dopadł do psów, sprawdził, czy aparaty radiowe na nich są zamknięte, potem podskoczył ku nam i rozciął nam więzy. Kiedy obróciłem się ku niemu i spojrzałem mu w twarz, przebiegł mnie wpierw dreszcz niedowierzania, potem radości. Te same wrażenia dostrzegłem na jego obliczu o regularnych rysach.

— Wiktor! Andrzej! — padły równocześnie oba wykrzykniki.

Uściskaliśmy się serdecznie.

— No, wiesz, nie tylko Ziemia maleje, ale i Wszechświat zaczyna być ciasny, jeśli spotykamy się aż tu na Wenus — powiedziałem ze śmiechem. — To

ty jesteś ów słynny Sieger? Powinienem się być domyślić. Ten sam pseudonim co w konspiracji w Warszawie.

— A skądże się ty tu wziął? — odpowiedział pytaniem. — Jasny gwint! Co za spotkanie! Teraz we dwóch, to Lejla jest nasza! Ale dość roztkliwiania się. Mamy jeszcze dziś małą robótkę do wykonania. Tam na drodze czekają Niemcy na powrót tego patrolu, któryś my tak łatwo unieszkodliwili; mają pancerkę i dwa samochody, chciałbym je zdobyć.

Wiktora znałem od dzieciństwa. Przyjaźniły się nasze rodziny i my zawsze dobrze czuliśmy się razem. W czasie okupacji niemieckiej pracowaliśmy w innych organizacjach podziemnych, ale utrzymywaliśmy stały kontakt. Ostatnią wiadomość miałem, że był ranny w Powstaniu, później wszelki słuch o nim zaginął.

Sieger odwrócił się ode mnie do swoich wojowników i wydał rozkazy przygotowawcze do dalszej akcji.



Dziesięciu krajowców zaczęło ściągać z Niemców mundury i przebierać się w nie. Do mnie tymczasem zbliżył się krępy partyzant, szeroko rozrośnięty w barach. Nakrapiana piegami gęba śmiała się od ucha do ucha. Wyciągnął do mnie olbrzymią łapę:

— Pozwól, że się przedstawię — powiedział

— Jestem Jacek Piec, zastępca Wiktora. Piec to nazwisko, nie pseudonim. W partyzantce noszę imię Paciorek.

Roześmiałem się na to przezwisko tak bardzo nie pasujące do rozłożystej figury, wyglądającej jakby ją kto wyciosał siekierą, z sękatego pnia. Podobała mi się ta gęba. Serdecznie oddałem uścisk dłoni.

— Co wy wszyscy tak dziwnie pachniecie? — zapytałem kolegę Paciorka. — Czy to jakieś wenuzjańskie perfumy dla obezwładnienia przeciwnika?

— Prawie zgadłeś — odpowiedział. — To jest specjalny płyn, którym wysmarowaliśmy się, żeby nas psy nie zwietrzyły. Zabija zupełnie woń ludzkiego ciała. Dzięki temu mogliśmy tak skutecznie przeprowadzić zasadzkę.

Chciałem go jeszcze o coś zapytać, ale Wiktor znów zbliżył się do mnie:

— Podzielimy się na dwie grupy — objaśnił. — Tych w mundurach oddaję tobie pod komendę. Ty i twój towarzysz będziecie nadal udawali jeńców, a oni patrol, który was złapał. Gdy wyjdziecie z wąwozu, to od aut niemieckich będzie was dzielić ze trzydzieści metrów. Już to wypatrzyliśmy. Ja i reszta pójdziemy

wcześniej lasem i z innego punktu rozpoczniemy atak na parę minut przed wami. Będą zbyt nami zajęci, żeby się wam przypatrywać. Wmieszacie się między nich i wykończycie niespodziewanie nożami Gładziutka robotka — zatarł ręce z zadowoleniem — Ty, Andrzej, miej na oku przede wszystkim pancerkę. To jest najważniejszy i najniebezpieczniejszy przedmiot natarcia.

Oddział Siegera liczący ze dwudziestu wojowników wdrapał się na prawą ścianę wąwozu i bezszelestnie zniknął w dżungli. Dziesięciu moich wojowników przebranych za żołnierzy czuło się fatalnie w butach, do których nie nawykli, ale mężnie zacisnęli zęby i trochę kulejąc szybkim truchtem ruszyli naprzód. Każdy z nich miał nóż wsunięty z tyłu za pas. Kini i ja mieliśmy trzymać ręce za sobą, jakby były związane. W jednej ręce miałem nóż, w drugiej granat, przeznaczony w razie potrzeby dla pancerki.

— Te noże — szepnął Kini — są zatrute pajęczym jadem. Wystarczy lekko skaleczyć i przeciwnik już gotów... Uważaj, żebyś się sam nie zranił, bo ostre.

Wąwóz rozszerzał się. ściany jego malały. Niemcy powinni być już niedaleko. Wtem z prawej strony ściany zsunęła się mała postać i skoczyła ku nam. Był to Aba. śledził on przedtem Niemców przy samochodach, a teraz Sieger wysłał go do nas jako gońca.

— Vajni, Andra — powiedział. Oczy błyszczały mu radością z powodu spotkania i przejęciem wobec zbliżającej się walki. — Za tą skałą, tam na prawo, wyjdziecie już na drogę. Kirkuti! (życzę szczęścia!)

Potem chłopak rzucił się na szyję Kiniemu, uścił go i bez słowa zniknął znowu w gęstwinie leśnej.

W trzy minuty później ciszę panującą dookoła przerwał stukot ciężkiego karabinu maszynowego, za nim posypały się nierównomiernie strzały karabinowe i rewolwerowe z gęstwiny. Zabrzmiał okrzyk naszych wojowników, ale na próżno starałem się posłyszeć terkot promieniowego pistoletu Wiktora.

Puściliśmy się biegiem naprzód. Kazałem moim strzelać w górę, żeby Niemcy wiedzieli, że „ich oddział” się zbliża i że także startł się z nieprzyjacielem. Wybiegliśmy na drogę, i znaleźliśmy się w jednej linii z pancerką i dwoma samochodami. Pancerka stała najbliżej. Z jej wieżyczki karabin maszynowy prażył krótkimi seriami grupę skał odległą o jakieś siedemdziesiąt metrów, z której raz po raz wylatywały pierzaste strzały i dolatywały wojownicze okrzyki. Niemcy pokryli się za samochody i odpowiadali ogniem karabinowym.

Wyskoczywszy z gardzieli wąwozu rzuciliśmy się ku samochodom. Powitał nas radosny okrzyk Niemców, któremu w tejże chwili odpowiedział złowrogo suchy terkot Wiktorowego pistoletu. Skierował on obездnającą promienie w dalszy koniec kolumny wozów. Kilku żołnierzy padło.

Strzały z łuków nie wyrządziły im dotychczas żadnej szkody, zlekceważyli więc przeciwnika i nie, kryli się zbyt dokładnie. Dlatego nie spodziewany ogień Siegera był frak bardzo skuteczny.

Ale i moja grupa weszła do bezpośredniej akcji. Niemców nie było więcej niż piętnastu. Kiedy zmieszaliśmy się z nimi, poszły w ruch ukryte za plecami noże. Zaskoczenie zupełne. Trzeba było widzieć przerażone zdumienie na twarzach niemieckich, gdy oddział, który uważali za własny, napadł ich od tyłu. Walka wręcz trwała dosłownie mgnienie oka.

Kini i ja dopadliśmy panczerki. Mój towarzysz miał mnie osłaniać z tyłu. Drzwiczki panczerki były otwarte, oficer bowiem dowodzący oddziałem nachylił się właśnie do jej wnętrza i prowadził rozmowę przez radio. Ukłułem go „nie-honorowo“ nożem w plecy. następnie ponad jego obsuwającym się ciałem dosięgnąłem szofera, któremu od razu głowa opadła na piersi. Panczerka — był to właściwie czteroosobowy samochód kryty blachą ochronną, z wieżyczką, z której strzelało się na stojąco. W ciemnym wnętrzu dojrzałem długie nogi Strzelca. Pociągnąłem po nich lekko ostrym nożem. Strzelec padł. Ciężki karabin maszynowy zamilkł.

Dokonawszy dzieła wyskoczyłem na zewnątrz. Tam już „gładziutka robótka“, jak ją nazwał Wiktor, była skończona. Niestety nie obeszło się bez strat. Jeden z moich przebranych wojowników został raniony kulą rewolwerową w pierś i leżał teraz na ziemi boleśnie jęcząc. W grupie Wiktora poległ jeden od ognia ciężkiego karabinu maszynowego, wychylił się bowiem zbyt z dala i dostał śmiertelną serię w głowę.

— Gdzie drwa rąbia, tam wióry muszą lecieć — powiedział filozoficznie Wiktor, ale widać było, że dotkliwie przeżył stratę towarzysza broni.

Rannego, po założeniu prowizorycznego opatrunku złożono w jednym z samochodów. Wiktor tymczasem podszedł do pancerki i podjął słuchawkę aparatu radiowego, z której dochodziły gorączkowe pytania operatora; „Co się stało? Czemu rozmowa tak się nagle urwała?”

— Hier spricht Sieger (Tu mówi Sieger) odezwał się do mikrofonu Wiktor. Pochodził on ze spolszczonej stosunkowo niedawno rodziny niemieckiej, dlatego językiem niemieckim władał świetnie. Kiedy wojska hitlerowskie weszły do Warszawy. Gestapo chciało z mego przyjaciela, zrobić swego agenta. Wiktor w tym czasie wiele musiał wycierpieć, ale nie załamał się. W końcu udało mu się wykupić i dano mu spokój. Teraz przekazał radiooperatorowi parę swoich złotych myśli na temat rasy teutońskiej, od których musiała Niemców krew zalać. Ponieważ mogli się w krótkim czasie pojawić tu w większej sile, trzeba było się spieszyć. Załadowaliśmy pobitych na samochody. Na tamtych w wąwozie machnęliśmy ręką. Jak się ockną, niech sobie na golasa idą do krateru. Tylko psy unieszkodliwiliśmy już przedtem na zawsze.

Wiktor zabrał mnie do pancerki, którą sam poprowadził. Drugim samochodem kierował Paciorek, Trzecim jeden z kuwilińskich partyzantów. Ruszyliśmy w głąb dżungli. Droga wznosiła się stale. Chodzono

tędy często za polskich czasów, obecnie Niemcy zaniedbali ją zupełnie. Prowadziła w góry do Szamaj, pięknej miejscowości letniskowej nad wspaniałym jeziorem. Z obawy przed napadem partyzantów Niemcy nie zajeżdżali tam, chyba przygodnie.

— Przepraszam cię, Andrzeju — odezwał się Wiktor — że nie czekaliśmy nr. ciebie w grocie. Ale nie zdążyliśmy, źle wyliczyłem czas. Także głupio zapomniałem powiadomić cię o tych psach. Dobrze, że udało nam się i tak jeszcze przyjść na czas i urządzić zasadzkę.

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy — odpowiedziałem — ale teraz powiedz mi, skąd żeś się wziął na Wenus - i do tego w roli partyzanta?

— Wiesz, Jędrrek, mnie się stale wydaje, że śpię i często się szczypię, żeby się obudzić, ...ale nic z tego. To jest jednak chyba rzeczywistość, choć zupełnie niesamowita. W. Powstaniu Warszawskim walczyłem na Powiślu. W starciu z Niemcami byłem ranny w biodro i dostałem się do niewoli. Jakimś cudem nie rozstrzelali mnie od razu, ale zamknęli razem z kilkoma innymi powstańcami i ludźmi cywilnymi w wielkiej budzie drewnianej na przedmieściu. Były tam jakieś warsztaty czy coś w tym rodzaju. Nad wieczorem otoczono budę kordonem SS i podpalono. Gotowi byliśmy wszyscy na śmierć z tym, że jedni woleli ogień, drudzy czekające nas zewnątrz kule. Ja się jakoś nie mogłem zdecydować. Pewnie bym się spalił, bo byłem zbyt osłabiony wpływem krwi, żeby się w ogóle ruszyć z

miejsca. Zaczęło się nam już robić gorąco, gdy wtem dach budy zniknął, jakby zdmuchnięty trąbą powietrzną. Usłyszeliśmy przerażone krzyki Niemców. Z nieba wpadło do wnętrza budy jaskrawe zielonkawe światło... potem już nic nie pamiętam. Obudziłem się na Wenus w obozie przejściowym, przez który i ty pewnie przeszedłeś...

— Ten na wyspie, niedaleko stolicy Wenus? — zapytałem.

— Ten sam. Po kursie przygotowawczym — ciągnął dalej Wiktor — wysłano mnie na wyspę Er do Nowego Krakowa, gdzie przez jakiś figiel losu zebrało się właśnie bardzo dużo warszawskich AKowców. Kiedyśmy przybyli, zaraz życie zaczęło tam żywiej płynąć. Nawiasem mówiąc, to ten wenuzjański Kraków przypomina położeniem raczej Neapol, a Wawelu na próżno byś tam szukał. Ale fajne miasto. Tamtejsi Polacy, którzy osiedlili się tam jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat temu, przyjęli nas bardzo gościnnie, przynajmniej na początku. Potem nasza wiara zaczęła robić różne niewinne grandy i zapał do nas trochę ostygł. Kiedy Niemcy opanowali Lejlę, rząd krakowski przysłał mnie tutaj dla zorganizowania ruchu oporu. Na razie jesteśmy zbyt słabi, żeby prowadzić formalną, wojnę. Razem z Nową Warszawą dalibyśmy pewnie radę, ale się trochę z ni-mi kłócimy, a poza tym trudno współdziałać, gdy dzielą nas takie kolosalne obszary wodne. Wenuzjanie, niech ich kaczką kopnie, jeżdżą sobie latającymi talerzykami, a nam pozostawili bardzo pry-

mitywne środki komunikacji. Nie mamy samolotów. Jest trochę balonów wolno latających, statki pędzone drzewem lub żaglowce. Wenuzianie dają nam, Ziemia-
nom, trochę porządnych motorów, których używamy do produkcji samochodów i pomniejszych stateczków. My sami niewiele możemy zrobić. Fabryki są w załą-
żku, nie ma ani węgla, ani ropy naftowej. Pora tym ko-
mu chciałoby się pracować w fabryce, gdy ma się wo-
kół siebie raj, który bez trudu dostarcza wszystkiego,
czego dusza zapragnie?

Wiktor zatrzymał samochód.

— Zabierajcie się teraz: ty, Kini i Aba. Idźcie pro-
sto do wioski Oremangów na bagnach. My odstawi-
my te samochody w góry i tam je „zamelinujemy” w
pewnym miejscu. Zobaczymy się jutro lub pojutrze, to
sobie pogadamy do woli, a przede wszystkim omówimy
piany dalszego działania. Czuj duch!

Droga podnosiła się stromo i wchodziła w wulkani-
czne skały obwieszane pnącą roślinnością i porośnięte
jasno zielonym mchem kryjącym ich bezbarwną, sza-
rość. Poniżej nas, między gałęziami palmowych drzew,
przebłyskiwała żółtawa toń rzeki Ora. Samo-
chody ruszyły. Zostaliśmy sami.

ROZDZIAŁ IX

PRZED ATAKIEM NA KRATER

W trójkę, Kini, Aba i ja, zaczęliśmy schodzić w dół ku wodzie ledwo widoczną wąską ścieżką. Nad brzegiem rzeki, w trzcinach. Aba odszukał niewielkie czółno. Zapluskały wiosła. Łódź ruszyła szparko. Prąd był tu słaby. Przecieliśmy główne koryto rzeki i znaleźliśmy się u drugiego brzegu, który właściwie brzegiem nie był. Zaczynało się tu bowiem ogromne rozlewisko o rozpiętości kilku kilometrów pełne podmokłych wysepek, bagnisk, szuwarów i pomniejszych szlaków rzecznych, które razem z głównym korytem tworzyły wielką deltę rzeki Oru.

Pochylając się raz po raz w gęstwie zwisających nisko nad wodą gałęzi, wpłynęliśmy w naturalny kanał wodny w bagnistej dżungli, który, wąski z początku i kręty; rozszerzył się wkrótce w obszerny moczar, gdzie chmary ptactwa wodnego podrywały się w górę w popłochu. Było gorąco ze słodką wonią gnijących roślin. Oczy syciła rozmaitość barw i kształtów. Nawodna puszcza urzekała nasze zmysły dzikim, pierwotnym pięknem.

Płynęliśmy teraz między kolumnami wysokopięnnych drzew o stalowo-żółtawej gładkiej korze. Wystrzelały one ku niebu prosto z wody. Ich pnie i gałęzie oplatały niezwykle w formie, delikatne pnącze, które

przerzucając się z konaru na konar, a drzewa na drzewo, tworzyły powiewne festyny, to płowe, to pozłociste, w srebrno-błękitnawe. Niektóre wpadały w szczególnie piękny fijołkowy odcień.

Tak chyba mogłyby wyglądać włosy boginek leśnych — pomyślałem.

Wjechaliśmy właśnie w wąski przesmyk pomiędzy dwiema kępami bagiennych drzew. Kosmyk zwisającego nisko pnącza musnął mi policzek. Rozwarłem i zamknąłem dłoń: w ręku pozostało mi kilka jedwabistych nici. połyskliwych i miękkich jak włosy kobiece.

— To jest „hila“ — objaśnił Kini. — Po polsku nazywają to „włosami anielskimi“. Wyrabiamy z tej rośliny poduszki pod głowę, przepaski i różne ozdoby.

Po prawej stronie łodzi zakotłowało się coś w żółtawej toni. Trzy jaszczury parometrowej długości sunęły złowrogo ku nam. Ich mokra, pomarańczowa, czarno-nakrapiana skóra lśniła w blasku słońca. Wyglądałyby zupełnie jak krokodyle lub aligatory, gdyby nie to, że zamiast, jaszczurczej paszczy, posiadały śmieszne, szerokie dzioby, przyplaszczone jak u kaczki. Przepłynęły pod łodzią, skoczyły w powietrze i zapadły znów w wodę z głośnym pluskiem, opryskując nas fontanną błyskotliwych kropel. Wydawały przy tym zabawny pisk, jakby zachęcając nas do wzięcia udziału w wodnych harcach. Łódź zakołysała się niebezpiecznie.

— Husz! Husz! — zawołał Aba płaszcząc wiosłem w wodę. — Dajcie no spokój, bo przewrócicie nam łódkę!

— To są „zurari“ — posłużył mi zoologiczną informacją Kini. — Zabawne stworzenia... jest z nimi moc śmiechu i radości w kąpielu. Można na nich nawet jeździć, gdy się wie jak to robić. Dzieci przepadają za nimi. a cne za dziećmi.

— Nie są niebezpieczne? — zapytałem z nieufnością, w głosie. Jakoś te dziobaki zbyt kojarzyły mi się w myślach z groźnymi krokodylami ziemskimi.

— Nie — odparł. — żywią się, tylko roślinami, wodorostami. Do człowieka czują specjalną sympatię. Są bardzo towarzyskie i trzymają się zwykle blisko osiedli rybackich, gdzie też korzystają z rzucanych im odpadków.

Zurari widząc, że nie okazujemy ochoty do zabawy, pozostały w tyle. Minęliśmy stadko różowo-niebieskich ptaków o długich bocianich nogach i łyżkowatych dziobach; tak obojętnie potraktowały nasze pojawienie się, że mogliśmy im się przyjrzeć spokojnie. Przesunęliśmy się, znowu przez wąski tunel splecionej gęstwiny złośliwie bijącej gałęziami po twarzy i wypłynęliśmy na obszerne, nieporosłe sito- wiew jezioro, otoczone szczelnie bagnistą puszcza. Z prawej strony wyrastał z wody pas złotej plaży, przechodzącej w stały ląd sporego półwyspu. Na piasku widać było czółna tubylców, dalej w cieniu paprociowych drzew wznosiły się na bambusowych palach zgrabne szałas.

Radosny głos bębna dochodzący z dżungli sygnalizował już z daleka nasze zbliżanie się, toteż cała osada wyległa na powitanie. Z wesołym piskiem brązowe nagie dzieci skoczyły do wody i za chwilę dwa tuziny małych rączek uczepliły się burty łodzi kierując ją ku brzegowi. Na plaży czekał na nas barwny tłum krajowców przybranych bądź to w przepaski z piór ptasich, bądź to w wiotkie spódniczki z kolorowych traw lub włosiatej hilli. Pośród nich jaskrawiła się czerwoną plamą zela Imli. Obok siostry Kiniego stała Magda w błękitnej zeli i Zbyszek, przybrany we wzorzystą pomarańczowo-fioletową zanę.

Ledwo dobiliśmy do brzegu a już pochwyciły nas mocne ręce młodych Oremangów. Wśród radosnych okrzyków poniesiono, nas na ramionach głąb osady. Tam, pod daszkiem z olbrzymich liści nenufarowych, siedziała na podwyższeniu królewska para. Szeft plemienia, Bari, przybrany w purpurową zanę i kołpak ze wspaniałych, ogromnych piór, był mężczyzną w sile wieku o muskularnej budowie. Na jego nagiej, brązowej, porysowanej bliznami piersi błyszczał złoty łańcuch z misternie rzeźbioną w kości figurką zurari — krokodyla, dziobaka, który był godłem Oremangów. Na widok zbliżającego się odzyskanego syna szef plemienia powstał z powolną godnością i czekał. Jego małżonka okazała mniej powściągliwego majestatu. To filigranowe kobieciątko o czarnych długich włosach ujętych z tyłu złotą klamrą rzuciło się ku synowi z wyciągniętymi ramionami. Jej wielkie niebieskie oczy

perliły się teras łzami matczynej radości. Kini objął ją mocnym męskim uściskiem potem niemniej serdecznie przywitał się z ojcem.

I mnie się dostały nieco nieśmiałe. Lecz szczerze uściśnienia od całej rodziny, która żywiła wielką wdzięczność za mój współudział w uwolnieniu Kiniego. Jego samego obstał z kolei tłum wypytujący o krewnych i znajomych, z których wielu uwięzionych było w kraterze.

Podeszli Zbyszek i Magda uradowani moim szczęśliwym powrotem i ciekawi szczegółów ucieczki. Dowiedziałem się od nich, że obiecany przez Narę transport broni ma przybyć za dwa trzy dni.

— Gdzieście zostawili Takilę? — zapytałem.

— Jest tutaj — odparł Zbyszek. — Dzięki tajemniczemu urządzeniu redukującemu jej zanurzenie prawie do zera płynęliśmy gładko nawet po płycznach. Przybyliśmy tu zresztą od innej niż ty strony, skąd dostęp jest łatwiejszy. Ale wiesz, zapomniałem ci powiedzieć, że zatopiliśmy tę kanonierkę, która się tu stale kręciła.

— O jej, coś ty zrobił! Gdy Nara się dowie, będzie wściekły. Zapowiedział, żeby Takili nie używać do żadnych działań zaczepnych.

— Od kogo ma się dowiedzieć? Ja mu nie powiem, ani ty. Od Niemców nie dowie się tym bardziej, bo sami nie wiedzą, ani jak, ani kto ich napadł. Podjechałem pod wodę i wystrzeliłem do nich z działa. Było dużo huków, a potem: bul, bul, bul... i kanonierka poszła

na dno. Ale większość załogi powinna była się uratować, bo katastrofa nastąpiła niedaleko brzegu. Widziałem jak płynęli wpław. Myślą pewnie, że wpadli na minę.

W osadzie rozpoczęto przygotowania do powitalnej uczty. Kini, uwolniwszy się od ciekawych, zwrócił się do mnie.

— Chodź na chwilę! Chcę ci coś pokazać.

Znaleźliśmy się po drugiej stronie półwyspu. Zobaczyłem Takilę, ale nie do niej prowadził mnie mój przyjaciel. Z dala od innych szałasów, w miłym ustroju paprociowych drzew wznosił się prosty budynek o ścianach plecionych z liści palmowych. Nad wejściem widniał drewniany krzyż poddymiony na krańcach. Kaplica! Woda święcona po prawej ręce. Weszliśmy. W mrocznym wnętrzu migotał czerwony płomyk wiecznej lampki. Przyklękliśmy. Ze wzrastającym wzruszeniem zbliżyłem się do ołtarza. Kiedy oczy przywykły do półmroku, nad prostym ołtarzem z tabernakulum dojrzałem obraz dużych rozmiarów. Z prymitywnych, ubogich ram spoglądały na mnie zagadkowe, trochę smutne, matczyne oczy Jasno-górskiej Pani. Wpatrzyłem się w to oblicze pocięte wrogą ręką. Zapomniałem, że jestem na dalekiej od ojczyzny, obcej planecie. Przed tym obrazem, przed tym tabernakulum kryjącym Boga czułem się tak bardzo „u siebie”. Po raz pierwszy na Wenus.

Nie wiem ile czasu tak klęczałem; a pozostałbym jeszcze dłużej, gdyby nie to, że Kini położył mi dłoń na ramieniu dając znać, że czas iść.

— Gdzie jest Ojciec Piotr? — zapytałem, gdyśmy wyszli.

— Gdzieś w dżungli — odparł, zatoczywszy łęka szerokie koło. — Nigdy nie wytrzyma długo na jednym miejscu. Idzie od osady do osady. Nawraca i chrzci. Lecz gdy się dowie o zamierzonej wyprawie, na pewno się tu ukaze.

W osadzie wrzało jak w ulu. Wonie pieczonego mięsiwa mile łechtały nozdrza. Ja jednak, po przeżyciach ostatnich dni, byłem bardzo zmęczony i raczej wołałbym odpoczynek niż ucztę. Zwierzyłem się z tego Kiniemu.

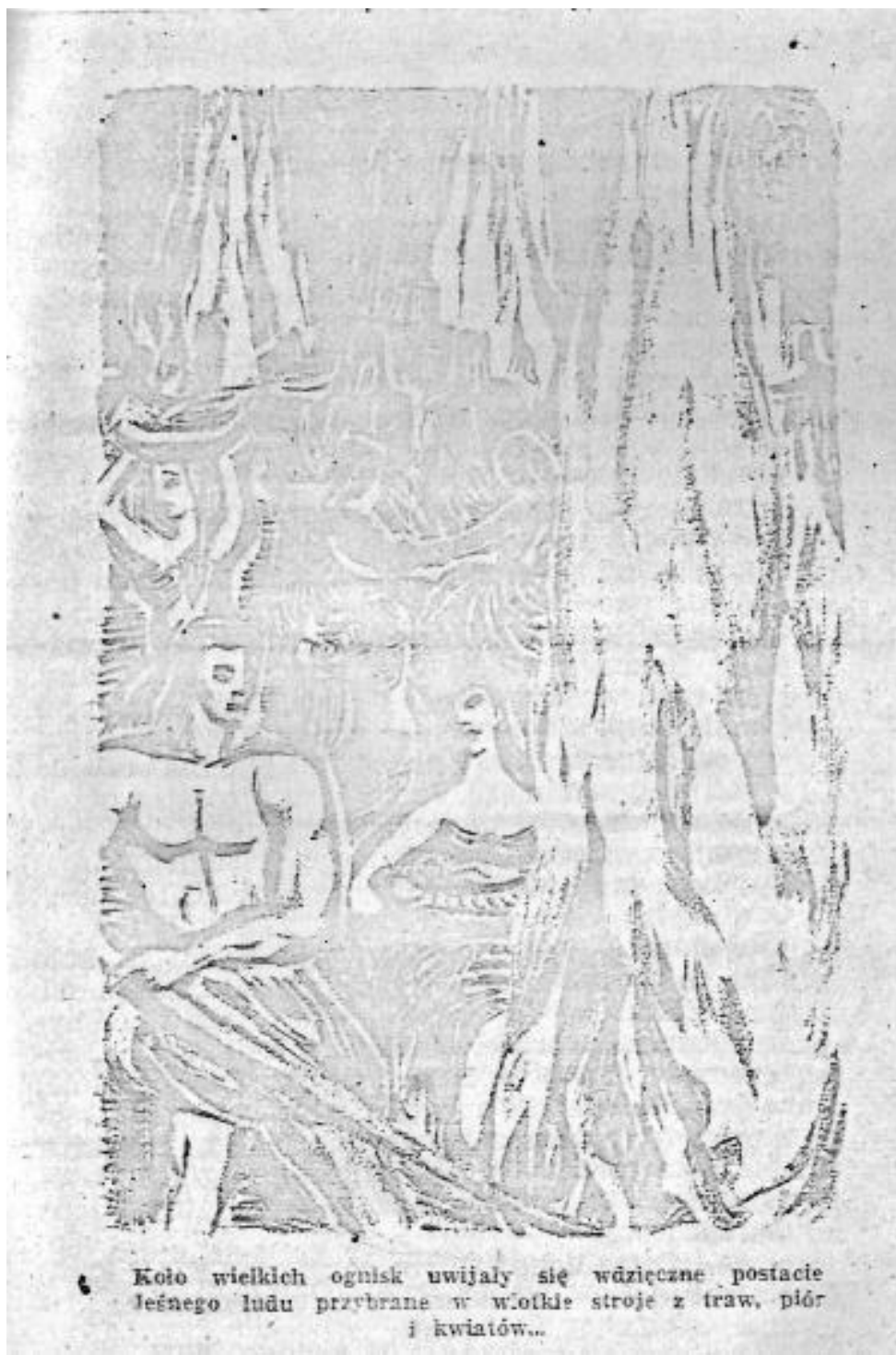
— O, będziesz mógł jeszcze przedrzemać się ze dwie, trzy godziny. Chodź, zaprowadzę cię teraz do naszego szałas, gdzie sobie odpoczniesz i przebie- rzesz się na wieczorne uroczystości.

Po bambusowej drabinie wdrapaliśmy się do obszernego szałas, o podłodze i ścianach uplecionych z mocnych liści palmowych. Nie było tam żadnych sprzętów, z wyjątkiem niewielkich, miękkich materacy sporządzonych z włosów hili. Kini wskazał mi moje posłanie sam rzucił się na sąsiada i za chwilę ogarnął nas sen.

Zbudziła nas po paru godzinach Imla. Na dworze dogasały już blaski dnia. Dżungla dyszała gorącymi oparami wilgoci. Koło wielkich ognisk uwijały się

wdzięczne pooracie leśnego ludu przybrane w wiotkie stroje z traw, piór i kwiatów. Mnie się dostała prześliczna purpurowo-żółta zana, upleciona z delikatnego pierza, prawdziwe arcydzieło kuwilińskiej sztuki. Leżeliśmy sposobem rzymskim na miękkich matach spżywając wokół ognisk doskonale jadło, przy akompaniamencie muzyki trzcinowych fujarek i delikatnych metalowych brząkadełek, na których przygrywała nam gromadka nieletnich chłopców.

Z prawej strony miałem Ngame, matkę Kiniego, usiłującą zabawić mnie rozmową i podającą mi najsmaczniejsze kąski. Ale ja słuchałem jej z roztargnieniem zerkając raczej ku stronie lewej, gdzie widniała zgrabna figurka linii, przystrojonej w białą, pierzastą zelę. Od czarnych włosów dziewczyny odcinało się



Koło wielkich ognisk uwijały się wdzięczne postacie
Jeźnego ludu przebrane w włotkie stroje z traw, piór
i kwiatów...

pysznym kontrastem śnieżna lilia wodna. Płonące ognie zapalały tajemnicze błyski w jej głębokich, ocienionych długimi rzęsami oczach. Jej purpurowe usta uśmiechały się do mnie bez słów. Była urocza, powabna niby boginka leśna. Po każdym rzuconym na nią spojrzeniu, czułem, że tak wyraźny dotąd obraz Leny, zaćmiewa mi się w pamięci...

— Wstyd — szepnąłem sam sobie, lecz bez przekonania.

Gdzieś dobrze po północy skończyła się uczta i zabawa. Leżałem w szalasiu na posłaniu. Obok spoczywał Kini. Sza przepierzenia dochodziły spokojne pragnąłem usnąć. Powietrze było parne, ciężkie, przepełnione mocnymi woniami dżungli. Myśl leniwie oddech Imili i Aby. Nie mogłem i nie bardzo przesuwając się z marzenia w marzenie, z przeszłości w przyszłość, od czasu do czasu zatrzymując się w teraźniejszości. I wtedy, gdzieś z bagnistej topieli, podkreśliła się pokusa. Czułem ją nad sobą, potem w sobie. Przeniknął mnie jej oddech zmysłowy, drażniący, lepki. Napięła się wola w proteście, w obronie. Nieświadomie dłonie zacisnęły się w pięści. — Nie dam się, nie chcę Boże wspomóż! Ale po chwili senność przymykała mi oczy, a z nią wracała pokusa. Nie chcę jej, a już w pół ulegam, w pół pożądam. Ciało przenika jad gorący, kuszący, wdzierający się we wszystkie komórki nerwów, obrzydliwy a rozkoszny, zaćmiewający świadomość, dławiący wolę. W wyobraźnię wlewają się obrazy złe niesamowite, wyraźne jak jawa nieomal dotykalne, wstrętne

moralnie, a nęcające. I już o nich myślę, już się nimi bawię i zrywam się. przerażony i rzucam pokusie rozpaczliwe: Nie! I znów nowa fala, i znów ocknięcie i walka. I wprost się dziwię, że to zmaganie jeszcze trwa, że opór jeszcze nie złamany, choć taki jest chwiejny — Boże, Boże — szepczę i nagle czuję jak jakaś moc słodka, a współczująca wynosi mnie tonącego ponad fale zła, nie pozwala pójść na dno oddechu. Jakaś ręka ojcowska niesie mnie na brzeg bezpieczny, umęczonego, drżącego, ale mimo wszystko zwycięskiego. Zasnąłem.

Lecz nie było mi dane spać długo tej nocy. Otworzyłem oczy pod wrażeniem, że mnie coś czy ktoś dotyka. Coś chłodnego owinęło mi się koło ręki, co gorsza, czułem też zimny ciężar na piersi.

— Szatan? Czy wąż? — zadrżałem. Choć było po prostu gorąco, zrobiło mi się zimno, a potem jeszcze goręcej. Bałem się ruszyć lub głośniej odetchnąć ale nie mogłem stłumić przyspieszonych uderzeń serca i przerwać jego wędrówki w kierunku gardła. To „coś“ zimnego drgnęło, poruszyło się. Usłyszałem nad sobą smutny, cichy dźwięk fletu.

— Co za licho? Chyba to zmora? Kini! Kini! Na ratunek! — wołałem cicho, potem coraz głośniej. — Zbudź się, ratuj!

--- Co się stało? – doszedł nagle zaspany głos Imli zza przepierzenia.

--- Coś zimnego siedzi na mnie, chyba wąż, boje się ruszyć.

Zapłonęła fosforycznym światłem lampka zrobiona z pręcików świecących kwiatów. Zapalało się ją zdejmując z niej skórzany pokrowiec. Spoza przepierzenia wychyliła się potargana głowa Imli, ale i Kini się wreszcie zbudził. Na widok mojej przerażonej miny i węża oplecionego około mej ręki, a trzymającego podniesioną głowę ponad moją pierś, zbereźnik zaczął się głośno śmiać. Zawtórowały mu cieńsze chichoty Imli i Aby.

— Bibi, stary przyjacielu, chodź tu do Kuniego! Pomyliłeś się po ciemku — zawołał do węża Kini, a potem do mnie: — Nie bój się go, on jest zupełnie nieszkodliwy, śpisz na moim posłaniu, więc myślał, że to ja, u zawsze u nocy do mnie przychodził. Bibi, to wąż królewski, który daje się świetnie oswajać i pięknie śpiewa.

Wyciągnął rękę do węża, który ku mej wielkiej uldze zsunął mi się z ramienia i poczołgał do Kiniego. Był długi na metr, żółto-purpurowe łuski zapalały się ognistymi błyskami w świetle niezwykłej lampki.

Nazajutrz wstałem późno. Osada dawno już wrzała gwarem i ruchem. Kini gdzieś zniknął. Kiedy wykąpałem się i zjadłem śniadanie, Im a i Aba zaproponowali mi przejażdżkę czółnem zapowiadając, że mi chcą coś bardzo pięknego pokazać. Zgodziłem się tym łatwiej, że Siegera wciąż jeszcze nie było, a Takila w nocy wypłynęła na pełne morze, gdzie Nara miał dostarczyć obiecanej broni. Płynęliśmy z godzinę, to zanu-

rzając się w wąwozy świeżej zieloności, to wypadając na drobne omszałe jeziora, pełne ptactwa i owadów.

Wreszcie wychyliliśmy się na wodną przestrzeń obramowaną kolumnami cyprysów, gdzie ogromne, śnieżno-białe lilie patrzyły na nas tysiącem złocistych oczu. Cały staw był nimi gęsto pokryty tworząc cudny nawodny ogród z bajki. Wrażenie potęgowały chmury tęczowych motyli, unoszących się nad liliami.

Kiedy dobiliśmy koło południa z powrotem do osady, pełno w niej było Siegerowych żołnierzy. Wysoko czyłem na brzeg. Naprzeciw mnie szedł Paciorek. Ponury wyraz jego oblicza zamroził z miejsca mój powitalny uśmiech. Coś się stało, pomyślałem, jakieś niepomyślne wieści przynosi...

On tymczasem podszedł ciężkim krokiem i swoje pięści — tarany podsunął mi pod nos.

— Jeszcze raz zobaczę cię z Imlą — powiedział dudniącym, ochryplym z tamowanej wściekłości głosem — a uduszę cię tymi oto rękami.

Nie pragnąłem w ogóle być uduszony, a szczególnie „tymi oto rękami”, więc pośpiesznie odpowiedziałem:

— Nie wiedziałem, że jest twoją narzeczoną. Cóż złego zresztą w takiej przejażdżce, tym bardziej w towarzystwie Aby? Ale jeśli sobie nie życzysz...

— Nie życzę sobie. A inaczej to w czapę i do błota... rozumiesz? Ale... ale... — twarz jego złagodniała, straszne łapska się rozwarły, w oczach o szczecinistych rzęsach ukazał się melancholijny smutek —

ale... ona nie jest moją narzeczoną... Ani o tym słyszeć nie chce. Andrzej, daruj mi! Jesteś morowy chłop i zdążyłem cię już polubić, ale unikaj mnie, gdy Imla jest w pobliżu. Oszalałem za tą dziewczyną i zdumiałem do reszty.

— Pewnie ci Paciorek wyczynia scenę rodzinną — zauważył ze śmiechem Wiktor, zbliżając się. — Mnie ani spojrzeć nie pozwala na Imlę, choć nieraz mam ochotę, i to jeszcze jaką... Trzeba mu to jednak darować, bo świetny żołnierz i kolega, tylko serce ma słabe. Zapomnijmy wszakże o sprawach. Erosa, bo Ares, bóg wojny, ma dla nas ważniejsze zadania, a czasu już mało. Dowiedziałem się, że za kilka dni spodziewany jest nowy transport tajemniczych pak do wulkanu.

Wiktor miał plan teoretycznie bardzo prosty. Zamierzał urządzić zasadzkę na transport na drodze między Lejlą a kraterem; obsadzie zdobyte samochody swoimi ludźmi przebranymi w mundury niemieckie i w ten sposób dostać się do wnętrza wulkanu. Żeby jednak przeprowadzić te zamierzenia nie wystarczyłby przysłowiowy łut trzeba by chyba całej tony szczęścia, a i opracowania wszystkiego do najdrobniejszych szczegółów.

Rada operacyjna zebrała się w obszernym szałasie. Zasiadł do niej Wiktor, ponadto szef plemienia Bari oraz Paciorek, Kini, ja i kilku wybitniejszych wojowników pełniących funkcje dowódcze. Z małą przerwą na obiad i kolację obradowaliśmy do północy.

W tym czasie przybyła Takila, przywożąc broń dostarczoną z Kamiru: dziesięć promieniowych pistoleatów maszynowych — zaopatrzenie nie łąda. Jednocześnie Zbyszek przywiózł wiadomość, że najbliższej nocy Nara chce się widzieć ze mną.

Dzień następny przeszedł nam znowu pracowicie. Pod wieczór Wiktor i Paciorek wyruszyli na rozpoznanie terenu, gdzie mieliśmy urządzić zasadzkę. Ja wszedłem na pokład Takili. Poza Zbyszkiem i Magdą zastałem tam też Imlę i Abę. Bardzo byli ciekawi zobaczyć Narę, o którym już słyszeli dziwy. Przez cały czas pobytu Paciorka w osadzie Imla nigdzie się nie pokazywała, tak że ją dopiero teraz znów zobaczyłem. Siedziała ze Zbyszkiem w wieżyczce i pilotowała Takilę ku morzu. Magda, Aba i ja usadowiliśmy się w saloni ku słuchając pięknej muzyki z wenuzjańskiego patefonu. Gałęzie mijanych drzew i krzewów raz po raz uderzały o boki statku.

Nara nadleciał w małym dysku po zachodzie słońca. Zamknąłem się z nim w kajucie kapitańskiej. Miał wygląd człowieka, którego coś gnębi

Na czole i pod oczyma przybyło mu zmarszczek. Przedstawiłem mu we wszystkich szczegółach, co widziałem w kraterze, a następnie pian naszego ataku. Słuchał z uwagą, od czasu do czasu rzucając krótkie pytania. Kiedy skończyłem, zamyślił się, a potem powiedział;

— Plan jest śmiały i dobry. Pierwsza część ma większe szanse udania się niż druga, ale kto nie ryzy-

kuje, nic nie ma. Z mojej strony jest tylko uwaga, że gdy już będziecie wewnątrz krateru, liczcie się z tym, że bron promieniowa najprawdopodobniej nie będzie działać. Wytworzyli oni tam pole, które uniemożliwia atak dysków z powietrza. Dlatego nie mogłem pójść za twoim projektem. Podejrzewam też istnienie pola uniemożliwiającego działanie broni promieniowej; wobec tego musicie się ograniczyć do broni palnej. Jak tylko krater będzie w waszych rękach, proszę mnie natychmiast zawiadomić, a przybędę i przeprowadzę zniszczenie aparatury. I jeszcze jedna rzecz: starajcie się wszystkich cywilów, a szczególnie cały sztab naukowy wziąć żywcem...

— Czy i kogoś bardzo podobnego do niejakiego Nary?... — przerwałem mu.

— Widziałeś go? — po obliczu starca przeleciał skurcz bólu. Skinałem głową.

— Jego specjalnie... — Tu zatrzymał się, spuścił swoje mądre sowie oczy i dodał szeptem, jakby sam do siebie: — Choć... może lepiej byłoby, gdyby zginął...

Nie śmiałem go pytać o wyjaśnienia, tym bardziej, że sam uznał naszą rozmowę za skończoną. Podniósł się z fotela i wyciągnął rękę:

— Życzę szczęścia i dziękuję ci za wszystko coś uczynił dotąd. Nie zawiodłem się na tobie.

Pochwała mile polectała moją próżność. Odprowadziłem Narę na pokład. W przejściu niby przypadkiem „napatoczyli się“ Imla i Aba.

— Co to za jedni? — zapytał Nara. — Wolał- bym, żeby poza wami nikt mnie tu nie widział.

— Tych można być pewnym — odpowiedziałem, dodając kim było to miłe rodzeństwo i jaką rolę odegrało dotąd.

Na pokładzie było bardzo ciemno. Czarna ściana nocy zdawała się wyrastać tuż za burta okrętu, nieprzenikniona dla oka, nieprzyjazna.

Tak bardzo mi brak na Wenus widoku gwiazd -- zwierzyłem się Narze. — Co za przekłety welon otacza tę planetę!

— Nie nazywaj go przekłętym, gdyż spełnia on do- broczynną rolę. Choć nie przepuszcza światła gwiazd, przez co noce są tu smutniejsze niż na Ziemi, to jed- nak osłabia zarazem siłę promieni słonecznych, a to jest błogosławieństwem. Pamiętaj, że znajdujemy się o wiele bliżej słońca i bez tej zasłony jego promienie pa- liłyby zbyt silnie. Tak zaś, ich nasilenie jest mniej wię- cej takie same jak na Ziemi. Ponadto, temu kulistemu kłoszowi, w którym jesteśmy zamknięci, zawdzięczmy stosunkowo równe rozłożenie temperatury, która ni- gdzie na powierzchni planety nie spada poniżej zera. Wiele zresztą ciekawych rzeczy można by na ten temat powiedzieć, ale czas mi w drogę.

Po odjeździe Nary naśmiewałem się z Imly i Aby, mówiąc im, że Nara odgadł ich wszystkie myśli i mnie opowiedział i o jej... co to były za myśli!

— Phi, to nie żadna sztuka czytać w myślach — wtrącił się Zbyszek. — I ja to potrafię. Nie wierzycie?

Zaraz wam udowodnię. Kto pierwszy zgłasza się na próbę?

Wszystkie ręce poszły w górę. Zbyszek wybrał pierwszą Magdę.

-- Pomyśl sobie coś, a ja popatrzę ci w oczy i na kawałku papieru napiszę to samo.

Magda zmarszczyła czoło:

— No debrze, już pomyślałam.

Zbyszek z powagą spojrział w oczy żony, potem napisał coś na kartce papieru — bardzo krótko — i pokazał jej.

Spojrziała uważnie i roześmiała się.

— Tak, naprawdę to samo — powiedziała — Zbyszek, nie podejrzewałam cię o takie zdolności.

I inni potwierdzili telepatyczne właściwości Zbyszka. Wreszcie przyszła kolej na mnie. Byłem mocno zaintrygowany. Wymyśliłem trudny zwrot. Zbyszek przyglądał mi się przez chwilę badawczo. Potem napisał coś i podał mi kartkę. Były na niej dwa słowa: „To samo“.

ROZDZIAŁ X

ATAKUJEMY

Wiktor wrócił z rozpoznania z wiadomościami, które okazały się w połowie pomyślne, w połowie zaś niekorzystne dla naszych zamierzeń. Od dawna już, przez swoich emisariuszy, starał się pchnąć do walki z Niemcami plemiona kuwilińskie mieszkające po drugiej stronie łańcucha dzikich gór, dzielących Lejlę na dwie części. Nie udawało mu się to dotąd. Lecz teraz sami Niemcy przyszli mu mimo woli z pomocą. Ten bitny naród, o świetnym zmyśle organizacyjnym, przegrał tyle wojen przez nieliczenie się z narodową psychiką przeciwników. I teraz na Lejli, przez zbędne okrucieństwo, podniósł przeciw sobie wszystkich już mieszkańców. Po jakimś brutalnym wyczynie okupanta, plemiona z drugiej strony gór chwyciły za broń. Którejś nocy napadły niespodziewanie i zdobyły niewielką forteczkę w miasteczku portowym Anhajada i, jak mówiły wieści szykowały się do marszu na samą stolicę Lejli.

Wskutek tych wydarzeń, Niemcy przystąpili gorączkowo do budowy fortu w stolicy, na prawym cyplu zatoki, oraz zażądali posiłków wojskowych zza morza.

Te wypadki o tyle nie szły nam na rękę, że wzmacniały czujność Niemców, podczas gdy nasze plany zakładały zupełne zaskoczenie przeciwnika. Niemniej,

postanowiliśmy po naradach nie zmieniać powziętej decyzji. Za trzy dni miał nadejść do Lejli transport aparatów i za trzy dni i my mieliśmy uderzyć.

###

Kapitan Fryderyk Rosental przybył z transportem po ran pierwszy na Lejlę. Nie był zachwycony tym przydziałem, ale cóż? — służba nic drużba. Ledwo zdążył postawić stopę na lądzie, a już wyznaczono go komendantem kolumny samochodowej transportującej przywiezione aparaty. Nie było to trudne, ani specjalnie niebezpieczne zadanie: półtorej godziny jazdy samochodem z miasta do Krateru Zygryda. Rano, bez przeszkód, przejechało tędy kilka samochodowy toteż pułkownik, dowódca garnizonu w Leju, nie przewidywał i teraz żadnej zasadzki. Dla kpt. Rozentala przykrą być jednak mogła myśl, że powołanego na miejsce kapitana Kreuzera, który kilka dni temu przypadł bez śladu z całym oddziałem, wysłany za zbiegłymi niewolnikami.

Jechał na przedzie kolumny wozem bojowym, opancerzonym z boków, ale otwartym od góry, uzbrojonym w ciężki karabin maszynowy. Za nim z kolei posuwał się samochód pancerny, potem pięć bud ciężarowych z aparatami i żołnierzami dodanymi do ochrony transportu. Pochód zamykał drugi samochód pancerny.

Droga wiodła początkowo dawnym traktem wenuzjańskim o gładkiej nawierzchni, nie naruszonej dotąd zębem czasu. Wkrótce jednak trakt skręcił w lewo i kolumna znalazła się na tymczasowej, zbudowanej już przez okupanta. Za przejazdem kolumny tumany gęstego kurzu podnosiły się w górę z niewykończonych nawierzchni. Wóz Rosentala odbił się od reszty samochodów i nie tracąc z nimi łączności wzrokowej wysunął się naprzód. Upał panował wielki. Było blisko południa. Kapitan, zlany potem, przeklinał w duchu niemiecką ostrożność, która kazała po obu stronach drogi powycinać dżunglę na sto metrów. Rozłożyste drzewa dałyby przynajmniej trochę cienia.

Po półgodzinnej jeździe, droga zaczęła opadać w dół ku szerokiej, lesistej dolinie. Rosental ujrzał przed sobą inną chmurę kurzu, w której można było rozpoznać od tyłu samochód pancerny i maszerujących przed nim ludzi.

— Co to? — zapytał kierowcę.

— Widać nasi złapali nowych jeńców do pracy... Nie słyszałem co prawda o żadnej przygotowującej się wyprawie...

Wóz kapitana zrównał się z pancerką; minął ją. Kierowca dodał szybkości, chcąc wyminąć podnosi wielkie kłęby kurzu kolumnę jeńców. Było ich z sześćdziesięciu. Wlekli się noga za nogą, wyczerpani marszem w skwarze południa. Mieli wszyscy ręce powiązane z tyłu. Towarzyszyło im kilkunastu uzbrojonych w karabiny żołnierzy o mocno zapyłonych twarzach i

mundurach. Na przedzie kolumny sunął wolno wóz bojowy z karabinem maszynowym skierowanym w stronę jeńców. Przy kierownicy siedział młody Niemiec w mundurze kapitańskim, o rasowych, nordyckich rysach.

— Dlaczego on sam prowadzi? Szofer jest przecież od tego — pomyślał Rosental. — Przy mijaniu jednak, uprzejmie wykrzyknął:

---Ich sehe. Sie hatten einen gunstigen Tag. (Jak widzę, miał pan pomyślny dzień...).

--- Ja, ja – odkrzyknął nordyk – biz jetzt...(Tak tak... jak dotąd...).

Samochód Rosentala wysunął się znowu na przód. Kierowca pomyślał:

— Nigdy nie widziałem tego oficera, ani tych żołnierzy. — Zbyt jednak było gorąco i myślało się za leniwie, by wyciągać właściwe wnioski. Zjechali teraz na sam dół doliny, któredy płynęła niewielka rzeka, Tuż przed mostem przecinała szosę boczna droga leśna. Dwie pary wenuzjańskich zwierząt zwanych „kiri“, a przypominających ziemskie słonie (tylko mniej sze), ciągnęły mozolnie dwa wielkie pnie drzewne. Obok nich szło kilku drwali — krajowców.

Zablokują szosę, gdy na nią wjadą — odezwał się kapitan Fryderyk do swego szofera. — Zawołaj na nich, żeby się wstrzymali.

Kierowca zwolnił i zaczął krzyczeć. Niewiele umiał po kuwilińsku, ale pomagał sobie gestem. Został zrozumiany.

— Ja, ja! — zawołał w odpowiedzi półnagi woźnica, wstrzymując posłusznie zaprzęg.

Samochód popędził dalej; drogi wznosiła się teraz ku górze. Nie ujechał jednak i dwustu metrów, gdy drwale, niepomni zakazu, ruszyli naprzód i wjechali na szosę zatarasowując ją zupełnie.

Kolumna jeńców musiała się zatrzymać, a w dwie minuty później zrównała się z nią kolumna transportowa. Kapitan Rosental zaklął szpetnie i kazał kierowcy zawrócić. W parę minut później znalazł się przy pninach blokujących przejazd, gdzie stekiem brudnych wyzwisk obrzucał drwali nordycki kapitan, w czym sekundował mu dzielenie, wyskoczywszy z czołowej pancerki, sierżant z kolumny transportowej.

Rosental wysiadł szybko z wozu, gotów besztuć drwali jeszcze gwałtowniej, by ich skłonić, żeby nie tkwili jak słupy telegraficzne w miejscu, lecz czym prędzej zabrali się do usunięcia pni. Otwierał już usta, gdy nagle nordycki kapitan przyłożył ni stąd ni zowąd świstawkę do warg i zagwizdał przeraźliwie. Rosental padł w pył drogi ukłuty znienacka ostrzem noża nasyconym pajęczym jadem. Na parę godzin był „znieczulony“ całkowicie.

Na gros gwizdka zakotłowało się na szosie jak w ukropie. Dwie kolumny już dawno zmieszały się z sobą, a teraz rzekomi jeńcy, którym jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki spadły pęta, rzucili się na żołnierzy pilnujących samochodów transportowych, świsnęły małe strzałki, błysnęły noże.

Falszywi drwale unieszkodliwili nie tylko Rosentals, ale i jego szofera oraz żołnierza przy cekaemie. Wiktor, bo on był owym nordyckim oficerem, przesadził jednym susem pnie blokujące drogę i dopadł radiostacji w samochodzie. Założył słuchawki na uszy i nadśluchiwał z napięciem czy z innego wozu nie pójdzie w eter alarm napadniętych Niemców.

Trudniejsze zadanie przypadło Paciorkowi. Siedział on w wieżyczce naszej jedynej pancerki, która zajmowała miejsce na końcu kolumny fałszywych jeńców. Miał zdobyć samochód pancerny stanowiący straż tylną przeciwnika. Samochód ten był szczelnie zamknięty i dosięgnięcie załogi było sprawą niełatwą. Siedzący w wieżyczce żołnierz, widząc napad, zaczął od razu strzelać z cekaemu, lecz na szczęście ponad głowami walczących. Napadnięci i napadający byli tak z sobą zmieszani, że seria puszczonej w kotłujący się tłum. raziłaby jednych i drugich. Paciorek kazał kierowcy swego wozu podjechać tuż do nieprzyjacielskiej pancerki, następnie podniósł klapę wieżyczki i wychyliwszy się z niej wpuścił przez szczelinę strzelniczą granat do wnętrza niemieckiego samochodu. Rozległ się huk wybuchu, przez szczeliny i pęknięcia bluznął ogień i dym...

W niespełna pięć minut od rozpoczęcia walki kolumna transportowa znalazła się w naszym ręku, nie-naruszona, z wyjątkiem samochodu pancernego, który zniszczył Paciorek. Nasze straty były minimalne, co najmożliwsze dla pomyślnego przebiegu dalszej akcji,

nie zdążył wyjść przez radio żaden niepotrzebny alarm. Do krateru też było zbyt daleko, by mogli tam posłyszeć odgłosy walki.

Dzięki drobiazgowemu przygotowaniu całej akcji, już w dziesięć minut po zdobyciu transportu ruszył on, jakby nic się nie stało, w dalszą drogę. Zmienił się tylko ludzie w samochodach. Wiktor zasiadł w wozie Rosentala i z jego papierami, w kieszeni swego kapitańskiego munduru, ja obok niego przy kierownicy w charakterze sierżanta, Kini za nami przy cekaemie. W ciężarówkach leżeli poukrywani za pakami partyzanci. W szoferkach i na miejscach strażników zasiedli też nasi wojacy, poprzebierani za Niemców. Ostatnim samochodem ciężarowym kierował Zbyszek. Miał on zatrzymać się w pobliżu wejścia do krateru, udając, że mu się coś popsuło w wozie, i dopiero po piętnastu minutach ruszyć naprzód i opanować wartownię przy bramie. Chcieliśmy żeby główny trzon kolumny wyjechał do wnętrza wulkanu nie rozpoznany. Gdybyśmy bowiem od razu uderzyli na strażników, mógł powstać przedwczesny alarm i utrudnić a nawet uniemożliwić nam dalsze działanie. Trzeba pamiętać, że naszą najważniejszą bronią było zupełne zaskoczenie.

Zamykał kolumnę transportową samochód pancerny Paciorka, w którym, poza nim i dwoma wojownikami, jechał Bari, ojciec Kiniego i głowa plemienia Ore-mangów. Bari zabrał na wyprawę wielki worek wypełniony, wiązkami jakiejś zeschłej trawy. Kiedy pytali-

śmy go, po co zabiera to zielsko, zrobił tajemniczą minę i odparł z uśmiechem:

— Kto wie, może się przydać. — Nic więcej nie chciał na razie powiedzieć.

Zbliżaliśmy się do Krateru Zygfryda. Widziałem już dokładnie czarne wejście do tunelu, zamknięte potężną kratą. Nie otworzyli jej, choć musieli już nas usłyszeć. Serce biło mi mocno. Po zaciśniętych ustach Wiktora poznałem, że i on miał tremę nie lada.

Podjechaliśmy pod samą bramę dotykając jej niedłgie błotnikami. Lufy cekaemów, sterczące z bunkrów po obu stronach wjazdu, skierowały się ku nam, lecz nie plunęły ogniem... Chwila śmiertelnego napięcia... Według danych naszego rozpoznania, powinni tylko sprawdzić nam papiery, bez rewidowania samochodów; zwykle, w parę minut po zatrzymaniu się u wejścia, kratka podnosiła się i kolumna wjeżdżała spokojnie w mroczną czeluść tunelu.

Otworzyły się wreszcie małe drzwiczki w bramie. Wyszedł przez nie drobnej budowy porucznik, w towarzystwie żołnierza, który na głowie miał biały hełm z opuszczonymi na oczy dziwnymi okularami. Był to tak dobrze mi znany hełm niewidzialnych, żołnierz trzymał gotowy do strzału pistolet i rozglądał się uważnie dokoła. Pojąłem od razu, że będzie sprawdzał, czy do kolumny nie wkradł się niewidzialny agent Nary. Powinienem był to przewidzieć. Co teraz robić? Na pewno zajrzy do każdego wozu. I bez okularów zobaczyłby tam rzeczy kompromitujące. Trzeba coś natychmiast

wymyślić i działać błyskawicznie. Ale jak? Atakować wartownię? Przez te małe drzwiczki, które się zaraz zatrzasnęły za tymi dwoma. Za kratą stało dwu żołnierzy z pistoletami maszynowymi, których lufy skierowali na nas. Siedziałem jak skamieniały. Nawet nie szepnąłem Wiktorowi, co znaczy ten biały, hełm, który go musiał z pewnością zadziwić.

Oficer tymczasem podszedł z uprzejmym uśmiechem do Wiktora i zasalutował:

-- Pan kapitan Rosental? - zapytał. - Jestem porucznik Józef Schwarz, witam pana kapitana w Kraterze Zygryda. Czy podróż morska była szczęśliwa?

Wiktor gładko wymienił grzeczności i wskazał na żołnierza w dziwnym hełmie, który właśnie obchodził nasz wóz zaglądając do środka i pod podwozie.

— Cóż to za maskarada? — zapytał.

— Ach — roześmiał się porucznik Schwarz. Miał miłą powierzchowność, czynił wrażenie człowieka rozmownego i o wesołym usposobieniu. — Wenuzjanie już dwa razy podesłali nam niewidzialnych agentów. Ten hełm służy do ich wykrywania. Przetrzęsamy każdy wjeżdżający samochód, czy się gdzie jaki niepożądany gość nie ukrył. To nie zabierze więcej niż kilka minut.

Na słowo niewidzialni”, udałem głośno zdziwienie i niby niezwykle zaciekawiony wyskoczyłem z wozu i pobiegłem za żołnierzem, który zaglądał już teraz do szoferki pierwszej ciężarówki. Zerknąłem do tyłu: porucznik Schwarz pozostał przy Wiktorze, zajęty roz-

mową. Poszukiwacz niewidzialnych zajrzał tymczasem pod podwozie, wspiął się i rzucił okiem na wierzch budy. zeskoczył i przeszedł na tył samochodu. Postawił krok na stopniu i wspiął się do środka. Mru-gnąłem porozumiewawczo na moich wojowników. Zatruta strzałka ugodziła w plecy szperacza. Wciągnięto go do wnętrza budy. Dałem cicho rozkaz, by jeden z przebranych za Niemców, włożył biały hełm i zabrał pistolet. Był to Botola. Inteligentny młodzian zrozumiał w lot i w parę sekund później wyskoczył na zewnątrz, już w hełmie. Wychylił się poza wóz i dał znak ręką, że w tej ciężarówce wszystko w porządku. Ze zgrzytem podniosła się krata. Wiktor przesunął się w samochodzie na moje miejsce przy kierownicy i ruszył.

Nastąpiło to w sam czas, bo rozmowa z gadatliwym Schwarzem stawała się coraz kłopotliwsza. Porucznik zapytał Wiktora, z jakiej miejscowości w Niemczech pochodzi. Wiktor bez namysłu odpowiedział, że z Hanoweru, było to bowiem miejsce zamieszkania jego babki. Sam tam nigdy był.

— Z Hanoweru? I ja jestem z Hanoweru! Co ze spotkanie! A z której ulicy?

— Wilhelmstrasse — ciągnął Wiktor, czując, że zaczyna mu się robić nieswojo.

— Wilhelmstrasse! — zawołał jeszcze bardziej uradowany porucznik. — Toż my jesteśmy sąsiadami! Mieszkałem tuż obok na Longstrasse, a potem na Siegstrasse. A gdzie pan kapitan chodził do szkoły?

— Mis w Hanowerze — ratował się rozpaczliwie Wiktor. — Gdy miałem sześć lat, rodzice przenieśli się do Berlina i już potem nigdy nie widziałem mego rodzinnego miasta... niestety.

— Tak? — w głosie Schwarza znać było zawód. — No, teraz musicie już jechać, ale pogadamy sobie później o starych kątach. Będzie wiele okazji. W tymi piekielnym kraterze — westchnął — można zwariować z nudów... Rozmowa lub karty — to jedyna rozrywka.

Wiktor wjechał z ulgą w chłód tunelu. Za nim drugi samochód, potem trzeci. Wszystko szło gładko, ale zdawałem sobie sprawę, że po wjechaniu ostatniego wozu musimy od razu uderzyć na wartownię, wbrew pierwotnym zamierzeniom. Skoro bowiem Botola zdejmie biały hełm i okulary, Niemcy natychmiast zorientują się, co zaszło. Toteż, gdy znaleźliśmy się wreszcie na końcu kolumny przy pancerce Paciorka, szepnąłem mu do środka.

— Słuchaj, bohaterze! Musimy natychmiast, i to jak najciszej, zlikwidować wartownię. Gdy wjedziesz w tunel, wylaż zaraz z wozu i pchaj się ze swoimi w drzwi po prawej stronie, a ja z Botolą pójdziemy w lewo. Tylko spokojnie i na wesoło.

--- Tosię wie – odparł piegowaty AK-owiec. – Wykończymy ich tu gładziutko bezszmerową metodą księdza Kneippa. Żaden ani piśnie.

Pancerka Paciorka wjechała w tunel. Stalowa kratka zapadła za nim ciężko. Porucznik Schwarz zniknął w wykutym w skale otworze z lewej stronie tunelu.

Jeden z jego żołnierzy zamykał kluczem drzwiczki w bramie. Drugi towarzyszył mu. Nie było nikogo więcej na zewnątrz. Paciorek zatrzymał pancerkę i wysiadłszy z niej spokojnie, ziewnął beztrosko. Za nim wysunęli się jego dwaj żołnierze, ubrani w mundury niemieckie. Wskazałem Paciorkowi oczyma dwu Niemców przy drzwiczkach, a sam w towarzystwie Botoli wszedłem w lewy otwór w skale. Ukazał się nam wąski, ciemny korytarz z parą drzwi po jednej i drugiej stronie. Spoza pierwszych półotwartych drzwi z lewa, dał się słyszeć głos Schwarza. Bez wahania weszliśmy do środka niewielkiej, skalnej izby, gdzie przez dwie strzelnice wpadało trochę światła dziennego, a uzupełniała je lampa wisząca u sufitu. Przy stoliku z radiostacją siedział operator. Meldował właśnie nasze szczęśliwe przybycie dowództwu w Lejli. Schwarz trzymał w ręku słuchawkę telefoniczną. Zorientowałem się, że także meldował nasz wjazd, prawdopodobnie komuś wewnątrz krateru.

Stanęliśmy cicho poza ich plecami. Porucznik obejrzał się i powiódł po nas nieco zdziwionym wzrokiem, ale nie przerwał jednak rozmowy. Modliłem się w duchu, żeby obaj jednocześnie skończyli swoje raporty. Nie mogliśmy ich obezwładnić, gdy jeden z nich jeszcze był „na sieci”. Nagłe przerwanie meldunku mogło wzbudzić przedwczesny alarm. Niestety Schwarz już skończył, a tamten jeszcze gadał. Porucznik odwrócił się ku nam:

— Was wunschen Sie? zapytał. (Czego chcecie?) —

zapytał.

Zamiast odpowiedzi — zdradziłbym się przecież od razu swą kiepską niemczyzną — spojrzałem znacząco w stronę radiooperatora i Botoli, położyłem palec na ustach, po czym kiwnąłem na porucznika, żeby poszedł porozmawiać ze mną na osobności.

— Co to wszystko ma znaczyć? — brwi Schwarza zmarszczyły się surowo. — Czyście mowę stracili? A ponadto sierżant zapomniał, że się wchodzi, salutuje i czeka przy drzwiach, aż oficer raczy podejść. Czy to jest wojsko, czy...

W tej chwili radiotelegrafista odłożył słuchawki. Botola nie czekając mego znaku ukłuł go nożem trzymanym dotąd poza plecami. Ja również skoczyłem do mego przeciwnika, który osłupiały nagłym napadem nie zdążył nawet zasłonić się ręką przed ciosem.

Wybiegliśmy szybko na korytarz, gdzie w mgnieniu oka unieszkodliwiamy jednego z żołnierzy, idącego naprzeciw. Następne wejście na lewo zaprowadziło nas do bunkru, gdzie (mówiąc językiem Paciorka) zlikwidowaliśmy „bezszerową metodą” dwu strzelców z obsługi cekaemu. Nie zdążyli się nawet obejrzeć.

Dwa inne pomieszczenia po prawej stronie korytarza mieściły w sobie: jedno — zbrojownię, drugie — sypialnię. Trzech żołnierzy leżało na pryczach; spali. Mimo skalnych ścian było tu gorąco i duszno. U sufitu ogromny wiatrak chłodził jednak nieco powietrze. Dwóch śpiących obezwładniliśmy momentalnie ukłuciem noża, trzeci zdążył zerwać się i krzyczał przeraź-

liwie wzywając pomocy. Ucieczkę miał zamkniętą, żadnej broni przy sobie. Chwytał więc krzesło i uskokczył w kąt. Krzesło jednakże okazało się niewystarczającym orężem. Pochwyciłem je za jedną nogę, podczas czego Botola zdołał zranić rękę broniącego się. Niemiec zwałił się bez czucia na podłogę.

Paciorkowi także gładko poszło. Skończył nawet przed nami. Daliśmy znak Zbyszkowi – nadjechał zaraz. Był niepokieszony, że go ominęła walka. Zostawiłem go przy obsłudze radia i telefonu, ze względu na jego doskonałą znajomość języka niemieckiego, a sam pobiegłem wzdłuż kolumny czekającej w tunelii usadowiłem się obok Wiktora.

— Wszystko idzie dotąd jak z płatka — powiedziałem z zadowoleniem.

Lecz Wiktor, poważnie, choć w swoim zwykłym żartobliwym dialekcie odpowiedział:

— Aż za dobrze. Czuję, że teraz dopiero zaczniesz się "draka" w wyższym styki. Nie pójdzie nam tak łatwo.

— A, nie bądź że pesymistą! Pamiętaj, iż mamy kolosalną przewagę zaskoczenia.

Wyjechaliśmy z tunelu, minęliśmy bunkier z działem, przy którym nie było obsługi, i skierowaliśmy się w stronę kasyna oficerskiego. Kiedy opuszczałem wartownię, ścienny zegar wskazywał pięć minut do pierwszej (czasu wenuzjańskiego) Pamiętałem, że obiad dla oficerów i żołnierzy podawano o pierwszej była to pomyslna okoliczność dzięki której można będzie — myślałem — całe dowództwo wziąć za jednym zamachem

do niewoli. W połowie drogi między tunelem a kasynem doszedł nas daleki głos gongu.

— Nie spodziewają się, jakich będą mieli miłych gości na obiad — rzuciłem Wiktorowi, ale nie odpowiedział na żart. Twarz miał wciąż poważną, czujną, skupioną, promieniejącą wewnętrzną siłą. Prawdziwy dowódca. Nadrabiałem miną, lecz czułem ogromne napięcie i niepewność.

Jechaliśmy powoli nie chcąc przybyć za wcześnie. Wreszcie jednak, spoza zakrętu drogi wyłoniły się zabudowania. Jak to już dawniej opisałem, budynek oficerski i dwa baraki koszarowe ciągnęły się prostą linią wzdłuż drogi. Poza nimi otwierała się niewielka pusta przestrzeń, za którą z kolei zaczynała się tropikalna gęstwina lasu. Po drugiej stronie drogi, naprzeciw budynków, rozpościerał się znowu nieprzejrany gąszcz leśny.

Zatrzymaliśmy się przed wejściem do kasyna oficerskiego. Nikogo nie było na zewnątrz, tylko z kuchni żołnierskiej wychylił ciekawą głowę znajomy mi dobrze kucharz. Wskoczyłem z wozu. Wiktor ruszył od razu dalej, z jedną pancerką i trzema ciężarówkami z czoła kolumny. Rozdzielaliśmy się. On miał opanować podziemne urządzenia i uwolnić pracujących tam jeńców, mnie przypadło zadanie opanowania kwater oficerskich i żołnierskich. Miałem przydzieloną do akcji pozostałą część oddziału i pancerkę, którą dowodził Paciurek.

Z drzwi oficerskiego budynku wybiegł pospiesznie kościsty sierżant i zaczął wołać za oddalającym się Wiktorem, żeby się zatrzymał, bo wszyscy przybyli mają najprzód zjeść obiad. Wiktor udał, że nie słyszy. Jego kolumna minął szybko baraki żołnierskie i zniknęła za zakrętem. Pozostałem sam na swoim dowództwie, z nerwami napiętymi do ostateczności.

Przebrana w mundur; część moich żołnierzy; wyładowywała się powoli z wozów. Zamierzałem wtargnąć z nimi do wnętrza domu oficerskiego, w którym się mieściło kasyno, i zaskoczyć starszyznę w czasie obiadu. Dopiero wtedy Paciorek miał rzucić do ataku na koszary resztę oddziału, ukrytego w ciężarówkach.

Stojący przed drzwiami sierżant niemiecki, zdziwiony już odjazdem połowy kolumny, zaczął teraz z kolei patrzeć niespokojnie na wyładowujących się żołnierzy: coś tu nie szło według utartej rutyny. Nie mogłem mu pozwolić na dalszy niebezpieczny proces myślowy, ale też trudno było unieszkodliwić go przed budynkiem, gdzie wiele oczu mogło nas obserwować. Szybko minąłem go i pewnym krokiem wszedłem do elegancko urządzonego hallu. Był on obwieszony lustrami, w których dojrzałem swoje uwielokrotnione oblicze, niezwykle jakoś pobladłe, mimo opalenizny. W hallu nie zastałem nikogo. Drzwi na prawo by ty półotwarte, dochodził spoza nich ostry głos telefonisty obsługującego łącznicę.

— Wohin gehen Sie? (Dokąd idziesz?) — zabrzmiało za mną gniewne pytanie. To sierżant, oburzony mo-

im bezceremonialnym zignorowaniem jego ważnej osoby, wsunął się do hallu i złapał mnie za ramię.

Jedyną odpowiedzią... jaką otrzymał, było ostre ukłucie nożem w plecy, zadane mu przez następnego intruza, wpychającego się nachalnie do oficerskiego sanktuarium. W chwilę później dziesięciu moich żołnierzy wypełniło hall. Skinąłem na jednego zucha, by się rozprawił z obsługującym łącznicę. Czterem innym wojownikom nauczałem przebiec po dwóch korytarze i pokoje na parterze. lecz dopiero wtedy, gdy dotrę do sali jadalnej która mieściła się na pierwszym piętrze ponad kuchnią. Okna jej wychodziły na trzy strony budynku.

Z grupą pięciu żołnierzy wbiegłem na schody. W rękę trzymałem gotowy do strzału zdobyczny pistolet maszynowy. Miałem też w terbie skórzanej, przewieszonoj przez ramię, pistolet promieniowy, co do którego dotąd nie wiedziałem, czy będzie działał we wnętrzu wulkanu, oraz pięć granatów, groźnie postukujących o siebie. Uzbrojenie, moich żołnierzy stanowiły dwa pistolety maszynowe zabrane z wartowni, trzy karabiny dawniej zdobyte oraz niezawodne oremańskie noże.

Przez pierwsze piętro biegł na przestrzał długi korytarz. Wywiąłem na prawo dwóch wojowników. sam z trzema skierowałem się w lewo, skąd dochodził gwar zmieszanych głosów i smakowite zapachy obiadowe. Mijaliśmy zamknięte lub uchylone drzwi pokoiw mieszkalnych. W pewnym momencie jedno z nich otwarły się nagle; stanąłem oko w oko z „Łysym”. To

niespodziewane spotkanie obezwładniło mnie na parę sekund, ale nie zmieszało moich zuchów. Błysk noża i sobowtór Nary (bo chyba nie on sam) opadł nam na ręce. Wsunęliśmy ogłuszonego z powrotem do pokoju z którego wyszedł, i zamknęliśmy drzwi. Jeszcze kilka kroków w głąb korytarza, po czym z determinacją pchnąłem oszklone drzwi jadalni.

Ze czterdziestu oficerów i cywilów zajadało obiad przy trzech stołach ustawionych w podkowie. Po środku, na honorowym miejscu, siedział generał o szczupłej, inteligentnej twarzy. Gdy wtargnąłem do sali, spojrzenie jego stalowych oczu uderzyło we mnie ostro. Nie zmieszało mnie to jednak. Wysunąłem lufę pistoletu maszynowego przed siebie, zaś moi towarzysze rozbiegli się wachlarzem po prawej i lewej stronie.

— Hande hoch! — zawołałem najgroźniej jak umiałem.

Zrobiła się cisza. Patrzałem w osłupiałe twarze. Żadna ręka nie uniosła się w górę. Na mój rozkaz zastygły wszystkie nad stołem z tkwiącymi w nich widelcami i nożami.

— Hande hoch, oder ich schiesse — powtórzyłem ostro wezwanie, kierując lufę w stronę siedzących przy głównym stole.

Tym razem generalskie ręce podniosły się pierwsze, a za nimi poszły inne; większość biesiadników powstała. Jeden wszakże z oficerów przy lewym stole sięgnął gwałtownie ręką pod stół. Natychmiast pistolet maszynowy mego sąsiada wypluł serię: oficer stoczył

się z krzesła. Mimo woli wszyscyśmy drgnęli i skierowali na moment spojrzenia w jego stronę. Skorzystał z tego generał. Szybkim ruchem dopadł otwartego okna i wyskoczył. Pociski z mego pistoletu pobiegły w ślad za nim o sekundę za późno. W tej chwili, ani Niemcy, ani moi żołnierze nie wytrzymali nerwowo. Część nieszczęsnych biesiadników rzuciła się w panice do okien, część usiłowała skryć się pod stoły. Moi wojownicy zaczęli strzelać na oślep. Któryś z Niemców zdołał użyć pistoletu; ugodził śmiertelnie żołnierze z karabinem, lecz sam padł pod kulami mojej broni. Skończyłoby się to zupełną masakrą wszystkich. Niemców, gdyby nie to, że nagle jeden z cywilów, który mimo zamieszania i strzelaniny stał jak słup soli z podniesionymi w górę rękami, krzyknął rozpaczliwie:

—Nicht schiessen! — Moi żołnierze nie rozumieli po niemiecku, ale był w tym głosie taki jakiś przeraźliwy nakaz, że w jednej chwili nasze pistolety zamilkły.

Ten sam Niemiec krzyknął do pozostałych przy życiu współrodaków:

— Na miłość Boską stójcie i podnieście ręce do góry, bo nas tu wybija co do jednego.

Czuję do tego człowieka wdzięczność na całe życie.

Niemcy posłuchali. Sytuacja była opanowana. Zarzuciłem na ramię pistolet maszynowy i wyciągnąłem promieniowy z torby. Pocisnąłem język spustowy. Pistolet działał. Odetchnąłem. Już nie będę potrzebował zabijać. Szkoda, że wcześniej nie sprawdziłem jego działania.

Kazałem swoim żołnierzom natychmiast wyprowadzić jeńców do hallu na dole, bowiem sala jadalna stawała się znów teatrem walki.

Dzielny generał wyskakując przez okno nie połamiał jakimś cudem sobie ani rąk, ani nóg, przebiegł krótką przestrzeń, dzielącą budynek oficerski od koszar i wpadł do kuchni żołnierskiej. Powinien był paść po drodze od kul z cekaemu Paciorka czy z broni Oremangów, poukrywanych po wozach. Nasi niestety nie zorientowali się w porę. Atak na koszary, który nastąpił w parę chwil później, był już o kilka bezcennych minut spóźniony. Gdy Oremangowie w liczbie trzydziestu wysypali się z wozów i z okrzykiem rzucili się ku barakom, powitał ich celny ogień niemieckich karabinów i pistoletów maszynowych, kładąc kilku trupem. Ucieczka generała i strzelanina w jadalni przedwcześnie zaalarmowały jedzących obiad żołnierzy. w takich wypadkach i sekundy odgrywają rolę.

W tym właśnie momencie wyjrzałem przez okno wychodzące na drogę.

— Chować się! — krzyknąłem z góry, ale niefortunni wojownicy nie potrzebowali mojej zachęty. Paru zdołało wpaść do budynku oficerskiego, część pozostała za samochodami, większość schroniła się za pniami drzew w rosnącym po drugiej stronie drogi lesie.

— Czemuż ter: Paciorek nie strzela? — pomyślałem i głośno zawołałem:

— Hej, Paciorek, czy żyjesz?

— Żyje. Żyje — odezwał się stłumiony głos z wnętrza pancerki. — Tylko mi się ta cholera cekaem zaciął, zaraz go naprawię. Ale ty uważaj, bo mi się wydaje, że szkopy za chwilę zaczną atakować. Granata mi po nich!

Doskoczyłem do drugiego okna wychodzącego na koszary. W tejże samej chwili seria z pistoletu maszynowego świsnęła mi nad uchem. Kule z trzaskiem ugrzęzły w ścianie, rozbijając przy okazji wiszący na niej niezbyt artystyczny land-schaft. Wykonałem błyskawiczny przysiad i za ścianę i

— Uf, to było blisko!

Oszklone drzwi do sali rozwarły się, wpadł przez nie Botola, którego mianowałem uprzednie dowódcą żołnierzy pozostawionych w hallu.

— Pochyl się — krzyknąłem — bo cię ustrzelą.

Skurczył się we dwoje i podbiegł do mnie.

— Cały dom nasz — zameldował. — Co mamy dalej robić?

Słuszne pytanie. Co dalej robić? Żebym to ja sam wiedział. Zauważyłem wiszące na ścianie niewielkie lustro. Zdjąłem je i wysunąłem poza parapet okna, starając się zobaczyć w odbiciu, co się dzieje na dole między naszym budynkiem a koszarami. Lustro rozleciało się w kawałki uderzone wiązką pocisków, zdołałem jednak zauważyć, jak z kuchni żołnierskiej wysypała się nagle gromada Niemców. Atakują nasz budynek. Wyciągnąłem z torby granat, odbezpieczyłem i

wychylając przez okno rzuciłem na ślepo. Jednocześnie plonął ogniem cekaem Paciorka, nareszcie...

Wysunąłem ponad parapet większy ułamek lustra: trzech Niemców leżało na ziemi, reszta cofnęła się. Pierwsze natarcie zostało odparte. Kule z pistoletu maszynowego zadzwoniły po framudze okiennej, lecz nie trafiły w mój zaimprovizowany peryskop. Zobaczyłem, skąd ogień idzie. Ktoś strzelał z małego dymnika na blaszanym dachu baraku. Jak zlikwidować tego gołębiarza, kiedy nie pozwala mi się wychylić nawet na sekundę?

Botola tymczasem wyjrzał przez okno wychodzące na las z tyłu budynku, gdzieśmy się kiedyś z Kinim rozprawili z pocziwym sierżantem Franzem.

— Podchodzą nas z boku! — zawołał.

Okazało się, że kilkunastu, a może i więcej Niemców, wyskoczyło z dalszego baraku. Szybko przebiegli otwartą przestrzeń i zagłębili się w zaroślach. Podchodzili pod nasz budynek.

Nie było czasu do stracenia. Podałem Botoli dwa granaty i pozostawiłem go w sali jadalnej przy improvizowanym peryskopie. Sam wybiegłem na korytarz, żeby zorganizować obronę. Jednakże już i bez moich rozkazów sześciu wojowników, zrzuciwszy z siebie niemieckie mundury, obsadziło okna na parterze. Gdziekolwiek dało się spostrzec choćby najmniejszy ruch gąszczach, tam zaraz biegły nasze kule lub obezwładniające promienie. Zbyt trudno jednak było stwierdzić ich skuteczność...

Udałem się z kolei do kuchni oficerskiej, która, jako najbliższa koszar żołnierskich, najbardziej była narażona na bezpośredni atak, ale zarazem stanowiła dla nas najlepszą podstawę wyjściową, do ewentualnego natarcia. Niestety, było ono coraz mniej prawdopodobne. Uprzytomniłem sobie z całą jasnością, że sytuacja staje się groźna, jeśli nawet nie jest już rozpaczliwa. Od ataku przeszliśmy do obrony. Przeciwnik, jeśli nie o wiele liczniejszy, to w każdym razie lepiej uzbrojony i wyćwiczony, przejmował inicjatywę w swoje ręce. Do kuchni oficerskiej nawet dotrzeć nie mogłem. Już po korytarzu, prowadzącym do niej z hallu, goniły mnie śmiertelne pociski, tak że musiałem się zgiąć we dwoje. W samej kuchni panowało istne piekło, bo Niemcy siekli zajadle z koszar i raz po raz wrzucali granaty przez okna. Poległo tam tuż dwóch partyzantów. Dwóch innych, żywych, zastraszonych i przyklejonych do ściany, zastałem w przyległym pokoju. Dodałem im otuchy, której sam nie czułem, podprowadziłem jeszcze trzech wojaków i zostawiłem im dwa granaty. Mieli ich użyć, gdyby Niemcy zdołali się wdrzeć do kuchni.

Ludzie Paciorka, poukrywani za samochodami i za drzewami po drugiej stronie drogi, wiązali ogniem załogę koszar. Jednakże nasz cekaem, strzelający dotąd wściekle z wieżyczki pancerni, nagie zamilkł. Tym razem nie było to zacięcie się broni — biedny Paciorek dostał kulą w głowę.

Wycofałem się do hallu, z którego łatwiej było panować nad całością sytuacji. Leżeli tu na ziemi Niemcy jeńcy, nieprzytomni, obezwładnieni przez przeźornego Botolę, przy pomocy promieniowego pistoletu. Dopiero teraz dojrzałem w lustrze zadraśnięcie na czole, z którego sączyła się krew; gdzie je otrzymałem, nie mogłem sobie przypomnieć. Obcierałem właśnie krew ręką, gdy powietrzem targnęło naraz wybuchy kilkunastu granatów. Rzucili je Niemcy poukrywani w zaroślach. Granaty nie zdołały wpaść do środka budynku, gdyż odległość była zbyt znaczna. Rozerwały się pod oknami, zmuszając obrońców do szukania schronienia poza ścianami a potem już wcale nie można było wychylić głowy, po oknach szalał ogień przynajmniej dwóch ręcznych karabinów maszynowych i paru pistoletów automatycznych, nie licząc zwykłych karabinów. Było to przygotowanie ogniowe. Za nim, w kilka minut, nastąpiło natarcie. Niemcy wyskoczyli jednocześnie z zarośli i z koszar, ale od razu rzucił ich o ziemię ogień naszych promieniowych i maszynowych pistoletów. Oremangowie nie dali się załamać. Atakujących bezpośrednio z koszar przywitały granaty Botoli rzucone z góry i boczny zaporowy ogień wojowników Paciorka. Nieprzyjaciel wycofał się ze stratami.

Już drugie natarcie było odparte ale sytuacja nie stała się mimo to wesoła. Nie posiadaliśmy już więcej granatów, bo i te, które mieli żołnierze przy kuchni, zostały rzucone i to ponieważ. Zaczynało brakować amunicji do broni palnej; tylko pistolety promieniowe

były niewyczerpanie. Miałem ich w budynku pięć: stanowczo za mało.

Przeciwnik, po krótkiej chwili konsternacji, prażył w nas znowu zapamiętałe i zmuszał do krycia się za ściany. Granaty jeden po drugim się pod oknami. Gryzłem palce w po czuciu bezradności. Trzeba było podjąć jakąś szybką i radykalną decyzję. Ale jaką? Cała moja nadzieja była w Wiktorze. Może jemu powiodło się lepiej i przyjdzie na czas z odsieczą? Lecz czy i on nie znalazł się w podobnych opałach?

W momencie tych szybkich niewesołych rozważań jeden z wojowników zwrócił moją uwagę na naszą pancerkę, która nagle ruszyła naprzód. Drzwiczki szoferki były lekko uchylone, szczelina w nich zasunięta. Samochód potoczył się z pełną szybkością ku koszarom i pędził teraz wzdłuż szarej ściany tak blisko, że niemal jej dotykał. Cóż oni robią? Wychyliłem się trochę, by lepiej widzieć. Przez półuchylone drzwiczki ktoś z wewnątrz wozu wyrzucał małe wiązki suchej trawy, która natychmiast zapalała się dając gęsty, żółtawy dym.

— Zwariowali — pomyślałem. — Baraki są z cementu i mają blaszane dachy. Nie ma mowy, żeby udało się je podpalić.

Niemcy byli tak zaskoczeni niespodziewanym manewrem pancerki, że na zdołali nawet do niej wystrzelić ani, co byłaby na pewno skuteczniejsze podrzucić pod nią granatów. Pancerka tymczasem szczęśliwie dotarła do końca drugiego baraku, objechała go i za-

częła pędzić z powrotem ku nam Choć powitał ją grad kul z baraków i z lasu, nie uszkodzona przejechała między żołnierską a oficerską kuchnią i zatrzymała się przed frontem bronionego przez nas budynku. Wyskoczył z niej Bari, szef plemienia Oremangow. z lukiem w jednym ręku, a pękiem strzał w drugim. Wszystkie strzały miały przytwierdzone w pobliżu grotów kępki owej suchej trawy.

Od strony lasu nieprzyjaciel strzelał coraz gęściej; wraże pociski tłukły po ścianach, rozbijały resztki szyb waliły we framugi okienne. Granaty nieustannie rozrywały się przed budynkiem rzucając w okna stalowe odłamki i kawałki skalistego gruntu. Było to bez wątpienia ogniowe przygotowanie do nowego natarcia, które lada moment mogło nastąpić.

Bari wbiegł po schodach na pierwsze piętro dając mi znak, bym się udał za nim. Wpadł do pierwszego pokoju zaczynając od lewego skrzydła budynku. Założył strzałę na cięciwę, mnie zaś wręczył mały przyrząd w kształcie szczypec zwany „narsi”. Przysunąłem owe szczypczyki do kępki suchej trawy i ścisnąłem je. Padła iskra. Dymiąca strzała poleciała zgrabnym lukiem w leśne pozycję nieprzyjaciela. Bari napiął znowu łuk i druga strzała śmignęła przez okno, kierując się tym razem bardziej w prawo. Przybiegliśmy do następnego pokotu i powtórzyliśmy to samo. Odważyłem się wyjść na sekundę przez okno W zaroślach dymiło. Przyjazny dla nas wiatr wpychał żółty opar głębiej w gąszcz.

— Pewnie jakieś gazy trujące. Dobrze, że na Wenus nie obowiązuje konwencja genewska — pomyślałem. Nie było czasu pytać o cel akcji, bo szef plemienia już biegł dalej, wysyłając swoje dymiące strzały z coraz to innego pokoju. Lecz co to?... Od strony koszar strzelanina umilkła raptownie. Usłyszałem tryumfalny okrzyk Oremangów: „Ajjoa!” W miarę też jak pierzaste, pociski zagłębiały się w las i z tej strony kannonada cichła. Jeszcze parę minut i ostatnie odgłosy bitwy pokryła głucha cisza.

Uśmiechnięty Bari miał już teraz czas wyjaśnić:

— To jest „karapa“. Przy zapaleniu wydziela dym, który szybko się rozprzestrzenia i usypia.

— U was cała wojna polega na usypianiu przeciwnika — mruknałem, ale zaraz potem dodałem z serdeczną wdzięcznością: — Bari, dzięki ci, bez ciebie i twojego dymku, byłoby z nami źle.

— Chodźmy do Paciorka. — odpowiedział wódz. — Biedak leży nieprzytomny w samochodzie. Dostał kulą w twarz. Opatrzyłem go tylko powierzchownie.

Zmartwiony tą wiadomością pobiegłem szybko do pancerki. Pocisk karabinowy wszedł Paciorkowi w policzek, pod okiem, a wyszedł pod uchem. Wynieśliśmy go z samochodu i złożyli na łóżku w jednym z pokoi. Poza nim, miałem w oddziale jeszcze pięciu rannych: dwóch poważnie, trzech lekko i, niestety, siedmiu zabitych.

Kiedy dymy karapy opadły, wysłałem patrol o pięciu ludzi, z Botolą na czele, dla przetrząśnięcia zarośli.

Na pewno nie wszystkich Niemców zdołał dym uśpić. Dałem znać telefonicznie Zbyszkowi na wartownię o zdobyciu koszar. Gdy połączyłem się z centralą u wejścia do podziemia, usłyszałem w słuchawce głos niemiecki. — Musiało się nie udać Wiktorowi.

Powierzywszy dowództwo wodzowi Bari, czym prędzej wsiadłem w pancerkę i udałem się w kierunku podziemnej „Wieży Babel”, skąd dochodziły wyraźne odgłosy ognia karabinowego i wybuchów granatów. Miąłem magazyny, które już były naszym ręku, miąłem ów olbrzymi dół — miejsce mego więzienia. Za zakrętem drogi powinien być kompleks budynków, w których mieściły się instalacje, zjazd do podziemia i wartownia. Wtem, z zarośli wyskoczył przed pancerkę Kini. dając nam znaki, żebyśmy się zatrzymali.

— Co się tu dzieje? — zapytałem.

— Nie bój się, wszystko w porządku — odpowiedział. Zaskoczyliśmy Niemców zupełnie. Prawie bez walki zajęliśmy budynki, zdobyliśmy podziemia i uwolniliśmy jeńców. Tylko w ogólnym zamieszaniu przegapiliśmy jeden niewielki, cementowy domek, stojący na uboczu. Siedzi tam kilku Niemców z dwoma karabinami maszynowymi i nie możemy ich stamtąd wykurzyć.

— Mam tu w samochodzie kilka wiązek karany: — zaraz możemy tam podjechać i podrzucić je — zaproponowałem.

— Abranga! (świetnie!) Ale nie trzeba podjeżdżać. Możemy je wystrzelić z łuku spoza tamtych skał.

Niewielkie szare skałki podchodziły prawie pod sam broniący się zawzięcie domek. Wkrótce żółtawy dym zaczął obejmować ostatnią redutę teutońską w Kraterze Zygryda. Spodziewaliśmy się nagłego uciszenia niemieckiego ognia, tymczasem straszliwa siła wewnętrznego wybuchu rozerwała dom na szczątki. Pluęło ogniem i dymem, zadrżał grunt pod nogami, a powietrzem targnął potężny grzmot eksplozji.

--- Wyszadzi się w powietrze – krzyknął kierowca panczerki, z której śledziłem przebieg akcji.

Czy rzeczywiście był to akt samobójczy, czy wybuch nastąpił wbrew woli obrońców, z niezależnej od nich przyczyny – ni dowiedzieliśmy się tego nigdy.

Gdy opadła kurzawa eksplozji, placyk między budynkami zaroił się tańczącymi i wiwatującymi z powodu uwolnienia jeńcami. Zobaczyłem Wiktora niesionego na ramionach i podrzucanego w górę. Za chwile i ja znalazłem się ponad morzem kilkuset głów upojonych odzyskaną wolnością.

--- Haha. Zigri! Haha Andra! wołały radośnie kuwiliańskie gardła. To „haha!” pewnie znaczył „niech żyją” albo coś w tym rodzaju.

--- Haha Kini! – i teraz Kini znalazł się wysoko ponad głowami wiwatujących.

Wtem kilkanaście rąk wzniosło się w górę wskazując na niebo, które powoli zasuwały chmury wróżące deszcz.

— Wana! Wana!

Ponad nami ukazał się srebrny dysk. Błysnął węzowym zygzakiem lotu i wylądował pośród rozstępującego się tłumu. Uniosła się przezroczysta kloszowa pokrywa i na ziemię zsunął się z młodzieńczą żywością Nara, przybrany w purpurową zaneę.

-- Mówił mi, że dyski nie mogą lądować w kraterze z powodu przeszkadzającego pola — pomyślałem — a teraz zjechał tak gładko. Coś on kręci.

— Nic nie „kręcę” — zwrócił się do mnie przybyły z uśmiechem. — Czekałem w pobliżu, na wynik walki i dopiero przed chwilą stwierdziłem, że pole ochronne nagie zanikło, musieliście właśnie zniszczyć wytwarzającą je instalację.

— To tam z pewnością się mieściła — wskazałem na dymiące ruiny wysadzonego w powietrze domku.

Wtem kilkanaście rąk wzniosło się w górę, wskazując na niebo. — Wana! Wana! — Ponad nami ukazał się srebrny dysk...



Nara uściskał nasze dłonie, winszując zwycięstwa. Następnie zaprosił Wiktora i mnie do swojej wany, po czym wznieśliśmy się w niej na kilka metrów w górę.

--- Do zachodu słońca — powiedział — musicie całkowicie ewakuować krater. Zabierajcie wszystko co wam się przyda do dalszej walki. Po waszym odjeździe nadleci grupa inżynierów i założy w podziemiu specjalne bomby. O północy całe wnętrze wulkanu ulegnie zagładzie.

--- Ależ — zaprotestowałem żywo — ten krater to świetna twierdza. Można zniszczyć tę wieżę, ale po co zaraz całe miejsce?

— Nonsens — odparł ze wzruszeniem ramion Nara — Byłoby głupstwem zamykać się tutaj w tej dziurze i dać się oblegać Niemcom. Jeśli chcecie odnieść ostateczne zwycięstwo i uwolnić wyspę, musicie zachować pełną swobodę ruchów i możliwość dalszej inicjatywy... Wszystko tak przygotowałem, że będzie to wyglądało jak naturalny wybuch wulkanu. Jeśli wam który z jeńców me ucieknie, Niemcy nie dowiedzą się, co się tu naprawdę stało. Będzie to wygodniej dla mnie, a i dla was jest to ważny atut w ręku... Aha, zostawcie tu wszystkich cywilnych jeńców. To są uczeni i inżynierowie, których zabierzemy do Kamiru. Musimy się zorientować, jak dalece znają nasze tajemnice. Czy złapaliście — zwrócił się do mnie — tego osobnika... no wiesz, o którego mi najbardziej chodziło?

— Tak — odparłem — pozostawiłem go w budynku oficerskim, nieprzytomnego.

— Jedźmy tam zaraz!

Najpierw jednak trzeba było .zatrzymać się, bo Wiktor chciał pozostać na miejscu, potem wana uniosła się ponad drzewa i w minutę później wylądowała przed kasynem.

— Jak tam, jak? Udało im się? — padły na mój widok pytania ze wszystkich stron.

— Udało się — odpowiedziałem. — Pełne zwycięstwo niewielkie straty. A jak tutaj? Jest co nowego?

--- Wytropiliśmy jeszcze pięciu Niemców – zameldował Batolu. – Poddali się bez walki.

Wysiedliśmy z dysku. Prowadziłem Narę do pokoju, w którym zostawiłem jego nieprzytomnego sobowtóra. Nara szedł obok mnie w milczeniu. Ostra, rysa przecięła mu czoło. Otworzyłem drzwi.

— To tu.

Weszliśmy. W pokoju nie było nikogo.

— Ej — zwróciłem się do kilku żołnierzy, za nami. — Czy zabraliście tego jeńca, co tu leżał? Taki łysy... no, taki zupełnie podobny do tego — wskazałem Narę — tylko, że miał na sobie zieloną zanę.

— Nie zabieraliśmy nikogo. Idź. Andra, na dół i zobacz. Wszyscy jeńcy leżą poukładani wzdłuż drogi.

Zbiegłem na dół. Między jeńcami nie było sobowtóra Nary. Czy sobowtóra? Znowu zaszyłem mieć wątpliwości, czy to nie był on sam. Lecz co się mogło stać, ktokolwiek by to nie był. Jad pajęczy działa do trzech, a nawet czterech godzin, tymczasem od początku walki nie upłynęło chyba jeszcze i półtorej go-

dziny. Wszystko rozgrywało się tak błyskawicznie. Kiedy Bari wypuszczał z jego pokoju dymiące groty, „Łysy“ leżał jeszcze na podłodze dokładnie w tym samym miejscu gdzieśmy go pozostawili przedtem.

Kara przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy. Zmarszczka na czole znikła. Któż rozpozna: czy zmarł się ucieczką, czy może ucieszyła go potajemnie?

— Czym był odurzony? — zapytał nagle.

— Został ukłuty nożem z jadem pajęczym na ostrzu.

— W takim razie mógł się ocknąć dużo wcześniej. W młodości spędziliśmy obaj wiele czasu między dzikimi i pewien czarownik wstrzyknął 216 nam w krew antidotum przeciw temu jadowi. Mogła dotąd pozostać pewna odporność...

Nara kręcił się po pokoju zbiega, przeglądał jego rzeczy.

— Posiadał on na pewno pas niewidzialnych, zabrany memu agentowi — powiedział. — Możemy teraz szukać wiatru w polu.

— Mogę zatelefonować do wartowni — podsunąłem myśl. — Mają tam hełm do wykrywania niewidzialnych. Niech uważają. Będzie musiał tamtędy uciekać, jeśli nie ma innego wyjścia z krateru.

— Dobry pomysł. W mojej wanie mam też okulary do wykrywania. Trzeba je zaraz założyć. O jej... My tu gadamy, a on może już ucieka w moim dysku...

Nara pędem wybiegł przed dom, lecz na szczęście jego aparat tkwił dalej w miejscu, gdzie go zostawił.

Założył okulary, rozejrzał się wokoło i pokręcił przecząco głową: — Tu go nie ma w pobliżu.

W przyplywie nagłej odwagi zapytałem:

— Kim on właściwie jest? Skąd to łudzące podobieństwo?

Nara chwilę milczał, po czym wyrzekł z trudem:

— To mój brat bliźniak... Kobra ma na imię... Szalona i niebezpieczna głowa...

Nie pytałem więcej. Udałem się do telefonu, by ostrzec wartownię.

W tym momencie przyszedł mi na myśl doskonały pomysł: psy gończe. Kilka sztuk musieliśmy zgładzić w czasie ucieczki, ale Niemcy na pewno mieli ich więcej. Gdym przejeżdżał niedawno koło magazynów, słyszałem głośnie ujadanie.

Psy trzymano w małym drewnianym baraczkę wzniesionym niedawno. Było ich pięć. Przywitały nas wściekłym szczekaniem. Jak tu je zmusić do szukania zbiega? Zajrzałem mimochodem do małej izdebki obok psiarni, gdzie prawdopodobnie mieszkał trener. Żeby tak mógł go znaleźć! Sam nie wiem dlaczego, chyba kierowany intuicją, popatrzyłem pod łóżko, pokryte długą kapą. Wyjrzała ku mnie para niebieskich, przerażonych oczu, należących do kaprała, który opiekował się psami. Wyciągnęliśmy go z kryjówki. Przedstawiłem mu z pewnym trudem, o co mi chodzi. Zrozumiał. Skwapliwie skoczył do psiarni. Na jego widok wielkie psiska uspokoiły się natychmiast. Wybrał dwa.

Podjechaliśmy z powrotem pod budynek oficerski. Niebo zachmurzało się coraz bardziej. Ołowiane, dżdżem nabrzmiałe obłoki łączyły się w gromady.

—Zaraz lunie deszcz — pomyślałem z niepokojem.
— Po ulewie nie znajdziemy żadnych śladów.

Daliśmy psom do powąchania starą zanę zbiega. Kaprał oprowadził je wokół budynku. Przy którymś z bocznych wyjść zwietryły ślad. Jeden z ogarów, puszczoney wolno, posnął z nosem przy ziemi w stronę tunelu. Drugi wyrywał się za nim.

Nara wsiadł do swej wany, ja zaś z paroma żołnierzami usadowiłem się w zdobycznym łaziku. Jechaliśmy wolno. Przed nami biegł kaprał z psem na smyczy. Nara poleciał w swym dysku za pierwszym psem i wkrótce zniknął nam z oczu.

Przypuszczaliśmy, że ślad zawiedzie nas wprost do tunelu, ale nie. W prawo, od głównej drogi odchodziła mniejsza, bocznicą. Nie zwróciliśmy na nią wcześniej uwagi. Dokąd prowadziła? Ujechaliśmy nią ze dwieście metrów, gdy wtem przed nami wzniósł się ponad wierzchołki drzew niewielki, okrągły balon w kolorze ochronnym, s gondolą u dołu. Zaraz wiatr go porwał i w parę sekund uniósł poza krawędź wulkanu. Zanim zdołał zniknąć, dojrzał go i Nara. Błysnęła w powietrzu świetlista smuga ścigającego dysku.

-- Nie ujdzie mu!

— Pewnie, że nie. Jedźmy jednak dalej, bo może to kto inny uciekł w balonie, a nasz zbieg kryje się nadal gdzieś w lesie.

Pies biegł wciąż z nosem przy ziemi ciągnąc za sobą smyczę, na drugim końcu której sapało biedne Niemczysko. Za zakrętem ujrzeliśmy niewielki barak, kilka maszyn nieznanego przeznaczenia i jeszcze jeden balon, uwiązany tuż przy ziemi. Przed barakiem stało pięciu Niemców z karabinami gotowymi do strzału, lecz z bardzo niepewnymi minami.

Wycelowaliśmy w nich naszą broń i z dala już zaczęliśmy wykrzykiwać magiczną, formułkę:

— Hande hoch!

Rzucili karabiny i podnieśli ręce do góry. Na szybkość ich decyzji wpłynął zresztą zasapany kapral z psem, który krzyknął, że wszystko "kaput", i że lepiej się poddać.

Pies tymczasem gnał do miejsca, gdzie na niewielkim placyku kręcił się z głupią miną jego towarzysz zdezorientowany tym, iż mu się ślad rozwiął w powietrzu. Nie ulegało więc wątpliwości, że to Kobra, brat Nary, uciekł balonem. Potwierdzili to nasi jeńcy: zdumieni byli, że balon bez żadnej widzialnej przyczyny uniósł się w powietrze kilka minut temu.

Wtem, spoza dwu zakratowanym, małych okienek baraku, dobiegły głosy:

— Andra, Andra! Uwolnij nas!

Musieli tam być jeszcze nasi uwięzieni jeńcy. Wzięty do niewoli sierżant niemiecki, o ryżych, krótko przystrzyżonych włosach i posepnym sparzeniu zielonkawych oczu, wyciągnął klucz z kieszeni. W chwilę później wybiegło z baraku dziewięciu rozradowanych

uwolnieniem Oremangów. Pośród nich w najwyższym zdumieniu zobaczyłem olbrzyma Game. — Była to grupa, o której sądziliśmy, że została rozstrzelana. Brakowało tylko czarownika Araru.

Gigant Gama zaczął mnie ścisnąć tal: serdecznie, że o mało nie połamał mi kości. Ledwo wyrwałem mu się z objęć.

— A gdzie Araru?

Gama posmutniał:

— Nie żyje, choć nikogo z nas nie rozstrzelano. Niemcy widocznie nazbyt potrzebowali niewolników do pracy, żeby sobie pozwalać na ich zabijanie. Zapełdzono nas do drażenia podziemnego chodniku. Zaraz w pierwszym dniu kawał skały odłamał się niespodziewanie i przywalił Araru. Zmarł po paru godzinach.

—Bóg przyjął ofiarę dzielnego czarownika. Araru... wznosił się na szczyty miłości i dojrzał do odejścia... — szepnąłem sam do siebie.— Co byłoby ze mną, gdybym się wtedy zdecydował?...

Moje refleksje przerwały pierwsze krople deszczu. Niedługo rozpadało się na dobre. Ciepły prysznic przyjemnie spłukiwał przepecone ciała. Pod jego strugami powróciliśmy przed budynek oficerski. Tam już formowała się do wymarszu długa kolumna samochodów. Na wozy składano jeńców, niby snopy bitewnego plonu, oraz wszelką broń i amunicję. Samochód z rannymi odjechał już wcześniej; mieli być przetransportowani do osady pośród moczarów. Resztę wozów

Wiktor zamierzał poprowadzić do swojej kryjówki w dżungli.

Nary jakoś nie było wciąż widać, ale mnie to nie dziwiło. Zabrał pewnie swego Kobrę od razu do Kami-ru. O tym, że go złapał, nie wątpiłem ani przez chwilę. Jakaż mógł mieć szansę niezdarny balon wobec śmi- głego dysku?

Przygotowania do odjazdu trwały długo. Ulewny deszcz nie ułatwiał załadowania. Wiktor ponadto po- rozsyłał patrole po całym kraterze, w celu wyłapania niedobitków i zorientowania się, czy nie ma gdzie jesz- cze czegoś wartościowego do zabrania. Wreszcie, koło zachodu słońca, kolumna 19 wozów ruszyła naprzód. Zbyszek przez radio zawiadomił niemieckie dowódctwo w Lejli, że kolumna samochodowa, która zwykle wyru- sza po kolacji, nie pójdzie tej nocy, ponieważ wezbrane wody zerwały mostek na drodze. Czy Niemcy uwierzyli w to i czy nadal nie orientowali się, że coś jest nie w porządku, tego nie wiem. Dla pewności, żeby żaden rekonesans nie mógł dotrzeć do wulkanu przed półno- cą, uszkodziliśmy jeden z mostków i tu urządziliśmy zasadzkę.

Posuwaliśmy się teraz powoli w zapadających szybko ciemnościach, zwiększonych przez ulewę, któ- ra ani myślała ustać. Prowadziłem jeden z samocho- dów ciężarowych. Musiałem uważać, żeby nie zgubić wozu jadącego przede mną, bo bym się od razu zabłą- kał. Już o parę kroków nie było nie widać. Obok mnie siedział Kini. Milczeliśmy obaj. Każdy z nas przeżywał

w sobie wypadki dnia. Mój przyjaciel wsławił się dzisiaj szczególnym czynem. W czasie zdobywania podziemi grupa strażników ukryła się za wielkim występem skalnym i w żaden sposób nie można ich było stamtąd wykurzyć, póki Kini nie wpadł na doskonały pomysł. Tuż obok pozycji niemieckiej biegły szyny; wożono tamtędy wózki ze skalistym gruzem. Wykorzystując spadek toru, Kini pchnął jeden z naładowanych wózków, wskoczył nań z tyłu i przejeżdżając obok pozycji niemieckiej rzucił granatem. Sam minio wścieklej strzelaniny nie poniósł żadnej szkody, bo wózek napęczniony odłamkami skały, stanowił doskonałą osłonę przed kulami. Wybuch granatu złamał opór strażników. Ci, którzy nie zginęli, poddali się.

Mimo śmiertelnego wyczerpania napięciem walki, czułem w duszy wielką radość. Kiedy na rozkaz Nary wyruszyłem na spełnienie swojej misji, wydawała mi się ona niemożliwa do wykonania. A oto teraz była już poza mną i tak pomyślnie zakończona. I był w tym jakiś procent mojej zasługi, może nie nazbyt duży, ale był. Rozpierało mnie zadowolenie. Po chwili zacząłem wybiegać myślą w przyszłość. Co teraz będzie? Misję dla Nary zakończyłem. Jestem wolny. Jak mi to obiecał, teraz mógłbym się udać dokąd tylko zapragnę, oczywiście w granicach planety Wenus. O powrocie na Ziemię nie mogło być mowy... Najchętniej pozostałbym na Lejli wśród nowych przyjaciół. Czekala nas co prawda jeszcze dalsza walka, ale tak byłem upojony

dotychczasowym tryumfem, że ostateczne zwycięstwo wydawało mi się rzeczą łatwą i bliską.

Do miejsca przeznaczenia dojechaliśmy tuż przed północą. Była to wąska dolina, świetnie ukryta w górach. Wybierano z niej niegdyś jakiś wartościowy kruszec, po czym w skałach pozostały wielkie sztuczne jaskinie i labirynt chodników.

Ledwo zatrzymaliśmy się, przybiegł do mnie Wiktor.

— Chodź! — zawołał. — Wdrapiemy się na skały. Zobaczymy stamtąd wybuch w kraterze.

Świecąc sobie latarkami, wspinaliśmy się wzwyż po wąskiej ścieżce, mokrej jeszcze i śliskiej po niedawnej ulewie. Dotarliśmy w sam czas do szczytu.

— Ciekaw jestem, czy będzie to coś w rodzaju wybuchu bomby atomowej? — zapytałem Wiktora.

— Nie — odpowiedział — pytałem o to Wenuzjan którzy przybyli założyć te bomby. Wyśła one pewne wibracje, wskutek których skały roztopią się w ściśle określonym obszarze.

Kiedy kończył wymawiać ostatnie słowa, po skałach przebiegło pierwsze drzenie. Czarną oponę nocy rozdarł czerwono-złoty słup ognia, W jego jaskrawym świetle dojrzeliliśmy wyraźnie ostre zręby Krateru Zygryda. Znajdowaliśmy się trochę wyżej od niego, dzięki czemu mogliśmy widzieć część jego wnętrza. To wnętrze pękło teraz tysiącem ognistych rozpadlin. Trysnęły w górę płomienne gejzery. Rozległy się groźne grzmoty, a z łona ziemi dobyło się złowieszcze bulgo-

tanie. Roztopioną lawa wylała się na powierzchnię ni-
by płynna stal wrzucona z gigantycznego hutniczego
pieca. Pochłonęła całe wnętrze krateru, wznosiła się
coraz wyżej, aż wreszcie przelała się przez jego poszar-
pane brzegi. Ogniste rzeki i strumienie dzikimi kaska-
dami spływały we wszystkich kierunkach z tej piekiel-
nej Walhalii. Zdawały się nieść zagładę szerokim prze-
strzeniom wyspy. Lecz nie. Płynny żywioł zwolnił nagie
swoje zdawałoby się niepowstrzymany rozpęd. Lawa
musiała stygnąć szybko, bo zaczęła już ciemnieć i ga-
snać. Żar wewnątrz wulkanu słabł w mocy. Ostry, bia-
ło-żółty blask przechodził w czerwień; w której pełgały
już szaro-czarne, cienie. Groźne widowisko dobiegało
końca. To, co miało całą planetę rzucić pod nogi teu-
tońskiej bucie, obróciło się w popiół.

Zeszliśmy w dolinę. W godzinę później leżałem już
na pryczy w suchej, obszernej jaskini. Zasnąłem od
razu, nieświadom bliskiej przyszłości, która gotowała
mi już nową. niespodziankę.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ